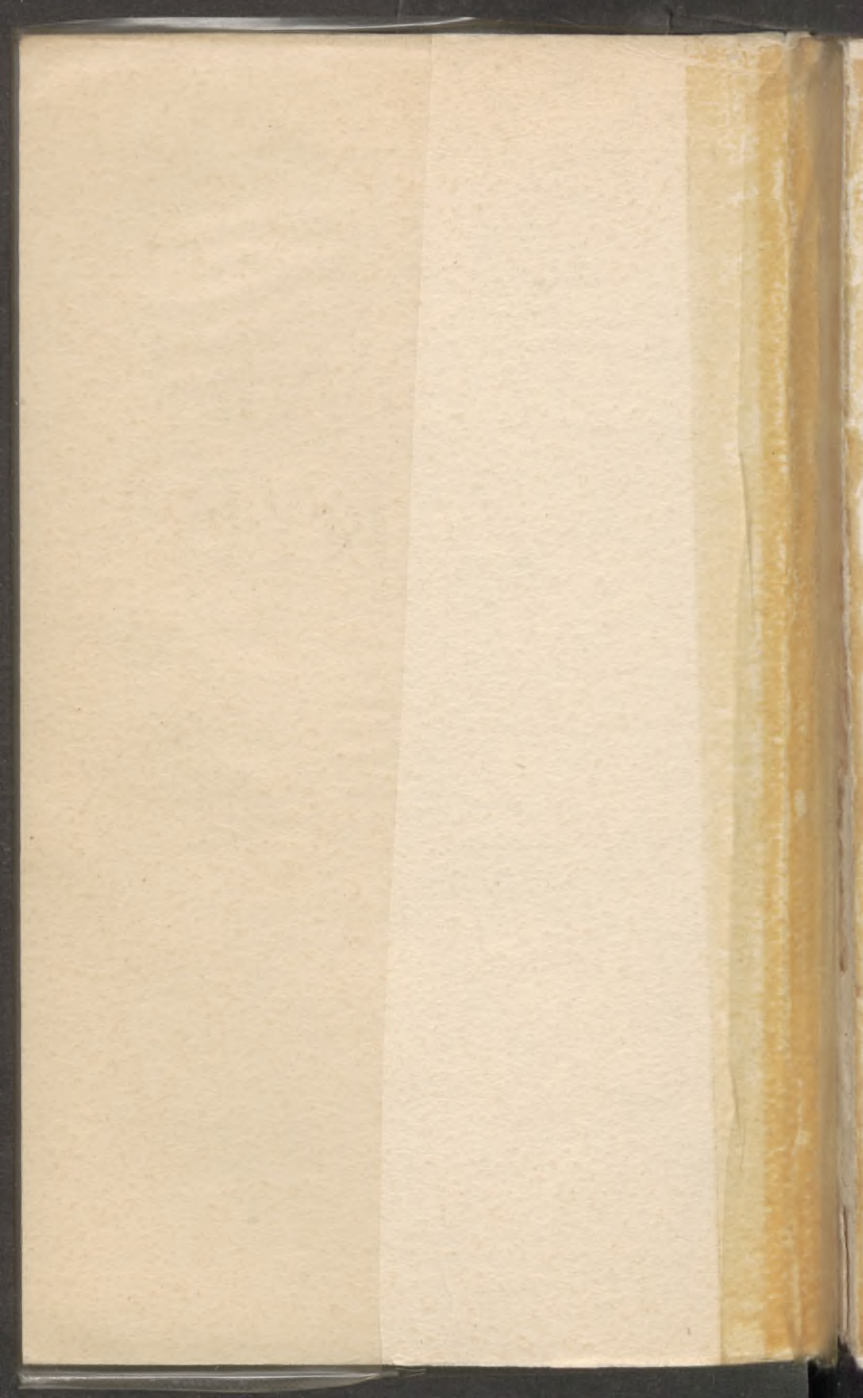

czesław kuriata

CZŁOWIEK
Z RYBĄ



Książkę należy zwrócić
do dnia:

Nr 3477

This image shows a blank ledger page with three columns and 20 rows. The columns are defined by solid vertical lines, and each row is defined by a solid top line and a dashed bottom line. The page is cream-colored and shows signs of age.

179 5 1814/5

CZESŁAW KURIATA

CZŁOWIEK Z RYBĄ

OPOWIADANIA



WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE • 1971

Obwolutę projektował
TADEUSZ PISKORSKI



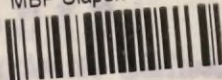
14

~~113916~~

3477

884-3

MBP Słupsk Centrala



3477

INNY CZŁOWIEK I TEN Z RYBĄ

STANAŁ na brzegu. Pogoda tego dnia była słoneczna i bezwietrzna. Miało się wrażenie, że srebrne powietrze dzwoni o ciszę. Powierzchnia jeziora gładka jak nowy asfalt lub nawierzchnia lotniska. Tylko gdzieniegdzie powstawały pod lekkim podmuchem wiatru delikatne zmarszczki na wodzie. Częściej tworzyły się koła od wypryskujących na powierzchnię wody małych rybek, które, zapewne uciekając przed drapieżnikami, ryzykowały powietrze. Stał na brzegu jeziora i jakby tej tragedii, którą małe ryby wynoszą na światło, wcale nie widział. Jego wzrok błędził gdzieś daleko, na ledwo widoczny siny brzeg lasu, granicę ziemi i wody po drugiej stronie jeziora. Wreszcie rozluźnił swój wzrok napięty w linii łączącej oba brzegi. Chwilę rozglądał się niepewnie wśród rzadkich drzew porastających brzeg, na którym stał. Teraz słyszał brzęczenie owadów i pojedyncze głosy ptaków. Wyjął nóż i ściał cienkie młode drzewko. Kij wygięty do ogromnego łuku nie złamał się. Wtedy na cieńszym końcu kija, tuż za sękiem, zawiązał wyjętą z bluzy cieniutką, niebieską żyłkę. Następnie wyjął gęsie pióro i naciągnął na żyłkę, kawałek

ołowiu z otworem umieścił w połowie, między gęsim piórem a końcem żyłki. Potem przywiązał haczyk, stosując jeden ze znanych węzłów żeglarskich, tym razem w miniaturze. Wreszcie wbił haczyk w twardą skórkę chleba, którą zaraz zmniejszył, bo wydawała mu się za duża. Po wykonaniu tych wszystkich czynności spojrzał badawczym wzrokiem na swoje dzieło, i na jego twarzy odmalowało się zadowolenie. Usiadł na brzegu i zamachnął się wędką, wyrzucając haczyk możliwie jak najdalej na wodę. Na powierzchni jeziora pozostało pionowo, do połowy zanurzone gęsie pióro. Odtąd wpatrywał się w jeden punkt. W leciutko tańczące na wodzie gęsie pióro. Nie widział teraz przed sobą wielkiej wody jeziora, ani dalekiego drugiego brzegu porośniętego sinym lasem. Nie odczuwał już nawet słonecznego, pięknego dnia; nie słyszał dzwonienia słońca o ciszę; nie widział małych rybek walczących rozpaczliwie o życie. Patrzył jak zahipnotyzowany w jeden punkt, w gęsie pióro. W kilkunastominutowych odstępach czasu pióro zadrgało kilka razy mocniej, dwa razy nawet lekko zanurzyło się w wodę, zaraz jednak wypłynęło do poprzedniej pozycji. Nie reagował na to. Siedział nieporuszony, z kamiennym spokojem. Wreszcie gęsie pióro pozostało na dłużej pod wodą. Wtedy szarpnął energicznie wędką podnosząc ją wysoko w górę. Na końcu wędki trzepotała się ryba wielkości dłoni dziecka. Łapiąc drugą ręką za górny koniec żyłki przesunął dłoń do wciąż trzepoczącej się ryby. Opuścił kij wędki na ziemię i biorąc w obie ręce rybę usiłował zdjąć ją z haczyka. Śliska ryba wciąż wymykała mu się z dłoni. Ręce jego stały się nerwowe, palce wykonywały chaotyczne ruchy, którymi chciał mocno objąć rybę. Twarz w przeciwnieństwie do rąk wyrażała skupienie i silną wolę.

Wreszcie udało mu się uchwycić rybę w dłoń zwinętą w kułak. Teraz zaczął wyjmować haczyk tkwiący w dolnej części jej pyszczka. Haczyk siedział mocno. Po każdym ruchu palcami czuł w swojej dłoni wyzwalanie się ryby. Na chwilę spojrzał na nią bezradnie i zamarł, jakby nie wiedział, co ma dalej robić. Potem znowu wrócił do swojej czynności i lekko przymykając oczy, powoli ale uparcie, wyjmował haczyk. Wreszcie zrobił energiczniejszy ruch palcami i haczyk z odgłosem skrzypienia został w jego ręku. Na rozerwanej dolnej części pyszczka ryby pojawiła się bladoczerwona posoka. Odrzucił haczyk na bok, biorąc rybę w obie dłonie. Na twarzy człowieka znać było ulgę.

Wstał rozglądając się wokół siebie. Nie miał widocznie żadnego naczynia, gdzie mógłby umieścić swój połów. W dłoniach ryba zachowywała się spokojnie, więc położył ją na trawie, kilka kroków od brzegu. Zanim jednak wrócił do wędki ryba znowu ożywiła się. Ledwo zdążył ją złapać, tuż nad samym brzegiem jeziora. Znowu stał chwilę bezradnie ze swoim łupem w ręce. Znalazł kawałek twardej blachy, którą zaczął wygrzebywać wgłębienie w ziemi. Kiedy to skończył, naniósł dłońmi wody i położył rybę. Ryba z początku leżała spokojnie. Kiedy woda wsiąkła w ziemię, znowu wyskoczyła i zaczęła się rzucać, kierując się w stronę jeziora. Teraz także udało mu się ją uchwycić. I tym razem zrobił to w ostatniej chwili, tuż przed jej skokiem do jeziora. Człowiek chodził przez chwilę w promieniu kilku kroków, ale wciąż nie mógł znaleźć naczynia, w którym mógłby umieścić to pełne energii i buntu stworzenie. Nie mógł przystąpić do połowu następnych ryb, nie zabezpieczywszy już złapanej. Na twarzy jego wzrastało zdenerwowanie i złość. Uczucia te przytłumiała jednak bezradność.

Znowu stanął bez ruchu. Po chwili otarł kropelki potu z czoła i twarzy. Rozpaczliwie rozglądał się wokół. Nagle wsunął rybę do dolnej kieszeni obcisłej bluzy, którą miał na sobie. Podszedł do wędki i założył nową skórę chleba. Rozpoczął dalszy ciąg połowu. Ryba wciąż nie dawała mu spokoju. Znowu ożywiła się, chcąc się wydostać z nowego uwięzienia. Czuł jej poruszenia się na ciele w miejscu pod kieszenią. Mogło to przypominać nieregularne bicie chorego i osłabionego serca. Spojrzał na mokrą kieszeń, ściągnął wędkę i położył ją obok siebie. Sięgnął do kieszeni, wyjął delikatnie rybę i trzymał ją bezradnie w rękach. Ryba zachowywała się teraz spokojnie. Wiedział, że robiła tak zawsze, zanim nie wypuścił jej z rąk. Wiedział, że wciąż jest w niej wiele siły i chęci życia. Stał bezradnie rozglądając się, jakby oczekiwał skądś ratunku.

Nagle zobaczył, że w jego stronę, brzegiem jeziora, idzie jakiś człowiek. Kiedy przechodzień zbliżył się, podbiegł do niego. Podniecony i rozgorączkowany zapytał, czy nie ma jakiegoś naczynia. W wyciągniętej ręce wskazał wzrokiem rybę. Ten, który przyszedł odpowiedział ze zdziwioną miną, że nic takiego nie ma. W jego głosie brzmiała irytacja, a pogardliwy wzrok oznaczał, że traktuje pytającego jak kogoś, kto postradał zmysły. „Ale co ja mam z nią zrobić? Co położę na ziemi, to zaraz ucieka” — mówił rozpaczliwie człowiek z rybą. „Miałem ją nawet w kieszeni, ale bałem się, że tam się udusi” — dodał usprawiedliwiająco. Ten, który nadszedł, zrobił kilka szybkich kroków, zapewne chciał jak najszybciej pozbyć się towarzysza. Człowiek z rybą zastąpił mu jednak drogę. „Niech mi pan pomoże” — powiedział błagalnie. Wtedy tamten bez słowa wziął z jego rąk rybę

i podszedł do pnia. Trzymając za ogon uderzył kilka razy głową ryby o pień. Trwało to dosłownie sekundy. Ryba z otwartym pyszczkiem zeszywniała w jego rękach. „W porządku, już nie żyje” — odpowiedział rozbawiony, oddając rybę.

Człowiek, który łowił, trzymając martwą rybę w ręku zrozumiał nagle, jakie to było proste i łatwe. Z wdzięcznością spojrział za szybko oddalającą się sylwetką przechodzącego tędy człowieka. Chciał biec, aby mu podziękować, ale tamten już był daleko, znikł z jego pola widzenia.

ZĄB ZA ZĄB

WIEŹIEN przez chwilę leży na pryczy, przewracając się niecierpliwie z boku na bok. Potem wstaje i przechadza się melancholijnie po swojej małej i wąziutkiej celi robiąc krok do drzwi i z powrotem, próbuje nucić cicho jakąś melodię, ale zaraz urywa jakby i tym znudzony. Podchodzi do pryczy i osuwa się leniwie na wygnieciony, w nieładzie leżący koc. Szpera długo u wezgłowia i wyciąga stamtąd poślódkę, wygnieciony skrawek gazety, który próbuje czytać, automatycznie obracając go w rękach. Po kilku takich czynnościach gładzi gazetę płasko przyciśniętymi dłońmi, robi to starannie i długo. Wreszcie kończy prasowanie gazety i chowa w to samo miejsce u wezgłowia. Więzień bezwładnie układa się na pryczy, podciągając pod siebie nogi. Wszystko wskazuje na to, że usiłuje teraz zasnąć.

Nagle odgłos kroków na korytarzu podrywa go na łokcie. Na twarzy pojawia się lekki, ledwo zauważalny uśmiech. W chwili, kiedy rozlega się zgrzyt klucza w jego celi, przybiera obojętny wyraz twarzy, a kiedy drzwi zaczynają się ostrożnie uchylać, odwraca głowę w przeciwną stronę. Prze-

kręcąc ciało, osuwa się na brzuch, układając się wygodnie. Więzień udaje śpiącego.

W półotwartych drzwiach celi staje strażnik, w mundurze starannie dopiętym i dopasowanym, z naramiennikami sierżanta. Strażnik chwilę stoi, jakby się decydował, czy wejść.

— Proszę, sierżancie, niech się pan rozgości — mówi uprzejmie, unosząc lekko głowę i podpierając ją ręką.

Dobroduszną, nalana twarz strażnika wyraża niepewność.

— Panie profesorze, ja jestem na służbie, mnie nie wolno... Gdyby dowiedział się o tym, nie dał Bóg, naczelnik, na pewno wlepiłby mi karę.

— Nic panu nie robi. Ja waszego naczelnika więzienia uczyłem historii w szkole wieczorowej — mówi niedbale więzień.

— Pana naczelnika?

— Tak, pana naczelnika, kapitana... — Więzień zmienia zdrętwiałą rękę podpierającą brodę.

— Pana majora — z dumą poprawia strażnik, obciągając pas na okazałym brzuchu.

— Szybko awansował. O ile sobie przypominam — więzień powoli cedzi słowa — pan naczelnik nie miał wielkich chęci ani zdolności do historii.

— Ależ, panie profesorze...

Strażnik z przestachem, jakby nie wiedział, co ma począć, usiłuje spojrzeć przez ramię na korytarz. Przestępuje z nogi na nogę. Ostrożnie i cicho zamyka drzwi i prawie na palcach robi krok w głąb celi. Stoi niepewnie, unikając wzroku więźnia. Za chwilę w roztargnieniu obmacuje się po kieszeniach, niezdarnie wyciąga paczkę papierosów i zapalki.

— Proszę... Może pan profesor zapali?

Więzień bierze papierosa wolną ręką i siada na pryczy. Strażnik z namaszczeniem podaje mu ogień.

— O, już sobie przypominam — odzywa się więzień, łapczywie zaciągając się dymem.

— Uczył pan historii mego syna — przerywa strażnik. — Często przychodziłem do pana profesora na wywiadówkę...

— Syna w szkole dziennej, a pana naczelnika na kursach wieczorowych. Pamiętam, że pański syn miał u mnie dobre stopnie, czego nie można powiedzieć o panu naczelniku. Pański naczelnik nigdy nie umiał zadanych lekcji.

Strażnik znowu niepewnie przestępuje z nogi na nogę. — Pan wczoraj tak ciekawie opowiadał... — zawiesza głos.

Więzień uśmiecha się przymilnie.

— Teraz ich porównuję. Pańskiego syna i pańskiego naczelnika...

— Mój syn dobrze się uczył, bo kładłem mu ciągłe do głowy, że nauka...

— To potęgi klucz — uzupełnia więzień.

— No, właśnie, to chciałem powiedzieć — ucieuszony przytakuje.

— Przypomniałem sobie jednak, że i panu naczelnikowi postawiłem jeden raz piątkę... Tak... Tak...

Więzień przybiera taką twarz, jakby usiłował sobie coś przypomnieć. Zerka na twarz strażnika promieniejącą teraz z radości.

— O, już wiem! Postawiłem mu tę jedyną piątkę za prawo Hammurabiego.

— Za co?

— Hammurabi to taki prawodawca, który mówił „zab za zab, oko za oko, ręka za rękę”.

— Nic nie rozumiem — denerwuje się strażnik.

— Poczekaj pan, zaraz wytłumaczę. To znaczy, że jeśli ktoś komuś wybił ząb, to sprawcy tego przestępstwa też, według tego prawa, wybijało się ząb, a jeśli ktoś odrąbał rękę, to przestępcy też ucinało się rękę i tak dalej... Wet za wet, jak to się dzisiaj mówi.

— To sprawiedliwe — potwierdza strażnik.

— Tego samego zdania był pański naczelnik. Tej lekcji o prawie Hammurabiego wyuczył się doskonale, więc postawiłem mu piątkę. To była jedyna piątka, jaką ode mnie dostał w ciągu dwóch lat.

— To ja bym też dostał — ożywia się strażnik-sierżant. — Ząb za ząb, głowa za głowę, ręka za rękę. To przecież łatwe, nawet dziecko zapiamięta.

— Na widzi pan, sierzancie, pan też dostałby piątkę. Pański naczelnik...

— Ja nic nie chciałem powiedzieć przeciwko panu naczelnikowi — przerywa zaniepokojony.

Więzień uśmiecha się z zadowoleniem.

— Niech pan będzie spokojny, nic pan nie powiedział.

Strażnik-sierżant spojrział z wdzięcznością.

Więzień gasi papierosa i pochyla się w stronę swego gościa.

— Ale muszę, niestety, pana zmartwić. Pański syn, w przeciwieństwie do pańskiego naczelnika, dostał dwóję za prawo Hammurabiego. Nie chciał powtórzyć materiału lekcji „ząb za ząb, oko za oko, głowa za...”, więc postawiłem mu dwóję.

— Nie wyuczył się tak łatwej lekcji... Gdybym był o tym wiedział, ja bym mu już pokazał! — rozłościł się na dobre.

— No, widzi pan, jak to jest na tym świecie. Pański syn dostał stopień niedostateczny, choć był dobrym uczniem, a pański naczelnik za to samo

prawo Hammurabiego dostał jedyną piątkę z historii.

— E, to jeszcze nic nie oznacza...

— A widzi pan, sierżancie, pan jednak nie szanuje swego naczelnika! — więzień podnosi głos.

Strażnik-sierżant rozgląda się szybko i niepewnie po celi.

— Ależ, panie profesorze, jak tak można...? Ja chciałem, chciałem — jąka się. — Chciałem tylko powiedzieć, że mój syn był wtedy pewnie na wagarach i dlatego...

— Nie, syn doskonale znał to prawo, ale on chciał umyślnie dostać za Hammurabiego dwóję. Dowiedziałem się o tym od jego kolegów... Zwierzył się im, że nie chce powtarzać takich bzdur...

— Ot, głupi smarkacz. Ja bym go...! — wściekł się znowu strażnik.

— Pewnie, że głupi, pański naczelnik mądrzejszy.

Strażnik milczał przez chwilę, jakby węszył znowu podstęp.

— Nie mówmy już o tym — powiedział bojaźliwie. — Prosiłbym, żeby pan profesor skończył opowiadać...

Strażnik zamilkł, ale więzień nie reagował na jego słowa.

— No, o tej kobiecie, co czekając na swego męża dziesięć lat, kupiła sobie małą — naciskał, nie dając za wygraną.

— Tak, rzeczywiście, wspominałem panu wczoraj o tym... — odpowiada obojętnie więzień.

— Ale pan nie skończył — szepcze ze wzrastającym podnieceniem strażnik.

— Tak, rzeczywiście, nie skończyłem... — ciągnie obojętnie więzień. — Aha, zapomniałem pana zapytać, sierżancie, co porabia pański syn. On,

przecież, o ile się nie mylę, dwa lata temu zdał maturę.

Strażnik dumnie się prostuje, jest wyraźnie ucieszony. — Studiuję prawo, ma stypendium i nauka mu idzie jak po maśle. Mój syn będzie adwokatem.

Więzień cicho gwizdże z podziwu.

— O!!! Gratuluję z całego serca!

— On wróci do naszego miasta i wszyscy...

— Będą odtąd pana podziwiać... Oczywiście, wszyscy prócz własnego syna.

Strażnik patrzy na więźnia z niesmakiem.

— Co też pan mówi, profesorze! On zawsze był posłuszny i mnie szanował.

— Jeżeli będzie dobrym adwokatem w tym miasteczku, to pan straci pracę.

— E, więźniowie zawsze się znajdują.

— To nie takie pewne, jeśli pański syn będzie doskonałym adwokatem.

Strażnik tym razem nie odpowiada natychmiast. Chwilę milczy, a potem mówi jednym tchem.

— Będę już na emeryturze.

— To nieładnie, że nie obchodzi pana los młodszych kolegów.

Strażnik, jakby tych słów nie usłyszał.

— Ja już muszę iść — mówiąc to, cofnął się w stronę drzwi.

Przy drzwiach zawahał się i powiedział smutno, z wyrzutem: — Miał pan dalej opowiadać o tej kobiecie, co to kupiła sobie małpkę...

— A miałem — pada obojętna odpowiedź. — Poczekaj pan trochę, a i na to przyjdzie kolej — więzień dodaje w obawie, że strażnik naprawdę odejdzie.

— Ja bym chętnie posłuchał...

— E, to nic ciekawego.

— Ale o tej kobiecie to takie śmieszne — mru-
czy strażnik i teraz wyraźnie ociąga się z odej-
ściem.

— Niezupełnie, niezupełnie, sierzancie. Przecież
pan nie wie, co się dalej stało.

Strażnik nagle ożywia się i z desperacją robi
krok w głąb celi. Przez chwilę wpatruje się w ta-
boret pod ścianą, naprzeciw pryczy.

— A jednak usiądę... Mam za sobą dwadzieścia
lat nienagannej służby, więc mogę sobie choć przez
chwilę posiedzieć — mówi usprawiedliwiając. —
Zresztą, mogę z panem trochę pogadać, bo pan tu
długo nie będzie. Ja tam od razu wykupuję, kto
tu zostanie na dłużej... E, co tam... Posiedzę z pa-
nem jeszcze z dziesięć minut — kończy z rezygna-
cją.

— No, to już postęp.

— Znaczy się, że co?

— Że pan, sierzancie, usiadł.

— Aha... — mówi, jakby wybity ze swoich my-
śli. — E, dzisiaj już pewnie nie ma takiej baby,
co by dziesięć lat czekała na swego chłopaka...

Teraz dopiero więzień z zadowoleniem i pewno-
ścią siebie spojrzał na strażnika. Podciągnął się na
swojej pryczy i siadł oparty plecami o ścianę. To
była jego najwygodniejsza pozycja, w której mógł
trwać całymi godzinami.

— Może i tamta nie wytrzymałaby tak długo,
ale ona nie była zwyczajną babą. Była chytrą żoną
i wzięła się na sposób... — więzień zawiesił głos.

— Co też ona mogła zrobić?

— Kupiła sobie małpkę.

— E, to już pan profesor mówił. I co z tego, że
kupiła małpkę?

— Nie bądź pan, sierzancie, w gorącej wodzie
kąpany. Trochę cierpliwości, a wszystkiego się pan

dowiesz. Otóż — tajemniczo szepnął więzień — kobieta ta nazwała małpkę imieniem swego męża.

Na twarzy strażnika natychmiast pojawiło się oburzenie.

— Jak tak można! — prawie krzyknął, nie panując nad sobą. — Ludzkie imię dawać małpie i to na dodatek imię swego chłopca! Ja bym ją...!

Strażnik pokazał wymowny ruch ręką.

— To była jej mądrość — upierał się więzień.

— Jaka tam mądrość... A co mąż na to, jak wrócił?

— Poczekaj pan, zaraz opowiem...

Więzień zamilkł, obserwując drgające mięśnie na twarzy strażnika-sierżanta.

— Chyba, że nie chcesz pan słuchać? — odezwał się z udaną pretensją w głosie.

— Toż chcę, panie profesorze — podskoczył na swoim stołku strażnik. — Tyle, że prawdę mówiąc, to wszystko jakieś dziwne... I ta baba...

— Mówię panu, sierżancie, że to była chytra kobieta.

— A gdzie jej chytrość? Jakoś nijak nie mogę...

— Jeśli pan będzie przerywać, nie powiem więcej ani słowa.

Strażnik-sierżant zrobił pokorną minę, jak dziecko, które zawiniło.

— Przepraszam, już nie będę — szepnął. — No, co dalej? Przecież musiało się coś stać? — nacierał prosząco.

— Chwileczkę, zaraz do tego dojdziemy. Chytrość tej kobiety polegała na tym — więzień zaczyna tonem opowieści — że małpka była żywa i miała imię męża, więc kobiecie przez te wszystkie lata wydawało się, że jej mąż jest obok niej. Miała do kogo gębę otworzyć, małpka sprawiała jej także wiele kłopotów, tak samo jak przedtem

mąż... Mogła się nawet na nią złościć, zupełnie tak samo, jak kiedyś złościła się na męża... Oto, dla-
czego małpka w pełni zastępowała męża... Wreszcie
po dziesięciu latach mąż wrócił.

Więzień, nie podnosi głowy, słyszy przyspieszony
oddech strażnika.

— Nareszcie mąż wrócił — powtarza i milknie.

— I co? Co dalej?

— A jak pan myśli, co było dalej? — Więzień
chwilę milczy. — No, czemu pan nie zgadujesz? —
nalega.

— Pewnie sprzął ją.

— Nie zgadł pan.

— Wyrzucił małpę.

— Nie, znowu pan nie zgadł. Co z panem, sier-
żancie? Mąż z początku był nawet zadowolony, że
ma mądrą kobietę. Nawet ją od razu pochwalił,
bo wiedział, że zawsze pamiętała o nim, mając przy
sobie małpkę o jego imieniu.

— Daj pan papierosa — poprosił nagle więzień.

Strażnik szybko, niezwykle uprzejmie podał mu
papierosa i przypalił. Sam niezapalonego papierosa
trzymał w palcach.

— Po kilku dniach zaczął się jednak denerwo-
wać — wreszcie podjął opowieść więzień — bo nie
wiedział zupełnie, kiedy żona mówi do małpki, a
kiedy do niego. Potem wpadł we wściekłość, bo
zorientował się, że żona zawsze odzywała się jego
imieniem tylko do małpki, a jego wcale nie zauwa-
żała... Zrozumiał więc, że on już nic swoją żonę
nie obchodzi... Odzwyczaiła się od męża, panie sier-
żancie. Tak bardzo się odzwyczaiła, że jego powrót
do domu niczego nie zmienił. Kobieta, jego żona,
zachowywała się wciąż tak, jakby jej mąż nigdy
nie istniał... — więzień urwał zmęczony.

— I to wszystko...

— Ależ, nie, nie wszystko, panie sierżancie. Mąż zrozumiał, że stał się już niepotrzebny, że niepotrzebnie wracał z więzienia, do którego już był się nawet przyzwyczaił, choć — tu więzień zawiesił głos — nie w takim jednak stopniu, w jakim jego żona przyzwyczaiła się do małpki... Teraz mąż zrozumiał — tu opowiadający położył akcent — że dla żony najważniejsza była małpka, że całkowicie o nim zapomniała, mimo że przecież miała dobrą intencję, bo kupiła tylko dlatego małpkę i nazwała jego imieniem, żeby nie zapomnieć... Teraz wszystko się u nich odwróciło, z małpką żona rozmawiała jak z mężem, złościła się na nią niczym na męża, a męża traktowała teraz jak małpkę albo, na przykład, jak kota. Mąż wściekał się, chodził upokorzony, a jego żona litowała się nad nim, głaszcząc go, jak się zwykło głaskać ulubione zwierzę... Oto, do czego u nich doszło — ze smutkiem skończył więzień.

— E, to bajki — skrzywił się strażnik.

— Wcale nie bajki. Ja sam byłem ich sąsiadem i wszystko widziałem na własne oczy.

— Panie profesorze, pan mnie nie nabierze. Ja przecież...

— Jeśli pan mi nie wierzy, to nie będę dalej opowiadać!

Strażnik uśmiecha się przeprasząco.

— Nie, nie... Ja nic takiego przecież nie powiedziałem, a pan zaraz się gniewa... Mnie się tylko wydaje, powiem szczerze, to wszystko jakieś dziwaczne — zdobywa się na odrobinę odwagi.

— Więc jak? Nie wierzy mi pan?

— Ależ tak, bardzo proszę opowiadać dalej...

Więzień daje się udobruchać.

— Dobrze, wybaczam panu, ale niech pan pamięta, że to po raz ostatni... Po jakimś czasie —

znowu mówi tonem opowieści — mąż był u kresu wytrzymałości i... No, niech pan teraz zgadnie, co zrobił, żeby mieć wreszcie spokój?

— Już wiem! Zabił małpkę! — rzuca szybko i radośnie strażnik-sierżant.

— Znowu pan nie zgadł — z bólem mówi więzień. — No, niech pan pomyśli chwilę, a na pewno pan zgadnie. Śmiało sierżancie!

— Mąż uciekł z domu i już nigdy nie wrócił.

— Jeszcze pan nie zgadł.

Strażnik niecierpliwie się porusza i robi minę człowieka ugodzonego w ambicję.

— To proste, że nie uciekł z domu, bo przecież nie mógł dać za wygraną własnej kobiecie... On...

— Już powiedziałem. Zabił małpę — denerwuje się strażnik.

— Nie, zabił żonę — mówi szybko i głośno więzień.

Strażnik chwilę milczy, jakby zajęty swoimi myślami, jakby jeszcze nie dotarły do niego słowa więźnia. Nagle porusza się i wstaje.

— Co? Co pan profesor powiedział?

— Powiedziałem, że zabił żonę... — więzień powtarza tonem suchej informacji — bo widzi pan, sierżancie, gdyby zabił małpkę, w niczym nie polepszyłby swojej sytuacji, a wręcz odwrotnie, pogorszyłby ją. Niech pan słucha uważnie. Gdyby zabił małpkę, żona opłakiwałaby tak samo tę śmierć, jakby straciła właśnie męża. No i on, jako mąż teraz dopiero przestałby dla żony całkowicie istnieć. Zresztą — więzień ścisza głos — wyobraź pan sobie, że pańska żona opłakuje pana, jakby już pan nie istniał. Albo inaczej, wyobraź pan sobie, że żona uważa pana za trupa. Gdyby zabił małpkę, miłość jego żony do małpki jeszcze bardziej by wzrosła...

Wieżień milknie i patrzy na strażnika, który uparcie, dokładnie ściera chusteczką pot z czoła.

— Ale żeby od razu zabijać — protestuje z bojażnią sierżant. — Mógł ją porządnie sprać, żeby na zawsze popamiętała i odechciało jej się na drugi raz głupich kawałów.

Strażnik chwilę milczy.

— A jednak to jakieś dziwne?

— Nie ma w tym, sierżancie, nic dziwnego. Wy tłumaczyłem panu przed chwilą, na czym rzecz cała polegała. Zrozumiałby to nawet dzieciak, a pan nie rozumie.

— No, tak, niby proste, ale... I dziwne — męczył się strażnik. — Mógł sprać, żeby popamiętała na zawsze!

— Już panu powiedziałam, że gdyby ją tylko zbił, kochałaby jeszcze bardziej małpkę... On musiał zabić żonę, innego rozwiązania nie było! — mówi więzień głosem nie znoszącym sprzeciwu.

— No, mam rację, panie sierżancie, prawda?

— No, niby tak — cicho i niezdecydowanie przytakuje strażnik.

— Cieszę się, że wreszcie pan mnie zrozumiał — pochwalił go więzień i odetchnął z ulgą.

Nagle strażnik wstał przestraszony.

— O, spóźnię się... Jak ten czas szybko zleciał — mówił, wpatrując się w tarczę swego zegarka. — Ale żeby z powodu głupiej małpki zabijać własną kobietę — strażnik-sierżant powoli cofa się do drzwi.

— Chwileczkę... Niech pan chwilę zaczeka... Proszę mi wierzyć, sierżancie, on inaczej nie mógł postąpić — i my musimy go zrozumieć. Chcąc zlikwidować problem, musiał zabić twórcę mitu, bo widzi pan, sierżancie, mit albo obsesja a nawet

uraz, wszystko jedno co, jak już powstanie, to jest nieśmiertelne, to już nigdy nie popuści...

Strażnik ostrożnie otworzył drzwi.

— Niech mi pan wierzy... Proszę pozdrowić ode mnie pana naczelnika i przypomnieć mu, że uczyłem go historii i postawiłem mu kiedyś piątkę za prawo Hammurabiego... Pamięta pan „ząb za ząb, oko za oko”... W tym coś jest, więc proszę mu to koniecznie przypomnieć... I niech pan do mnie znowu wpadnie, to sobie pogadamy, powspominamy, i czas przyjemniej zleci...

Więzień spostrzega się, że już strażnika nie ma w celi. Patrzy chwilę na drzwi, uśmiecha się i zadowolony zaczyna gwizdać cichutko jakąś wesołą melodię. Wyciąga się wygodnie na pryczy i usiłuje zasnąć.

Po dwóch dniach do celi więźnia znowu przychodzi ten sam sierżant-strażnik.

— Ja przepraszam, panie profesorze, bo mnie nie wolno tak ciągle u pana przesiadywać i z panem rozmawiać — mówi usprawiedliwiając się.

— To niech pan nie przesiaduje i nie rozmawia — ryzykuje więzień.

— Ależ nie o to chodzi... Ja tak na wszelki wypadek, nie chciałbym, aby o tym dowiedział się...

— Naczelnik, czy tak?

— No, niby tak...

A jednak tym razem strażnik w celi czuje się już o wiele swobodniej. Podchodzi do taboretu i siada na nim, wyciągając nogi w ogromnych butach.

— Ależ to popołudnie parne — mówi ciężko sapiąc.

— To niech pan rozepnie mundur — radzi więzień.

— Kiedy mi nie wolno, bom na służbie.

Więzień wstaje i kładzie poufale rękę na ramieniu strażnika, zakrywając dłonią jego sierżancki naramiennik.

— E, co też pan mówi, sierżancie. My tu u siebie — nachyla się i szepcze mu do ucha — jakby prywatnie, bo stanowimy jedną zgraną rodzinę. Inaczej mówiąc, tutaj jeden bez drugiego nie może się obyć... Słowem, jesteśmy tu niczym jedna wielka rodzina, każdy każdemu jest potrzebny... Pan jest potrzebny naczelnikowi, bo wykonuje jego polecenia, naczelnik jest potrzebny panu, żeby pan miał od kogo otrzymywać te polecenia.

Więzień prostuje się i podnosi głos. — Pan jest także potrzebny mnie, aby miał mnie kto pilnować, a ja jestem potrzebny panu, żeby miał pan pracę... Ponadto pan i ja jesteśmy potrzebni naczelnikowi, aby mógł być właśnie naczelnikiem. Naczelnik jest więc nade mną i nad panem, a może inaczej, nad panem jest naczelnik, pan jest nade mną a ja — tu więzień ścisza głos — jestem nad naczelnikiem, bo uczyłem go kiedyś historii po to właśnie, żeby mógł być naczelnikiem. To jest, sierżancie, właśnie hierarchia świata. Każdy jest zależny wzajemnie od każdego i nie ma między ludźmi żadnych luk. Dopóki tak właśnie jest, wszystko na tej ziemi funkcjonuje normalnie, funkcjonuje doskonale...

— Dwa dni myślę i nie mogę nijak pojąć — odzywa się jakby do samego siebie strażnik.

— Czego nie może pan pojąć? Hierarchii?

— Jakiej tam hierarchii — zniecierpliwiał się sierżant. — Ja się na tym nie wyznaję i nie chcę się wyznawać. Mnie się rozchodzi o co innego.

— O co? Czego pan nie może pojąć?

Strażnik opuszcza głowę.

— Wstyd powiedzieć, ale nie mogę pojąć o tej małpce...

Więzień chce wybuchnąć nagłym śmiechem, ale w ostatniej chwili tłumi śmiech w zarodku.

— To pan wciąż jeszcze o tamtym myśli?

— Żeby z powodu głupiej małpy zabijać własną żonę...? — ciągnie trapiącą, nie dającą mu spokoju myśl. — Tego nijak nie mogę pojąć — kończy bezradnie.

Spojrzał na więźnia z niepokojem a jednocześnie ze wzrastającą nadzieją.

— Pan mnie wczoraj obujał, panie profesorze, no, proszę niech się pan przyzna... Pan mnie przedwczoraj obujał? Prawda?

— Ależ skądże. Co panu przyszło do głowy!

Więzień karcąco patrzy na swego opiekuna.

— Opowiedziałem panu szczerą prawdę. Widziałem to wszystko na własne oczy. Czy pan uważa mnie za niepoważnego? Co?

— No, nie, przepraszam... Panie profesorze, ale pan żartuje? — znowu błagalnie.

— Wcale nie żartuję. Na potwierdzenie tego, że mówię prawdę: ja także chciałem otruć swoją żonę.

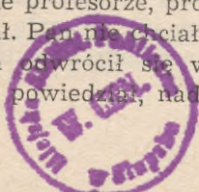
— Jak to? Pan profesor naprawdę chciał otruć? Pan taki uczony i mądry?

— Właśnie dlatego, że uczony i mądry.

Strażnik rozpiął machinalnie górną część munduru i obciągnął krawat na mokrej koszuli. Przez chwilę siedział z półotwartymi ustami, wodząc trochę nieprzytomnym wzrokiem wokół.

— Panie profesorze, proszę, niech pan powie, że pan zbujal. Pan nie chciał otruć swojej żony?

Więzień odwrócił się w stronę zakratowanego okienka i powiedział, nadając swemu głosowi jak



najwięcej powagi i żalu — Chciałem, tylko nie udało się. Kto by zresztą, panie, nie chciał otruć swojej żony. — Więzień odwraca się i patrzy w twarz strażnikowi — na przykład, niech pan powie, ale tak z ręką na sercu, czy pan nie chciałby otruć swojej?

Przestrach odmalował się na twarzy sierżanta-strażnika.

— Ależ ja, skądże znowu? — wykrztusił. — Niech mnie Pan Bóg broni — mówiąc to, uderzył się w piersi. — Ja miałbym chcieć...?!

— Niech pan nie kłamię. Pan też chciałby otruć swoją żonę? — No, niech pan się wreszcie przyzna? — Więzień podnosi głos. — Śmiało, ja przecież także chciałem to zrobić, więc nie potrzebuje się pan mnie wstydzić.

— Panie profesorze, niech pan tak nie żartuje... Ani ze mnie, ani z siebie... Ja pana bardzo proszę...

— Proszę przypomnieć sobie te wszystkie chwile, kiedy pan jest wściekły, kiedy żony nienawidzi — więzień każde zdanie wypowiada o ton wyżej. — Kiedy ma pan jej dość i myśli o tym z wściekłością, że pańska żona nigdy pana nie kochała, że wyszła za pana dla pieniędzy, że pańska żona w gruncie rzeczy gardzi panem i wstydzi się z powodu pańskiej pracy, że, że... No, niech pan sobie resztę sam dośpiewa. Proszę przypomnieć sobie, co pan myśli, kiedy ona dopiecze panu do żywego? No, słucham?!

— To fakt, że czasem jej się trochę dostanie ode mnie — przyznaje ze skrucą strażnik.

— Widzi pan, sierżancie! — triumfuje więzień.

— No, ale nie tak, żeby coś uszkodzić — szybko zastrzega się strażnik-sierżant.

— Bo to karalne.

— No właśnie.

— A widzi pan, sierżancie, tu pana złapałem! A gdyby to nie było karalne, to by pan ją sprzątnął? Pan przecież czasami życzy jej najgorszego.

— Tylko w złości, ale jak złość minie... Przecież to kobieta, więc wiadomo, że czasem dokuczy, ale ja już mam na nią sposoby...

— Niekaralne — kpiąco podpowiada więzień.

— No właśnie — sierżant nie wyczuwa kpiny. — Ale pan, profesorze, nie próbował jej truć naprawdę?

— Daj mi pan wreszcie spokój — zirytował się więzień. — Czy mogłem, według pana, truć z żartów? Właśnie, że bardzo chciałem otruć, ale nie udało się.

— Nie wierzę — mówi cicho strażnik — pan przecież uczony, mądry...

— Już powiedziałem, właśnie dlatego chciałem otruć.

— Pan profesor stale żartuje — strażnik powiedział to rozpaczliwie, jakby chwytając się ostatniej deski ratunku.

— Ja już sobie pójdę... Przepraszam, niech pan się na mnie nie gniewa, ale to wszystko takie dziwne...

Strażnik cofa się do drzwi, nie spuszczać zdziwionego wzroku ze swego podopiecznego.

— Jeśli pan, sierżancie, trochę pomyśli, to zrozumie, że to wcale nie takie dziwne.

— Ja już sam nie wiem, co o tym myśleć. Nie, to jednak nie może być... Muszę już iść... Pan naczelnik...

— O, właśnie. Niech pan pozdrowi pana naczelnika i przypomni mu znowu o prawie Hammurabiego, a on już panu na pewno wszystko wytłumaczy i to o wiele jaśniej ode mnie.

— Za dwa dni mam służbę, to znaczy zobaczy-

my się we środę... Czy przynieść coś panu profesorowi?

— Nie, nic mi nie potrzeba. Dziękuję, dobry z pana człowiek. — Więzień patrzy z żalem za odchodzącym strażnikiem. — Mam do pana tylko jedną prośbę. Niech pan dokładnie do środy przemyśli to wszystko i dobrze zastanowi się nad tym.

Strażnik-sierzant podobnie jak poprzednim razem zamyka lekko, delikatnie drzwi i równie bezgłośnie przekręca klucz. Więzień wspina się do kratki malutkiego okienka i długo patrzy w przestrzeń tuż za oknem; potem wraca i ze znudzoną twarzą, leniwie kładzie się na pryczy.

Wreszcie nadeszła upragniona dla więźnia środa. Długo nikt nie pojawiał się w jego celi. Dopiero późnym popołudniem zjawia się strażnik. Nie jest to, niestety, ten sam dobronuszny sierżant, ale młody, o kwadratowej twarzy kapral. Zagląda przez judasza. W ostatniej chwili, kiedy tamten miał już zamknąć otwór, więzień zrywa się i daje znaki, żeby strażnik wszedł do środka. Strażnik-kapral, wyprostowany jak tyka, za chwilę staje w drzwiach celi.

— Kapralu, jaki dzisiaj dzień tygodnia? Zdaje się, że środa?

— Tak jest, ma się rozumieć, że środa — odpowiada jednym tchem strażnik-kapral.

— Gdzie więc pański kolega sierżant, który mnie dotąd pilnował. Mówił, że dzisiaj będzie miał służbę...

Strażnik-kapral robi pogardliwą minę.

— On już nigdy nie będzie na służbie.

— Jak to nigdy, kapralu? — Co pan wygaduje? Dlaczego? — pyta szczerze zdziwiony.

Strażnik-kapral przybiera surową minę.

— Ot, głupi, chciał otruć swoją żonę.

Więzień wybucha nagłym, niepohamowanym śmiechem i równie nagle ucicha. Strażnik-kapral nie reaguje na to dziwne zachowanie się więźnia.

— Coś podobnego? To niemożliwe! — więzień przez chwilę przygląda się strażnikowi. — Sierżant chciał otruć swoją żonę? Czy to pewne?

— A pewnie, że pewne. Murowane. Już nawet siedzi — zwięźle opowiada strażnik-kapral — ot, głupi! Nigdy bym przedtem nie pomyślał, że on potrafi zrobić coś takiego.

— Ja też chciałem otruć swoją — mówi ze złością więzień.

— E, niech pan nie żartuje.

Więzień przybiera poważną minę.

— Ja wcale nie żartuję. Pan powinien wiedzieć — przechodzi na ton urzędowy — że jeżeli siedzę w więzieniu, to naprawdę chciałem otruć, bo inaczej... Pomyśl pan... A w ogóle, to nie wolno panu inaczej myśleć — więzień udął zdenerwowanie — bo inaczej myśląc, nie przestrzega pan regulaminu i należałoby zwolnić pana z pracy. Jeżeli tu siedzę, to znaczy, że jestem winien. Jeżeli pan kapralu, myśli — tu znowu podniósł głos — że jestem niewinny, to znaczy, że pan łamie dyscyplinę...

— No, niby tak... — bąknął zmartwiony strażnik-kapral.

— Żadne niby. Gdyby naczelnik dowiedział się o tym... — nie spuszczał z tonu więzień.

Strażnik-kapral chwilę stał załamany i zgaszony. — No, tak, ależ tak! Pan na pewno chciał otruć swoją żonę — powiedział szybko i zdecydowanie.

— O, to już lepiej — ucieszył się więzień. —

Czy pan nigdy nie myślał o tym, żeby kogoś otruć? Na przykład swoją własną żonę?

— Pan znowu żartuje.

— Proszę dobrze przypomnieć sobie. Czy pan nigdy nie życzył śmierci swojej żonie? — więzień był bezlitosny i konsekwentny.

Strażnik-kapral zrozumiał. — E, po co zaraz truć albo zabijać. To przecież karalne. Wystarczy porządnie sprać babę.

— Aha, karalne, powiada pan? A gdyby nie było karalne, to by pan otrul swoją?

— No, nie, żeby zaraz truć.

— Bo to karalne. Czy tak?

— No właśnie.

— Więc jednak pan otrulby, gdyby to nie było karalne?

— Ale karalne — odpowiedział, tym razem z melancholią, strażnik-kapral.

— O, z panem to zupełnie co innego. Mówi pan prosto z mostu.

Więzień zamyślił się na chwilę.

— Tylko, jeśli będziemy się od razu we wszystkim zgadzać, to zanudzimy się tu na śmierć...

Chwilę trwała cisza, podczas której więzień wpatruje się w twarz kaprala-strażnika, ale twarz ta jest bez wyrazu, kamienna.

— Czy pan naprawdę, profesorze, chciał otruć swoją?

— No, brawo... — z nieukrywaną radością wykrzykuje więzień. — Wreszcie możemy pogadać... Opowiem panu o pewnym zdarzeniu... Kiedyś mieszkalem obok kobiety — zaczyna swoim zwykłym przyciszonym tonem opowiadać — która czekając na swego męża, co poszedł na dziesięć lat do więzienia, kupiła sobie małą i nazwała ją imieniem

swego chłopca, bo chciała mieć wrażenie, że on jest zawsze przy niej.

— A to ci babsko, ja bym ją...

— Zaraz, zaraz, chwileczkę... — nie wybiegaj pan za szybko w przyszłość, ja jeszcze nie skończyłem... Ja dopiero zacząłem, kapralu... Potem, kiedy mąż wrócił...

— No i co? I co?

— Czekaj pan, nie denerwuj się. Wszystko opowiem po kolei.

Więzień spostrzega, że kapral nerwowo przekłada z ręki do ręki papierosy i zapalki.

— Panie profesorze, może papieroska? — mówi przymilnym tonem, wyciągając wreszcie rękę z paczką papierosów.

— Ależ chętnie — więzień bierze papierosa, a strażnik mu natychmiast przypala. — No, więc kiedy mąż wrócił... Ale... Ale... Czy pan mnie słucha?

— Ależ tak, słucham, panie profesorze... — odpowiada podniecony strażnik-kapral.

Więzień uśmiecha się szeroko i mruga porozumiewawczo do strażnika-kaprala.

— To dobrze, bo ja już myślałem, że pan jest inny niż pański kolega sierżant, z którym tak fajnie rozmawiałem przez dwa dni... Więc kiedy mąż wrócił, w pierwszej chwili ucieszył się, bo wiedział, że żona była mu wierna, mając małą o jego imieniu, która jakby go zastępowała... Ale potem... — ściszone głosem mówi więzień i milknie.

— Co potem?

Więzień spokojnie, długo zaciąga się dymem. Nie patrzy na strażnika-kaprala, słyszy tylko jego przyciszony oddech.

— Czekaj pan, wszystko opowiem dokładnie i po kolei. Pański kolega sierżant nie był aż tak niecierpliwy — mówi więzień i szykuje się do znanej opowieści.

SEN O PISTOLECIE

PEWNE przedmioty prześladowają człowieka przez całe jego życie. W czasie wojny byłem małym chłopcem i marzyłem o pistolecie. Nie chciałem mieć ani karabinu, ani automatu, nie marzyłem też o czołgu jak większość moich rówieśników. Chciałem mieć taki pistolet, jaki widziałem przy pasie u jednego z oficerów. Broń tę miałem tysiące razy w rękach, czułem zimno metalu, strzelałem z niej. I od tamtych czasów, przez całe moje życie śni mi się pistolet. Tuż po wojnie miałem ich co najmniej kilkanaście. Wszystkie zrobiłem z drzewa, gdzieś się jednak zapodziały, nie były prawdziwe. Co pewien czas śni mi się prawdziwy pistolet. We śnie jestem zawsze małym chłopcem, a pistolet jest zawsze ten sam. Śny takie miałem nawet na przeszkoleniu w podchorążówce, gdzie strzelałem na strażnicy z prawdziwego pistoletu. Umiałem go składać i rozkładać, nie miał już dla mnie żadnych tajemnic, dawno przestał być czymś fascynującym; nie był już dla mnie żadną atrakcją. A jednak i wtedy śnił mi się w nocy jako coś nieosiągalnego, tajemniczego i groźnego. Śnił mi się jako najważniejszy przedmiot

mego marzenia. Nawet po przeszkoleniu wojskowym pistolet nie przestawał mi się śnić.

Śni mi się więc, że go naoliwiam, aby nie rdzewiał, owijam w szmaty i śmiertelnie przestraszony, żeby nikt nie zobaczył, zakopuję go. Nigdy nie przyśniło mi się, gdzie go zakopuję, choć dokładnie pamiętam wszystkie czynności przy zakopywaniu. Potem w następnym śnie odkopuję i znowu go naoliwiam. Jest tłusty od oliwy i zawsze ten sam. Ze strachem go oglądam, a przerażenie, że ktoś dowie się o mojej tajemnicy, wyciska na mojej twarzy gorący pot. Wciąż budzę się przestraszony, że kiedyś przez ten pistolet zamkną mnie do więzienia. Z ulgą więc uświadamiałem sobie w jakiś czas po przebudzeniu, że był to tylko sen. Jestem bezpieczny, nic mi nie grozi, bo nie mam żadnego pistoletu i nigdy go nie miałem.

Z każdym jednak następnym snem byłem coraz mniej pewny, czy ja naprawdę nie miałem nigdy pistoletu; coraz mniej jestem pewny tego, czy ten pistolet naprawdę nie został gdzieś przeze mnie schowany. Nie jestem już niczego pewien. Może go rzeczywiście miałem. Gdyby mi ktoś zadał pytanie na ten temat, nie umiałbym już odpowiedzieć. Nawet pod przysięgą, odpowiedziałbym, że nie wiem. Ale któż by mi uwierzył, że nie wiem, czy kiedykolwiek w życiu miałem taką rzecz jak prawdziwy pistolet. Teraz wydaje mi się, że z dwóch ewentualności bardziej prawdopodobna jest ta, że go naprawdę miałem. Świadczą o tym okoliczności z nim związane. Jest ciężki i czarny, cały z metalu, naoliwiony tak bardzo, że olej aż spływa po nim kroplami, jest zawinięty w tłuste szmaty. Oglądam go wiele razy ze strachem w szopie zawalonej najprzeróżniejszymi gratami. Żaden szczegół związany z pistoletem nigdy nie

zmieniał się we śnie. A więc istnienie pistoletu jest bardziej możliwe niż niemożliwe. Nie pamiętam jednak skąd się wziął mój pistolet. Nie wiem też, co się z nim stało, gdzie jest teraz. Najpewniej go schowałem. Wiele razy próbowałem usilnie przypominać sobie, gdzie ja go mogłem schować. Zacząłem się bać, że ktoś go odnajdzie i wtedy zaczną się kłopoty, bo nie wolno przecież posiadać broni. Już wszystko tak się skotłowało, że od pewnego czasu śni mi się, że śniłem, iż we śnie miałem pistolet. Sen o śnie jest najpewniej jawą. Teraz jestem całkowicie przekonany, że pistolet ten istniał naprawdę, że ja go miałem — tylko nie wiem, gdzie jest schowany. Strach, że wyjdzie na jaw moja tajemnica, przejmuje mnie taką samą zgrozą jak przerażenie we śnie, że ktoś zobaczy ten przedmiot w moich rękach.

Doszło do tego, że obecne sny o pistolecie dzieją się we współczesnej, realistycznej scenerii. Ścisłej mówiąc, oznacza to, iż jest czas teraźniejszy, a ja jestem ja-obecny, już nie mały chłopiec skradający się cichaczem do starej szopy zagraconej wojennymi rupieciami. Do szopy, gdzie zabito mego rówieśnika z takiej samej broni, o jakiej i on, i ja marzyliśmy.

Ja zmieniłem się, pozostał tylko ten sam pistolet w tłustej oliwie, owinięty w te same brudne szmaty. Teraz rozwijając szmaty, boję się jeszcze bardziej, bo przecież jestem dorosły i zdaję sobie sprawę z odpowiedzialności nielegalnego posiadania czegoś takiego. Strach przed więzieniem budzi mnie — ulga, że był to tylko sen, następuje teraz o wiele później. Zbyt dużo było takich samych, identycznych snów. Powtarzające się permanentnie dokładnie te same sny stają się do pewnego stopnia jawą, podobnie jak szczegóły w życiu, które pow-

tarzane dokładnie i wiele razy rugują wreszcie naszą świadomość ich zdarzania się, czyli stają się swego rodzaju snem.

Ostatni mój sen o pistolecie jest nadzwyczaj realistyczny i wyrazisty. Oto, tuż po przyjsciu z pracy, pokazuję w szopie pistolet memu znajomemu oficerowi milicji. Ale i on jest bezradny. Mówi, że nie mam już wyjścia. Grozi mi więzienie, jeśli nadal będę przechowywał broń. „A więc zanioś na milicję” — krzyczę radośnie. „To niemożliwe” — słyszę odpowiedź. „Dlaczego?” — pytam nie rozumiejąc. „Temu, kto całe życie ukrywał pistolet nie daruje się takich rzeczy”. „Amnestia”! — znowu krzyknąłem rozpaczliwie, chwytając się tej myśli jak ostatniej deski ratunku. „W ciągu twego życia było wiele amnestii, a jednak nigdy nie pozbyłeś się tego pistoletu” — odpowiedział z żelazną logiką oficer.

„Nie ma więc amnestii dla pamięci” — myślę budząc się w szopie.

NASZ BOHATER, ROBERT...

TEN pokój, w którym zmuszano go do zamieszkiwania, był najwyraźniej po dezynfekcji. Wysterylizowany. Czuć go było tym nie-ludzkim i tym niezwykłym zapachem, suchym i bezbarwnym, nic nie oznaczającym. Mimo, że pokój-cela nie był od dawna zamieszkały, nie znalazł tu ani pajęczyny, ani tym bardziej kurzu. Pokój był przerażająco czysty i nagi, martwy. Łóżka, taborety, stół i szafa były odarte całkowicie z tej ulotnej powłoki jaką jest kurz. Całkowity brak zapachu, tego wachlarza zapachów, do którego Robert przyzwyczał się, i martwota przedmiotów w pokoju, tworzyły tu atmosferę napawającą chłodem, będącą synonimem śmierci. Mówiąc jednak prawdę, nie wiadomo, jak to odczuwał Robert, próbujemy jedynie domyślać się tego wszystkiego, znając troszeczkę naszego bohatera i znając także siebie. Możemy więc być prawie pewni, że odwracał się od równiutko i biało zaścielonych łóżek, kłując białych i rażąco równo zaścielonych. Najboleśniej cięła jego oczy symetria, do której miał od dawna niechęć. Wiedział, że on sam także poddany symetrii przestawał się liczyć dla otoczenia,

przestawał mieć jakiekolwiek prawa prócz istnienia w tej symetrii, która stanowiła swego rodzaju doskonale uwięzienie. Był jednym z jej czynników, żył już tylko dla niej, a więc nie mógł istnieć choćby w najmniejszym stopniu dla samego siebie. Teraz Robert strzegł symetrii w tym pokoju, dbał o nią i był w miarę zadowolony z tego, że wreszcie on sam ją ustanawia, nie podlegając jej prawom. Jakby więc rozkoszując się tą świadomością, wciąż zmieniał pozycję, „własne miejsce stania” w tym nietypowym pokoju-celi, który usiłował uczynić jakimś swego rodzaju pierwszym stopniem odzyskiwania wolności.

W ciągu początkowych kilku dni pobytu tutaj Robert niewiele myślał. Był apatyczny, leniwy i zmęczony. Z zadowoleniem przyjmował opanowujący go stan apatii, lenistwa i zmęczenia. Zanurzał się w nim. A przede wszystkim rozkoszował się stanem bezruchu lub „nieharmonicznego” przepływania z miejsca na miejsce w tym pokoju. Słowem, celebrował ten stan. Któregoś dnia odkrył wspaniałą rzecz. Widok z okna. Patrząc na ruch za oknem doznawał uczucia prawdziwego powrotu wolności.

Oto, po raz pierwszy, był poza zasięgiem ruchu, w którym obowiązywała symetria i harmonia. Oto, po raz pierwszy mógł nie uczestniczyć w nim, patrzeć na ten ruch obojętnie. Przyglądał się więc z zadowoleniem ludzkim sylwetkom biegnącym w linii, w szeregach, wyskakującym z rowów, maszerującym dwójkami, trójkami i czwórkami, siedzącym w kucki i tworzącym koło, stojącym w kształcie prostokątów, leżącym na polach szachownicy... Dodajmy jeszcze, że z tej odległości ludzie mogli wyglądać jak duże mrówki przy ścianie siniego lasu (która zawsze za nimi się zaczynała), jak

ogromne mrówki, raz bardzo powolne i ostępiałe, innym znów razem zwinne i szybkie, jeszcze kiedy indziej wściekle złe, a potem łagodne i zasypiające. Zawsze wszystkie trwały jednocześnie w tym samym stanie: bezruchu lub ruchu. Zarówno bezruch jak i ruch był doskonale zharmonizowany i żadna z tych postaci-mrówek ani razu nie naruszyła harmonii. Te postacie, duże mrówki, zawsze jak mrówki coś dźwigały, przyklejały się do jakichś pojazdów, wciąż szły symetrycznie lub grzebały w ziemi tylko po to, aby zaraz grzebać w innym miejscu. Mogło to równie dobrze przypominać rycie zwierząt szukających pożywienia. Bezustanne rycie. Innym znów razem bezustanne bieganie. Jeszcze kiedy indziej mrówki zamierały przyczajone do skoku.

Kiedy Robert stał już dość długo w oknie, zaczęło mu się wydawać, że to on wprawia w ruch lub w bezruch tamte istoty — mrówki na porytim polu pod lasem. Mógł przewidzieć każdy ruch tych istot, dużych i tłustych mrówek, więc na ułamki sekundy przedtem pociągał właściwe sznurki, wydawał odpowiednie rozkazy. Natychmiast tamci robili to, co im Robert rozkazywał. Był na tyle przebiegły, że nigdy nie wydawał rozkazów nie upewniwszy się całkowicie, czy je wykonają. Słyszał ich oddechy. Dopiero teraz poczuł ich zapach. Jednakże las i pola, miasto w oddali, jego wieże i kominy nie istniały dla niego jak istnieją dla mieszkańców wsi czy turystów. Były tylko plamami lub punktami pomagającymi wydawać odpowiednie rozkazy. Kiedy ta zabawa na stojąco zmęczyła Roberta, przesunął długi, prostokątny stół pod okno, i kładł się na nim. Wystarczało w dalszym ciągu pociągać leniwie za sznurki, a tamci pod lasem robili wszystko, co on chciał.

Teraz nawet nie potrzebował fatygować się żeby mówić do nich w myślach.

Dopiero około drugiej po południu, kiedy mężczyła go na dobre ta zabawa, kazał wynosić się do diabła dużym i tłustym mrówkom. I rzeczywiście mrówki ociężałe i grzecznie, symetrycznie ruszały w stronę Roberta. Patrzył na nie jak się powiększały i poznawał twarze, niektóre tak dobrze mu znane. Przestawało to Roberta bawić, zaczynało nawet irytować, bo oni wchodzili już w obręb murów prostokąta w którym i on był. Tracąc ich z pola widzenia, przestawał mieć nad nimi władzę, więc bał się, że znów wraz z ich powrotem zostanie poddany znienawidzonej symetrii.

Oczywiście gdyby w któreś popołudnie spadł wiosenny deszcz na pole pod lasem i na sam las, na drogę pełną pyłu i żaru, Robert mógłby przypomnieć swoje chwile z dzieciństwa, chwile, kiedy lubił biegać w ciepłym deszczu aż do wieczora; mógłby nawet usłyszeć porykiwanie krów, przyjemny zapach rozparzonego i rozmokłego kurzu, zapach oparu wiosennego, ciężką i szklistą wilgotną intensywność liści na drzewach...

Robert nie miał jednak widoków na takie odczucie po prostu dlatego, że obecny jego kontakt z przyrodą mógł być tylko pośredni — wszelki krajobraz musiał być dla Roberta martwy. Krajobraz musiał być martwą naturą, inaczej jego wszelkie czynności w tym krajobrazie zostałyby uznane za niewłaściwe i to przyniosłoby Robertowi katastrofę. Z trudem, ale przecież już był doszedł do perfekcji wykonywania wszystkich czynności, jakie go obowiązywały. Takie same czynności obowiązują istoty-mrówki, którymi bawił się w tym pokoju-celi, pociągając leniwie za sznurek. Dla tamtych

pod lasem krajobraz też musiał być martwą naturą przystosowaną do ich ruchu lub bezruchu. I dlatego właśnie panowała taka harmonia między przyrodą w takiej postaci a tymi pod lasem i Robertem, kiedy był razem z nimi. Może i dlatego Robert nie uzyskał dawnego kontaktu z przyrodą, bo kiedy znikli z jego pola widzenia, on zawsze był już zmęczony i odwracał się od okna. Wtedy atakował go sen, przed którym zawsze się bronił, wreszcie zasypiał. O jego śnie też dałoby się wiele powiedzieć. Choćby to, że spał prawie ze świadomością snu, że dopiero we śnie mogły odzywać się echa dzieciństwa, właśnie w rodzaju tych chwil brodzenia po deszczu, nawoływania matki, zapachów wiosny. Nie mamy jednak pewności, co się odbywało we śnie Roberta ułożonego na stole, dlatego zaniechamy szczegółowych relacji na ten temat, poprzestając na powyższym nieśmiałym domysle.

Jedno jest pewne, że właśnie we śnie zaczęło Robertowi dawać o sobie znać to zdarzenie, dzięki któremu znalazł się w tym miejscu, w celi-pokoju. Nie śpiąc nie pozwalał sobie o tym zdarzeniu myśleć i to był jego aktualnie jedyny najważniejszy nakaz postawiony samemu sobie. Robert wiedział jednak dobrze, że musi do tej sprawy wrócić, do tego zdarzenia, które go tutaj zaprowadziło. Ze zrozumiałych względów chciał jednak tę chwilę odwlec i to jak najdłużej. Być może były to resztki instynktu samoobrony, jakie zostały w naszym bohaterze.

Rzecz jasna na nic nie zdały się Robertowi te wszystkie sztuczki, bo stało się coś, co musiało się stać. Prócz rąk, które trzy razy dziennie wsuwały przez okienko w drzwiach blaszane naczynie z kawą i zupą, pojawił się któregoś dnia pierwszy gość.

Przyszedł w momencie, kiedy Robert leżąc wyciągnięty na wznak na stole przysuniętym do okna, bronił się jeszcze przed snem.

Nasz bohater i gość przyglądają się sobie chwilę ze wzajemnym zdziwieniem.

— Jestem prokuratorem i moim obowiązkiem jest ciebie oskarżać — mówi gość i chwilę czeka, ale Robert nie reaguje na jego słowa. — Nie bój się mnie, oskarżając ciebie, będę się starał być sprawiedliwym. Ja przecież — tu zawahał się — też jestem człowiekiem.

Robert patrzy nadal ze zdziwieniem. Zdaje się, że ten wzrok gospodarza peszy gościa a może tylko złości. Obojętne jak jest, ważne, że wzrok Roberta w jakiś tam sposób porusza gościa.

— Słyszałeś, co do ciebie powiedziałem?

— Aha... Pan jest ogromną, tłustą mrówką w skali 1:100 000.

— Nie zgrywaj się — gość, już wyraźnie złoścąc się, przechodzi na ton oficjalny: — Daruję wam ten wygłup, bo i tak jesteście w nieszczęściu...

— Chcę być w areszcie, mam piękny widok i pociągam za sznurek.

Gość udaje, że słowa Roberta nie robią już na nim wrażenia.

— Przystąpmy od razu do rzeczy. Przyznajecie się do winy? To prawda, jesteś winny? — kończy słodko gość-prokurator.

— Ach tak... Ależ tak, przyznaję się — ochoczo mówi Robert. — Oczywiście, że jestem winny....

— Wiedziałem od razu, że dobry z ciebie chłopak. Może papieroska?

Robert kręci przecząco głową.

— O, tu przygotowałem zeznanie, proszę podpi-

sać w tym miejscu — mówi z uśmiechem gość-prokurator i podaje pióro.

Robert leniwie, ale bez oporu podpisuje.

— Nie czytaliście wcale zeznania — gość mówi nieśmiało i z bojaźnią, mówi już po odebraniu kartki papieru i obejrzeniu podpisu.

— Nie — z obojętnością odpowiada Robert.

— Ale znałeś treść zeznania?

— Nie — znowu obojętnie Robert, wyraźnie znużony.

— Trzeba mówić, że znasz — tłumaczy gość-prokurator.

— Tak, będę mówił, że znam — odpowiada niecierpliwie Robert.

Gość-prokurator szybko wstaje.

— To ja już sobie pójdę. Do widzenia — mówiąc to cofa się tyłem do drzwi.

— O to właśnie chodzi...

— O co? — dziwi się gość.

— O to pójście. Zawsze chodzi o pójście...

Gość-prokurator nagle zatrzymuje się.

— Dobry z ciebie chłopak. Może potrzebujesz czegoś?

Robert rozgląda się chwilę po celi-pokoju.

— O, chcę i w tej ścianie mieć dwa okna! — prawie krzyczy.

— Wspaniałe poczucie humoru — bojaźliwie mówi gość-prokurator. — No, to cześć. Do jutra...

Gość-prokurator tym razem odchodzi naprawdę. Robert układa się na wznak, rozprężając wszystkie mięśnie, i prawie natychmiast zasypia.

Nasz bohater następny dzień przeżywa tak samo jak ten, w którym odwiedzał go prokurator. Może jedynie z tą różnicą, że trudniej mu już obronić się przed zdarzeniem, które go zaprowadziło do pokoju-celi.

O tej samej godzinie co poprzedniego dnia znowu przychodzi gość, tyle tylko, że udaje kogoś innego. Wygląda nawet trochę inaczej, ale Robertowi wydaje się, że to ten sam, że zaczęła się regularność odwiedzin.

— Jestem twoim obrońcą, więc będę ciebie bronił. Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, ale jestem przecież, jak pan wie, tylko człowiekiem — mówi nowy gość.

— To już wiem.

— Co?

— Że każdy, kto przychodzi tutaj, przekonuje mnie, że jest człowiekiem.

— Wesoly jesteś, to świadczy, żeś niewinny. Prawda, że jesteś niewinny?

— Tak, jestem niewinny...

— Trochę mi się śpieszy, więc przystąpmy od razu do rzeczy. Tu jest twoje zeznanie.

Gość-obrońca podaje kartkę papieru i pióro. Robert bez słowa podpisuje.

— Fajny z ciebie chłopak.

— I to już wiem — leniwie, ale bez złości mówi Robert.

— Może chcesz jeszcze raz wszystko dokładnie opowiedzieć, jak to było? Być może znalazłyby się jakieś dodatkowe szczegóły łagodzące...

— Na wielkiej wojnie zabiłem tysiąc ludzi, którzy byli mrówkami... No, nie? Był ogromny wybuch, olbrzymi grzyb, huragan i świst z wyciem... Więc zabijałem mrówki, które okazywały się jednak po wojnie ludźmi, prawidłowo mówię?

— No, dobrze, już dobrze... Wystarczy to, co jest. Dobry jesteś chłopak. A może ci coś potrzeba?

— Chcę mieć dwa okna także w podłodze, aby widzieć tych, których zabijałem...

— No dobrze, dobrze już... Uspokój się, synu.
Fajny z ciebie chłopak... No, to cześć, do jutra...

Gość-obronca odchodzi.

Nie ma już jednak jutra z gośćmi. Roberta skoro
świt przenoszą do wążiutkiej, prawdziwej celi bez
okien.

SPOWIEDŹ

CODZIENNIE chodzisz ulicami tego miasta. Usiłujesz wniknąć w życie ludzi, którzy tu mieszkają. Oni jednak ciągle wymigują się tobie; zawsze, gdy już odkrywasz w nich jakąś cechę, robią zręczny unik. Nigdy jednak nie dają ci do zrozumienia, że przegrałeś.

W rezultacie, nie ty ich poznajesz, a oni ciebie. Taki mały paradoks, który rośnie w tobie do rangi wrzodu, z każdym dniem coraz bardziej palącego. Niestety, musisz co dzień spotykać się z mieszkańcami tego miasta, chodzić do gwarnych lokali i przeróżnych instytucji. Musisz zapraszać znajomych i przyjaciół do mieszkania i bywać u nich w ramach rewanżu. Czasem myślisz o tym, jakie prowincjonalne jest to twoje miasto, i jakie małe dla ciebie. Łudziłeś się na początku, że łatwo poznasz tutejszych ludzi, w małym mieście ludzie szybciej nabierają wspólnych cech. Tak myślałeś w chwili, gdy zamieszkiwałeś w tym mieście. Postanowiłeś o nich pisać, poznawać ich życiorysy, ich zmartwienia i radości. Stało się wręcz przeciwnie. Nie poznałeś ich życiorysów — jeśli nawet opowiadali o sobie, to już na drugi dzień przekonywa-

leś się, że przekazywali ci fałszywe wiadomości.

Zacząłeś więc pisać o sobie, pisać tak natarczywie i z takim samobiczowaniem, że z czasem nawet w tobie zrodził się z tego powodu niesmak. Utrzymywały cię jednak przy pisaniu pierwsze oznaki sławy — sławy taniej, ale jednocześnie bardzo pojętej, bo objawiającej się w momencie kupowania sera lub chleba, w chwili wyludzenia w stołówce kości dla twego rasowego psa, który dzięki tobie stawał się również sławny. Może ściślej, twój okazały pies zwiększał twoją popularność. Gdy pojawiałeś się, na przykład, wśród ludzi, którzy cię nie znali, twój okazały pies wzbudzał tak wielkie zainteresowanie, że w końcu wyjaśniało się, kto jest jego panem. Nie mogłeś na początku znieść szepotanych pytań w rodzaju: „Co to za facet z tym ślicznym, rasowym psem?”. Potem, gdy wszyscy rozszyfrowali ciebie, żałowałeś tamtych chwil, w których spośród was obu, twój pies był bardziej popularny.

Pisałeś o sobie zachowując pozory pisania o innych. Rozdrabniałeś siebie na iluś tam bohaterów, potrzebnych do stworzenia sytuacji, akcji czy tylko atmosfery. Wreszcie przyszedł taki moment, w którym wyczerpałeś wszystkie możliwości siebie — nie mogłeś już ułożyć zdania, żeby się nie powtórzyć. Dostrzegałeś coraz wyraźniej, że wszyscy twoi bohaterowie, na pozór różniący się między sobą, to tylko ty, jakże ciężkostrawny i nudny, wyeksploatowany do ostatnich granic. Teraz mogła cię uratować już tylko fantazja o samym sobie, ale przed fantazją broniła się twoja natura nie dopuszczająca fałszu. Teraz, w kolejce po masło i ser, zamiast jak dawniej, uśmiechać się do sprzedawczyni z odrobiną pobłażania, ona uśmiechała się do ciebie. Uśmiechała się z tą wyraźną wyższością, która

oznacza, że zna ciebie i twoje tajemnice, które jej sam wyłożyłeś. Wytrzymałeś jej wzrok, szukając na gwałt choćby najbliższej sprawy, w której zaatakowałbyś z kolei ją — i tu spotkało cię fiasco. Ona, jak wiele podobnych kobiet, była dla ciebie manekinem, który nic nie wyraża. Wiesz doskonale, że poniosłeś nieodwracalną klęskę. Powinieneś wynieść się z tego malutkiego miasta. Powinieneś osiedlić się w mieście, w którym byłbyś czujny wobec siebie i bardziej przebiegły w stosunku do jego mieszkańców. Dotychczasowe doświadczenie pomogłoby ci jednakowo oceniać zarówno pochwałę jak i naganę — wiedziałbyś, że w obu jest jednakowa doza lekceważenia. Wygłaszający oceny są zawsze ponad tobą i dlatego powoli stają się dla ciebie niezbędni. W innym, dużym mieście, wszyscy czuliby, że istniejesz, a jednocześnie jesteś dla nich nieosiągalny, poza zasięgiem ich działalności. Powtarzasz przed sobą, że byłbyś wyjechał z tego miasta. Mówiono by o tobie z leką w oku, wzbudziłbyś nawet zazdrość, bo twój wyjazd uznano by za awans.

Byłbyś naprawdę wyjechał, gdybyś nie odkrył pewnego dnia rzeczy niezwykle zastanawiającej, uderzającej w ciebie jak grom z jasnego nieba — i bądź szczerzy przed samym sobą — to cię zatrzymało w tym prowincjonalnym mieście. „Argus, to dopiero artysta, pobił wszystkich na głowę zajmując pierwsze miejsce w konkursie” — powiedział któregoś dnia sąsiad z parteru. Patrzył na ciebie przez chwilę długim i przeciągłym spojrzeniem. Zazdrość przepłynęła w tobie falą i na chwilę podcięła nogi. Miałeś jednak na tyle siły, żeby nie dać niczego odczuć sąsiadowi. A kiedy wróciłeś do domu, nagle wykrzyknąłeś zwyczajnie przed samym sobą. Przestałeś być samotny w tym mieście, Argus

zacznie dokładnie cię powtarzać. On będzie z zadowoleniem przyjmować czyjeś pochwały, i tylko ty będziesz wiedział, że tak oto zaczyna się jego kłeska. Nigdy nie powiesz Argusowi prawdy, bo uznałby to za objaw zawiści. Teraz będzie tak, jak było z tobą: nikt nie będzie go czytał, a wszyscy będą udawali, że czytają. Liczyłeś się także z tym, że gdy zejdziesz w cień będziesz swobodniejszy. Oto, dlaczego zostałeś w tym mieście. Ktoś mógłby nie uwierzyć, że pojawienie się Argusa na afiszu zdecydowało o twoim pozostaniu. A jednak... Zostałeś, bo stałeś się wreszcie postronnym świadkiem, więc jednocześnie bystrzejszym obserwatorem. Jeszcze jedno zdarzenie przekonało ciebie, że nie przegrałeś zupełnie. Oto, jak często dotychczas, miałeś oficjalne spotkanie z mieszkańcami tego miasta. I tym razem wykladałeś im siebie uniżenie jak clown, żebrząc o odrobinę łaski i choćby nikły uśmiech przyzwolenia, o gest aprobaty, choćby z grzeczności i od niechcenia. Usłyszałeś po tym spotkaniu, że twoja skromność, to obłuda i fałsz, że w gruncie rzeczy wszystkimi gardzisz. Jakże niesprawiedliwie cię ocenili — myślałeś. Potem stwierdziłeś, że oceniają cię korzystniej niż jest w rzeczywistości, niż na to zasłużyłeś. Wszystko cokolwiek robiłeś, uznali za fałsz i grę, więc nie jesteś w ich oczach skompromitowany. Nie mogłeś nawet marzyć o lepszej dla siebie sytuacji. Te dwie rzeczy, błędna ocena ciebie i pojawienie się Argusa zdecydowały, że pozostałeś w tym mieście. Prawdy o sobie, którą im dobrowolnie rzucałeś pod nogi, nie przyjęli, bo nie mogli uwierzyć, że ktoś aż do tego stopnia może być szczery. Teraz Argus — pomyślałeś szybko — będzie ci dostarczał wielu satysfakcji w mieście.

Już od kilku godzin krążysz pod oknami jego

domu. Coraz częściej wracasz do tej myśli, że powinniście się upić, że powinieneś powiedzieć mu całą prawdę, przestrzec go przed niebezpieczeństwem. Nie, nie będziesz nawet próbował odbierać mu złudzeń — to byłoby dla niego zbyt okrutne. Nie można nikomu zabierać złudzeń — usprawiedliwiasz siebie, odchodząc spod okien Argusa. Chciałbyś jednak z nim porozmawiać, więc znowu krążysz pod jego oknami. Chciałbyś przepowiedzieć mu przyszłość, zrobiłbyś to bardzo dokładnie. Po prostu opowiesz o sobie. Mógłbyś mu udzielić trochę rad i wskazówek, które uchroniłyby go przed niepowodzeniami. Naraz łapiesz się na tym, jakie masz dobre i sentymentalne serce.

Wzdrygasz się spostrzegłszy, że ten sentymentalizm i ta cikliwość są w stosunku do samego siebie. Wiesz doskonale, że nie ma żadnego pisarza Argusa. Krążysz pod oknami własnego domu, do którego za chwilę wejdiesz. Twój pies nazywa się Argus, ty sam go tak nazwałeś. Byłeś trochę pijany — a jednak mimo zamroczenia, jak dużo jest ścisłości w twoim rozumowaniu. Twój pies ma na imię Argus. Ty go usiłujesz zrozumieć i to jest twoja wyższość nad rasowym psem. Odchodzisz wreszcie od okien i wchodzisz do domu. To nieprawda, nie ma prowincjonalnego miasta, mieszkasz w bardzo dużym mieście. Byłeś w sklepie, kupowałeś chleb i ser. Nikt cię tam nie poznał, nawet znajoma ekspedientka. Podała ci produkty i przyjęła pieniądze, nie patrząc na ciebie. Teraz zauważasz, jaki jesteś sentymentalny i ganisz siebie w imię dyscypliny, która, nigdy dotychczas cię nie zawiodła. Zły jesteś na siebie, że pozwoliłeś samemu sobie się roztkliwiać. Jesteś przecież znanym pisarzem, a nikt w sklepie nie wskazał cię nawet skinieniem. Nikt także nie podejrzewa cię o tyle rozterek duchowych,

o tak miękki i słaby charakter. Z wyglądu sprawiaasz wrażenie człowieka wewnętrźnie bardzo silnego. Jesteś również znany z tego, że jako jeden z niewielu pisarzy, poprzez swoich bohaterów nie opowiadałeś nigdy o sobie, choć zawsze o tym marzyłeś. Dzisiaj długo krążysz w ogrodzie, pod oknami swego domu.

Wreszcie otworzyłeś drzwi i wszedłeś.

CHŁOPIEC, KTÓRY ZNISZCZYŁ SWÓJ UŚMIECH

PAMIĘTAM, że zapanował wśród nas smutek nie do opisania, gdy kuratorium przysłało profesora od łaciny. Nowy łacinnik miał lat około sześćdziesiąt i wszystkie cechy człowieka starej daty. Chodził w nie spotykanym już po wojnie malutkim meloniku, który przypominał damskie kapelusze, jakie oglądaliśmy w sztambuchach naszych babek i dziadków. Za płaszcz służyła mu króciutka, śnieżnobiała peleryna, podobna do płaszcza antycznego — już wtedy to odkryliśmy.

Jak każdy z profesorów i on otrzymał przewisko. Nazwaliśmy go z powodu jego kapelusza „Melonikiem”. Nowy profesor paradował z czarnym parasolem o dziwnej ręczce, zapewne był w niej wyrzeźbiony kiedyś dokładniejszy kształt, ale czas i ręka profesora zatarła ślady rzeźby. Nie spotkałem także nigdy kogokolwiek, kto bardziej przestrzegałby powiedzenia „Parasol noś i przy pogodzie”. „Melonik” stosował w praktyce ten aforyzm z wytrwałością godną podziwu.

Nie pamiętam już jego nazwiska, ale po tylu latach obudzony nawet w środku nocy na dźwięk sło-

wa „Melonik”, natychmiast będę wiedział, o kogo chodzi, i potrafię go szczegółowo opisać. Profesora od łaciny zapamiętałem tak dokładnie dlatego, że za jego sprawą rozstałem się z Markiem.

„Melonik” zawsze, zanim zaczął lekcję, „wstawił nam mowy” o dokarmianiu ptaszków, o szanowaniu zwierząt i krzewów. Tamtego, najbardziej dla mnie pamiętnego dnia, wszedł do klasy i w połowie drogi od drzwi do katedry stanął jak wryty. Na środku klasy leżała duża skórka od chleba.

— Wandale, barbarzyńcy, nicponie! — krzyknął. — Kto to rzucił? Dyżurny?!

Dyżurny, niestety, nie wiedział, nikt też nie przyznał się do winy. Po kilku minutach „Melonik” opanował się i zaczął nam tłumaczyć długo i nudnie, ile to sikorek i innych ptaszków mogłoby się nakarmić sponiewieraną skórą chleba. Kiedy przedłużała się mowa „Melonika”, strzepnąłem pióro na jego biały jak śnieg płaszcz. Ze zgrozą spostrzegłem, jak powstaje kilkanaście niebieskich gwiazdek na mlecznym niebie „melonikowego” płaszcza.

Cała lekcja upłynęła na pogadance wychowawczej. W czasie przerwy wpadł do klasy łacinnik jak bomba; był w towarzystwie dyrektora. „Melonik” i dyrektor ruszyli między ławki, zaglądając wszystkim po kolei w twarz. W pewnej chwili łacinnikowi przypomniało się, że najdłużej stał przy nas. Dyrektor spojrzał na mnie, na moją niewinną minę i szybko przeniósł wzrok na Marka. Marek uśmiechnął się jak zwykle, miał już taki charakterystyczny uśmiech, który nie schodził z jego twarzy.

— Abanek, przyznaj się, tyś to zrobił — mówił nasz srogi dyrektor, siłąc się na łagodny ton.

— To nie ja, panie dyrektorze — jeszcze szerzej uśmiechnął się Marek.

— Więc kto?

— Nie wiem, może profesor sam sobie — anielsko, od ucha do ucha śmiał się Marek.

— To on, stałem przy tej ławce! — jakby trafiony kulą zaskandował „Melonik”.

Marka zabrano do kancelarii. Gdy wrócił, nikt z nas nie miał odwagi o cokolwiek pytać. Marek zabrał teczkę, bez pożegnania i słowa wyszedł z klasy. Na drugi dzień skreślono z listy uczniów nazwisko Abanek Marek, nazwisko oznaczone cyfrą jeden.

Natychmiast pobiegłem do dyrektora z wyjaśnieniem, że to właśnie ja zabrudziłem płaszcz łacinnikowi, ale dyrektor nie chciał mnie słuchać — wyzwał od bohaterskich smarkaczy i wyrzucił za drzwi. Pamiętam, że krzyczał ze złością o bezczelnym zachowaniu się Marka w kancelarii, o braku skruchy i ciągłym ironicznym jego uśmiechu.

Po kilku dniach poszedłem do Marka, ale nie zastałem go w domu, potem zaczęły się ferie zimowe i wyjechałem na wieś do rodziców. Po powrocie z ferii wiele razy wybierałem się do niego, jednak zawsze zabrakło mi odwagi. Długo prześladowała mnie myśl o krzywdzie, jaką wyrządziłem swemu koledze. Po latach zapomniałem o tej historii, a jeśli kiedykolwiek przypadkowo przypominałem sobie Marka natychmiast robiłem wszystko, żeby o nim nie myśleć.

I oto któregoś dnia, wiele lat po tamtym wydarzeniu, zadzwonił telefon. „Co, nie poznajesz starego przyjaciela”? Nie, nie poznawałem. „Marek Abanek” — zabrzmiało w słuchawce, a po chwili „Już tak się nie nazywam.” Marek, Marek Abanek. Natychmiast zobaczyłem przed sobą jego charakterystyczną, zawsze uśmiechniętą twarz. Takiej twarzy i takiego uśmiechu zapomnieć przecież nie spo-

sób. „Więc nie gniewa się na mnie?” — pomyślałem ucieszony. Umówiliśmy się w kawiarni o siedemnastej. „Za pół godziny będę z nim rozmawiał” — wciąż uświadamiałem sobie. Czy bardzo się zmienił? Nie widzieliśmy się... zaraz... zaraz...

Ile to dokładnie lat? cztery, pięć, dwa — nie widzieliśmy się jedenaście lat... Jedenaście lat. Kupa czasu. Czy go poznam? Poznam na pewno... Więc zadzwonił. Nie, wcale nie boję się tego spotkania. Dlaczego miałbym się bać? Powiedział: „Nie poznajesz starego przyjaciela?” Na pewno nie gniewa się na mnie — rozmyślałem gorączkowo.

Oczywiście przyszedłem do kawiarni za wcześnie, brakowało jeszcze piętnastu minut do umówionej godziny. O tej porze nie było tu tłoczno. Wybrałem środkowy stolik spośród trzech nie zajętych w końcu sali: nie chciałem, aby przypadkowi słuchacze krępowali naszą rozmowę. Naprzeciw mnie, pod przeciwległą ścianą, siedział nieruchomo młody, chyba jeszcze siedemnastoletni chłopiec. Drgnął na głos kelnerki, zapłacił jak gdyby przyłapany na gorącym uczynku, i wybiegł zostawiając pustą szklankę z postrzępionymi kawałkami cytryny. Po chwili podeszła do mego stolika kelnerka. Zamówiłem dużą kawę. Uśmiechaliśmy się porozumiewawczo, przychodziłem tu prawie co dzień ze swoją sympatią. Tę kelnerkę polubiliśmy. Ona również nas lubiła, to znaczy mnie i moją sympatię. Zamienialiśmy często lapidarne zdania, wtedy albo ona nam potakiwała, albo my jej. Być może mieliśmy jednakowe poglądy lub uwagi dotyczyły spraw oczywistych.

Staralem się za wszelką cenę nie myśleć o Marku — będzie na to czas, jak się zjawi. Za chwilę kelnerka wróciła z kawą. Znowu ten porozumiewawczy uśmiech. „Myśli, że denerwuję się, czeka-

jąc na swoją dziewczynę” — zgadywałem. Postawiła kawę, i znowu ten sam przeciągły uśmiech. Patrzyłem ostentacyjnie w inną stronę. Słyszałem wyraźnie jej drobne, szybkie kroki.

Kiedy odwróciłem głowę, przy mnie stał Marek Abanek. W jasnej, samodziałowej marynarce, w białej koszuli z czarnym krawatem. Chyba jeszcze chudszy od tego z gimnazjum. Rysy twarzy te same. Tak, to na pewno on. Zobaczyłem w jego twarzy jakiś ponury grymas. Ta moja lustracja była błyskawiczna i trwała sekundy.

— Cześć, stary — przywitał.

Wstałem podając rękę i natychmiast usiadłem.

— Ciebie tu wszyscy znają, już przed kawiarnią powiedziano mi, przy którym stoliku siedzisz — ciągnął dalej, przyglądając mi się uważnie. W tej chwili podeszła kelnerka i Marek uprzedzając mnie, zamówił butelkę vermuthu.

— Przychodzę tu co dzień — powiedziałem i zawiesiłem głos. „Od czego tu zacząć, jak wyciągnąć z niego najwięcej wiadomości o nim samym... Jak sobie radzi w życiu? Czy nie gniewa się na mnie? Czy wie, że to przeze mnie wyleciał ze szkoły?”

— Sporo lat nie widzieliśmy się prawda? Czekaj, ile to lat? Dziesięć?... — mówił nalewając do kieliszków. Na jego ponurej twarzy zaigrał na sekundę nikły, ledwo dostrzegalny uśmiech.

— Dokładnie jedenaście — szybko poprawiłem.

— Pamiętasz stary, miałem zawsze pecha, od samego początku...

W jego głosie wyczuwałem żal. Patrzyłem gdzieś na klapy jego marynarki, aby go nie peszyć.

— W rozmyślaniach — podjął znowu — wracałem często do lat gimnazjalnych. Bardzo często. To był punkt wyjścia przy zastanawianiu się nad samym sobą. „Melonik” i inni profesorowie sądzili,

że kpię z nich, że wyśmiewam wszystkie świętości. Ty też tak myślałeś... Na dodatek byłem zawsze pierwszy w dzienniku i ciągle zwracałem ich uwagę...

— Nie gniewasz się na mnie? — podjąłem nieśmiało i zaraz stchórzyłem, nie kończąc zaczętej myśli.

— Też mowa. Długo cię szukałem, zanim znalazłem. Zaszyłeś się w tej dziurze, jak gdyby na złość, żeby mi trudniej było cię znaleźć.

— Uczę tu fizyki, od dwóch lat...

— Więc po to trzeba kończyć studia, żeby przetrwać do takiej dziury. Zresztą, dla mnie najważniejsze, że cię wreszcie znalazłem. Wiesz o tym, że pech zaczął mnie prześladować już w gimnazjum. Pomyślałem sobie któregoś dnia, że jak cię odszukam... jeśli wszystko obgadamy i wyjaśnimy... A w ogóle, jak cię odszukam, to zaczniesz się naprawdę mój nowy okres. Może to dla ciebie wydaje się śmieszne, ale ja rzeczywiście pomyślałem tak któregoś dnia. Oto, dlaczego siedzę teraz przed tobą. Nie dziw się, zaraz ci wszystko wytłumaczę.

Poruszył się na krześle, powiódł wzrokiem po obu pustych sąsiednich stolikach i uspokojony pochylił się w moją stronę.

— Przez kilka lat nie wiedziałem, dlaczego mi się nie szczęści. Nie myśl, że było to takie łatwe, zanim odkryłem prawdę...

Znowu napełnił kieliszki i odstawiając pustą butelkę zamówił nową. Nie śmiałem protestować, aby go nie urazić. Na chwilę zamyślił się, jak gdyby zbierał myśli. Widziałem, że wino uderzyło mu już do głowy. Chwilę siedział pochylony nad stolikiem, wreszcie ocknął się i spojrzał na mnie badawczo.

— W kilka miesięcy po wyrzuceniu mnie ze szkoły zgłosiłem się na wielką budowę. Wkrótce

spozstrzegłem, że wszyscy odnoszą się do mnie z nieufnością, że nikt mnie nie lubi, że nie mam przyjaciół. Praca na budowie szła mi dobrze, zdobyłem zawód i nawet awansowałem. Nadal jednak odnoszono się do mnie nieufnie, choć nikomu nie zrobiłem najmniejszej krzywdy i w stosunku do wszystkich starałem się być uprzejmy. Potem poszedłem do wojska i tam zrozumiałem najwięcej. W wojsku zrozumiałem wszystko — powtórzył z naciskiem. — Pomógł mi w tym mój kolega, który nie umiał i nie chciał niczego robić w cywilu, więc służył w wojsku od sześciu lat. Kiedy odchodziłem któryś już z kolei raz na pięć dni ścisłego aresztu, mój kolega poklepał mnie po ramieniu i powiedział mniej więcej jaśkoś tak: „Oj, Marek, te dwie rzeczy zgubią cię do reszty, masz w sobie dwie najgłupsze rzeczy, najgłupsze i pechowe. Nigdy żaden kapral nie zapomni ani twego nazwiska, ani uśmiechu”. Tak mniej więcej powiedział mój kumpel. Wtedy udało mi się wziąć do aresztu malutkie lusterko. Nie uśmiechając się, tak było naprawdę. Trenowałem te pięć dni bez przerwy, wykrzywiałem twarz w najokropniejsze grymasy. Powoli zacząłem likwidować swój uśmiech. Na ćwiczeniach, w transzei, na warcie, w ubikacji — wszędzie wyjmowałem lusterko i trenowałem bez wytchnienia, aż do potwornego bólu w głowie, do pociemnienia w oczach. Czułem że uda się! Do cywila odszedłem bez uśmiechu. Mogę w zamian zrobić dziesiątki innych min, na przykład minę „niewinnego baranka”, „głupiego Jasia”, niezmiernie zdziwionego i tak dalej...

Marek pochylił się w moją stronę, podpierał kiwającą się głowę dłońmi. „Wypił o wiele więcej ode mnie” — pomyślałem usprawiedliwiająco. Znowu

zapanowała między nami cisza. Gwar kawiarni już dawno przycichł, bowiem zbliżała się godzina zamknięcia lokalu. Kelnerki krążyły w przyspieszonym tempie, zbierając naczynia.

— Zamieszkałem na Śląsku, nikt tam mnie nie znał przedtem — mówił wolno cedząc słowa. — Nikt mnie tam nie znał przedtem — powtórzył z naciskiem.

— Uhm... — mruknąłem z udanym zrozumieniem, nie wiedząc zupełnie, co powinienem mu w tym miejscu powiedzieć.

— Teraz jestem zupełnie inny, zupełnie inny. Nazywam się Marek Wiśniewski, po prostu Marek Wiśniewski, o Abanku zapomnij... Jeśli będziesz kiedykolwiek na Śląsku, poszukaj Marka Wiśniewskiego — mówił z zadowoleniem.

Zostawił mi adres na kartce, wypisał dużymi, nieproporcjonalnie dużymi do reszty słów literami, to swoje nowe nazwisko. Obejrzałem się na lokal i stwierdziłem z przestachem, że zostaliśmy sami. Przywołałem wzrokiem kelnerkę.

— Wiśniewski pani zapłaci — Marek podał jej banknoty, dziękując za resztę.

Wstaliśmy od stolika. Poszedł przodem, ja trochę z tyłu.

— „Ależ ma twarz ten facet! Od dawna on tak pokręcony chorobą? Okropna twarz...” — usłyszałem ciche szepty przy stoliku kelnerskim.

Odprowadziłem Marka na dworzec.

— Do widzenia, Marku Abanku — wyrwało mi się i szybko poprawiłem — do widzenia, Marku — chciałem jeszcze coś dodać, ale wskakiwał już do pociągu.

— Pozdrów „Melonika”, jeśli jeszcze żyje i kie-

dykolwiek go spotkasz — dolatywały słowa z okna odjeżdżającego pociągu.

— Poz-dro-wię... Poz-dro-wię... — krzychałem sylabizując. „Do widzenia, Marku Abanku” — pomyślałem.

RING WOLNY

SIEDZIELI sami na ławce, a właściwie to tylko on siedział, ona leżała skulona, z podkurczonymi nogami i zdaje się spała. Lekko, palcami jednej nogi, dotykała jego boku. Ryszard nie patrzył teraz na Ewę, patrzył na trójkę swoich towarzyszy podróży. Wydawało mu się, iż pan z bródką przypominający oschłego angielskiego lorda za chwilę wstanie i wyjdzie z przedziału, a gruba kobieta przestanie jeść, natomiast dziewczyna — gimnazjalistka zaniecha cierpliwie wystudiowanej walki z ziewaniem. Wszyscy z tej trójki spełniali swoje czynności tak, jak robią to statyści w teatrze, którym każe się tkwić w odpowiednich pozach. Wreszcie stało się. Kobieta nerwowym ruchem schowała do koszyka resztę swego pożywienia, jakby zakazała sobie jedzenia siłą woli. Po kilku minutach dziewczę pochyliło głowę w stronę okna, jakby nagle zapadając w sen. Na pana z bródką Ryszard również nie czekał zbyt długo. Wyszedł on z namaszczeniem w ruchach na papierosa, choć przedział był dla palących. Nawet Ewa poruszyła się przez sen, poprawiając niewygodną pozycję swego ciała. Mógł objąć wzrokiem całą jej skuloną, z podkurczonymi pod siebie nogami, postać. Chciał dojrzeć jej twarz, ale

twarz Ewy w dalszym ciągu była przesłonięta rozrzuconymi w nieładzie włosami. Od czego jest jednak ludzka wyobraźnia!

Zobaczył więc Ryszard jej lekki uśmiech, pod którym wyczuwało się zamyślenie i zadumę. Skoncentrował się w sobie — z ukrywanym za wszelką cenę strachem czekał na jej słowa. Przez chwilę milczenia, przygotowywał sobie na każdą możliwą wersję odezwania się Ewy. Nagle lekko, baletowym krokiem podpłynął do ich stolika kelner. Rozchylone już wargi Ewy zamarły, a twarz nabrała wyrazu obojętności. Ryszard z rozczerowaniem, a jednocześnie z jakąś swego rodzaju ulgą stwierdził, że Ewa odwlecze teraz na inną chwilę wypowiedzenie tej myśli, którą już przygotowywała.

— To obrzydliwe — zwróciła się do kelnera.

— Słucham panią — skłonił się kelner z numerem w klapie i napisem „Orbis”.

— Okropna jest ta reklama na popielniczkach „Come to Poland”.

Kelner stał niezdecydowany, nie wiedząc jak ma zareagować.

— Dlaczego akurat na popielniczkach zachęca się do przyjazdu do Polski. Czy pan myśli... — Ewa odwraca się ze złośliwym błyskiem w oczach w stronę kelnera. — Dlaczego wasz dostojny „Orbis” wypisuje słowo „Polska” na popielniczkach? No, słucham? — naciskała, nie zwracając uwagi na wierzącego się niecierpliwie Ryszarda.

— Przepraszam, mogę przynieść kryształową, jeśli ta państwu nie odpowiada — kelner uśmiechnął się przy tym przepaszająco.

— Kryształ! — wykrzyknęła Ewa i zaczęła się śmiać jak rozbawiona dziewczynka. Nagle spoważniała.

— No tak, popiół i diament — powiedziała i

otworzyła kartę z menu, przebiegając szybko oczyma poszczególne pozycje. — To z Norwida. Dla mnie eskalop, a dla tego pana proszę zającą w śmietanie — powiedziała ze śmiertelną powagą.

Ryszard spojrzał zaniepokojony, ale twarz Ewy była obojętna. Odetchnął z ulgą pocieszając się, iż w wyborze potraw nie było żadnych aluzji. Został już jednak zaniepokojony i wiedział, że musi mieć się na baczności. Do dań zamówili wiśniak na rumie i zadowoleni byli z miny kelnera, który z ukrywanym politowaniem przyjął zamówienie tego napoju niezbyt stosownego do dań mięsnych.

— Dlaczego wyładowujesz swoją złość na kelnerze. To świadczy o złym charakterze, Ewo — powiedział, chcąc ciągnąć obojętny dla nich temat.

Sztuczka jednak nie udała się.

— Dlaczego nie rzucisz wreszcie boksu — nie zwracając żadnej uwagi na jego poprzednie słowa, wypaliła Ewa i zabrała się do jedzenia swego eskalopa.

— Widzisz — zaczął, próbując dać jakąś sensowną, a jednocześnie wymijającą odpowiedź.

— Wcale nie widzę, ale wiem, że w ten sposób coś tam chcesz w sobie leczyć — przerwała mu. — Ale, przepraszam cię. Rozumiem, mocne wrażenie. Nie możesz brać udziału w kilku wojnach jak Hemingway i do tego jeszcze polować na lwy, nie możesz zostać toreadorem... Nie możesz, ha, no... Nie możesz lecieć także w kosmos i... — zawieszając głos, zaczęła z maniackim uporem kroić mięso.

— Przedłużam w ten sposób studia. Przecież wiesz, że przez całe studia boksowałem. Chodzi mi tylko o czysty sport.

— Nie bądź śmieszny. Ty przecież nie uprawiasz czystego sportu.

— Boksuję dla przyjemności i nigdy niczego pod to nie podkładałem...

— Kotku, jedź i nie marudź — zniecierpliwiła się Ewa.

Wyteżając wzrok w półmroku spojrział na Ewę. Znowu poruszyła się zmieniając pozycję. Uświadomił sobie teraz, że wracają do niego przede wszystkim te słowa i te dialogi, w których Ewa miała nad nim przewagę. Zaczął sobie uświadamiać po raz pierwszy po tamtej walce, że za każdym razem, z każdym kolejnym wejściem na ring, że wraz z rutyną, coraz mniej ważne stają się zasady, których tak przestrzegał w pierwszych latach swojej kariery sportowej. Znowu zaatakowało go wspomnienie trzeciej rundy, wspomnienie tej chwili, w której słyszy się uroczystym tonem wypowiedziane słowa „ring wolny, trzecie starcie”. I nie wiadomo, po raz już który z kolei, usiłował przypomnieć sobie każdy swój najdrobniejszy ruch tuż po wyjściu na ring w trzeciej rundzie.

Odwrócił wzrok od skulonej postaci Ewy i znowu natknął się na jej twarz.

— To było obrzydliwe. Trzecia runda. Wiesz, o czym myślę? Ta chwila, kiedy Stefana wynoszono z ringu.

— To w sporcie normalne. Ktoś musi przegrać, a ktoś inny wygrywa — odpowiedział szybko i zdawało mu się, że zyskuje nad nią przewagę.

— Czy wiesz, że kobiety najczęściej zostają z tymi, którzy przegrywają. Czasem robią to z litości. Często odchodzą nawet wtedy, jeśli to dla nich wygrywa się... No, nie myśl, że mam w tym wypadku ciebie i siebie na myśli — dodała szybko. — Mówię... no, uogólniam.

— Gdybym wiedział, że chcesz, abym przegrał,

zrobiłbym to dla ciebie — odpowiedział z uśmiechem, na wszelki wypadek tonem żartobliwym.

— Nie chcę, żeby ktokolwiek cokolwiek dla mnie robił, szczególnie ty. Jedźże swego zajaca, bo ci ucieknie. — Chwilę myślała, patrząc w swój talerz. — Tyś go jednak nigdy nie lubił, prawda?

— Kogo?

— Stefana, którego znokautowałeś, nie zajaca.

— Ot, jak wszystkich kolegów, prócz najbliższych przyjaciół.

A jednak znowu natychmiast złapał siebie na błędzie. Za szybko to powiedział i za nerwowo. I pomyślał zaraz na pocieszenie, że Ewa rzeczywiście niczego w tamtej chwili nie domyślała się. Patrzył, z jaką dokładnością równolegle układa naczynia na talerzu.

— Ta łyżeczka mi się przyda — powiedziała trzymając małą łyżeczkę w rękach. — Stój oczami na straży — zerknęła na kelnera i włożyła łyżeczkę do swego buta. Ruchem głowy przywołała kelnera i zamówiła dwie kawy. Prawie natychmiast kelner wrócił z kawą. — Niestety, łyżeczkę z cukierniczki mam w bucie — powiedziała przymilnie do kelnera.

— Serdecznie państwa przepraszam. Chwileczkę. — Kelner w ukłonach odszedł i w ukłonach przyniósł nową łyżeczkę.

— Dlaczego się popisujesz? Cóż ci zawinił kelner — usiłował znowu atakować.

— Milczałbyś, jeżeli nic nie zrozumiałeś! — zgromiła go. — To był majstersztyk. No, nie? Popelniałam przestępstwo i jeszcze mnie przeproszono. To, tak samo, jak z twoją trzecią rundą.

Ten jego kamienny spokój, pomyślał jeszcze raz zerkając na Ewę, z pewnością zdradził go w tamtej chwili.

— Nic nie mów. Facet w trzecim rzędzie za mną powiedział, że powinni ciebie zdyskwalifikować, boś uderzył otwartą rękawicą, nasadą dłoni. I powiedział także, że w ten sposób można przeciwnika nawet zabić.

— Ależ, Ewo, jesteś cyniczna. Jak mogłaś uwierzyć jakiemuś tam facetowi.

— Pewnie, że uwierzyłam, inaczej nie siedziałabym tu z tobą. W przeciwnym wypadku nie byłabym ci w ogóle potrzebna.

Szepnął wtedy ze zdziwieniem, że nie rozumie, o co jej chodzi. Postanowił walczyć i zbyt szybko nie przyznać się do niczego — ani przed sobą, ani — tym bardziej — przed Ewą. Sam jednak nie chciał być całkowicie pewny, jak było naprawdę na początku trzeciej rundy, która była końcem walki, jego zwycięstwem przez nokaut i dwoma punktami dla jego drużyny. — „Ty nie uprawiasz czystego sportu” — znowu słyszał słowa Ewy. Widział wykrzywioną twarz Stefana i w chwili, gdy wynoszono go z ringu, odwrócił się uśmiechnięty i zwycięski do szalejącej z podniecenia publiczności.

— On zawsze na studiach miał nad tobą przewagę; w inteligencji, w dowcipie i wzięciu u dziewcząt. Ja wiem, że postanowiłaś się odegrać. Nie zaprzeczaj.

— On także chciał za wszelką cenę wygrać. Słyszysz, on też chciał za wszelką cenę wygrać. No, więc kwita. W sporcie trzeba chcieć wygrać.

— Ale nie za wszelką cenę. Jeśli chce się za wszelką cenę wygrać, wtedy właśnie się przegrywa.

Ewa wstała, zapłacił i wyszli. Wiedzieli, że ta rozmowa w restauracji „Orbisu”, nawet kiedy pozornie dotyczyła spraw ogólnych, zawierała przede wszystkim aluzje do nich samych, szczególnie do niego. Oboje wiedzieli, że każde słowo i każde zda-

nie ma głębszy sens, który określa właśnie ich i tylko ich. I posługiwali się w rozmowie tym swego rodzaju szyfrem, wyczerpywali go możliwie wszechstronnie. Była to więc jeszcze bardziej męcząca i denerwująca rozmowa. W drodze do jej domu przebiegli przez miasto jak beztraska para zakochanych, wygłupiając się przed prawie każdą wystawą sklepową. Kiedy pożegnali się, Ewa już po odejściu kilku kroków, gdy jeszcze za nią patrzył, odwróciła się i powiedziała. — Inny, gruby pan, z kolei twój kibic, powiedział, że to Stefan uderzył cię po słowie sędziego „break”. Dziękuję, żeś nie użył tego argumentu na swoją obronę”.

Natychmiast uświadomił sobie, że był to czysty przypadek, iż nie użył tego argumentu. Jeżeli nawet Stefan uderzył go po słowie sędziego „break”, to przecież on sam tego nie zauważył. I jeśli nawet tak było, to cios ten był bez znaczenia, bo nawet go nie odczuł. — To nieprawda, Ewo. — Podbiegł do niej kilka kroków. — To nieprawda, Stefan tego nie zrobił...

Spojrzał na siedzących naprzeciwko. Dziewczę, wtulone w płaszcz, smacznie spało. Tęga kobieta, zwiesiwszy głowę, mruczała coś pod nosem. Pan z bródką przypominający angielskiego lorda wciąż stał na korytarzu. Ryszard spostrzegł, że pan z bródką przygląda mu się z uwagą. Odwrócił więc szybko twarz od szyby w drzwiach przedziału.

O północy do hotelu zadzwoniła Ewa.

— Przegrałeś, wygrałeś. Ani nie przegrałeś, ani nie wygrałeś. To jakbyś walczył i nie walczył. Czegoś tam się trochę domyślam, a czegoś innego jestem prawie pewna. Jutro rano będę na dworcu, więc razem wrócimy na Wybrzeże.

Już na peronie Ewa powiedziała. — Nie zdążyłam

nawet pożegnać się ze Stefanem. Ale tak będzie najlepiej.

— Dlaczego, dlaczego właśnie teraz? — zdziwił się szczerze.

— Ot, wróciłam i już — odpowiedziała niedbale. Potrząsnęła przy tym głową i zafalowała obok jego policzka włosami. Podniosła, jak reżolutny chłopczyk, swoją torbę. — Może dlatego, żebyś odtąd walczył fair. A może dlatego, żeś wygrał przegrywając...

Ryszard stał zakłopotany, z trudem próbując coś z tego zrozumieć, a może nie tyle zrozumieć, ile przyjąć sens jej słów do swojej świadomości.

— Dosyć już! — rozzłościła się, gdy wciąż stał i wpatrywał się w nią ze zdziwieniem. — Po prostu chcę razem z tobą spędzić podróż.

Pan z bródką, wrócił do przedziału i zaczął się wiercić niecierpliwie, wciąż przy tym zerkając, chwilami nawet wpatrując się usilnie w Ryszarda. Ryszard nabierał coraz większego przekonania, że brak jest jakichś jeszcze nie dopowiedzianych ogniów, ani przez niego, ani tym bardziej przez Ewę, że w ich najnowszej historii, która oto się rozpoczyna, jest wiele luk, które trzeba wypełnić, rozszyfrować motywy ich działania. Był przekonany, że dotyczy to przede wszystkim jego wczorajszej walki, wygranej przez nokaut, jak i reakcji Ewy na tę walkę. Nagle został wyrwany z zamyślenia. Pan z bródką nerwowym ruchem, nie przypominającym już oschłego angielskiego lorda, podał mu notes i długopis. Ryszard odruchowo przyjął podane rzeczy, i przez chwilę trzymał w rękach, nie wiedząc, co ma z tym zrobić.

— Przepraszam, ale ja pana poznałem. Poproszę o autograf — powiedział podnieconym, ścisłym

głosem pan z bródką, który jeszcze do niedawna przypominał oschłego angielskiego lorda.

Ryszard powoli, dużymi literami, wykaligrafował imię i nazwisko swego kolegi, znokautowanego boksera, z którym — nie wiedział teraz tego z całą pewnością — czy kiedykolwiek w ogóle walczył. Pan z bródką, nie patrząc na autograf, szybko schował kartkę do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Widocznie poruszył się zbyt energicznie biorąc notes i długopis, bo Ewa, odrzucając do tyłu włosy uniosła się na łokciach. I była to chwila, o tym wiedział już na pewno, w której rozpoczęła się od nowa ich historia, jakże inna od pozorów, które brali dotąd za coś prawdziwego. Ring znowu był wolny!

WIELKA SUSZA

ZESZŁEGO roku panowała wielka susza. Słońce spalało niemiłosiernie wszystko, co było rośliną. Ziemia prażona gorącymi promieniami, zdawało się, dusi się od tego żaru; jej oddech z każdym dniem słabł jak u śmiertelnie chorego człowieka. Oddechem ziemi jest przecież zapach i wilgoć w powietrzu. W zeszłym roku w tych upalnych miesiącach nie czuło się ani zapachu, ani wilgoci ziemi. Nawet kwiaty były bez zapachu, bo ich płatki i wnętrza kielichów bardziej przypominały swoje zasuszone eksponaty w zeszytach uczniów i pamiętnikach podlotków. Nawet ranna, odwieczna przecież na ziemi rosa, była skąpa i nie mogła wystarczyć dla roślin na cały dzień. Wielka susza niepodzielnie panowała nad całym krajem.

W tym czasie nie sposób było rozmawiać z chłopami, których twarze i tak zawsze podobne do roli, na której pracowali, teraz już upodobniły się do ziemi w najwyższym stopniu. Były wysuszone jak ziemia i jak ona pokryte zmarszczkami, które przypominały tu i ówdzie popękany od suszy grunt. Niektórych z nich w pierwszej chwili nawet nie poznawałem. Wyglądali, jakby nagle zestarzelili się, co najmniej o dziesięć lat. Byli przybici i nierozmow-

ni, niechętni wszelkim intruzom. Ich zbolące twarze, z każdym dniem coraz bardziej upodabniały się do ziemi.

Susza dawała się we znaki i ludziom w mieście, chociaż w całkiem odmienny sposób. Ludzie szli do swoich biur i zakładów pracy niechętnie, ciężko oddychając jak ziemia. Osłabieni upałem zupełnie nie mieli sił do pracy. Przełożeni nie pilnowali z dawną czujnością swoich podwładnych, bo sami ledwo poruszali się, czując każdą porą swego ciała ten straszliwy upał. Część zresztą przełożonych była już na wczasach a ci, którzy jeszcze nie wyjechali bardziej myśleli teraz o urlopie nad wodą niż o pracy. O urlopie myśleli zresztą wszyscy. I wszyscy w mieście jednakowo bali się, że kiedy nadejdzie ich wymarzony dzień urlopu — spadnie deszcz. Z zawiścią myśleli o znajomych, którzy odpoczywali już gdzieś nad jeziorami czy nad morzem. I wszyscy ci, którzy byli w mieście, narzekali na pech, przepowiadali sobie, że kiedy dostaną swój wymarzony urlop, skończy się ta śliczna pogoda. Ale wszyscy omylili się. Tamtego lata nikt nie miał pecha, bo wielka susza trwała długo, aż do samej jesieni. W tym czasie radio i gazety zamieszczały alarmujące komunikaty o klęsce suszy, o niebezpieczeństwie pożaru, o stratach w rolnictwie. Na tych samych stronach gazet podawano alarmujące wieści o stratach, jakie nastąpią w zbiorze zbóż i ziemniaków — i reportaże z miejscowości wczasowych o pięknym, najpiękniejszym od lat odpoczynku ludzi pracy. Nerwową psychozę oczekiwania zwiększało to, że niektórzy wrócili już z wczasów i co dzień kontynuowali nie kończące się opowieści o pięknej pogodzie i cudownych przeżyciach wczasowych. I mnie w coraz szybszym tempie opanowywała niecierpliwa myśl o wyjeździe na urlop.

Wreszcie spełniło się moje marzenie. Wyjechałem. Domek wczasowy, w którym zamieszkałem stał na uboczu dwa kilometry od wsi — były to więc idealne warunki na odpoczynek. Wokół rozciągał się sosnowy las, a jezioro, nad którym stał domek, było ogromne i piękne. Piaszczysty brzeg stanowił naszą plażę.

Po kilku dniach przyjechał ten dziwny wczasowicz. Był mężczyzną w podeszłym wieku, miał lat sześćdziesiąt kilka, na tyle przynajmniej wyglądał. Trzymał się jednak dziarsko, i jak na swój wiek nawet chód miał sprężysty, powiedziałbym, prawie dostojny. Był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną, o szerokich barach i spokojnej twarzy. Przyjechał w lichym, ale schludnym szarym garniturze, w zielonej koszuli z krawatem w niebiesko-czarne pasy. W dniu przyjazdu nie wzbudził niczyjej uwagi. Na drugi jednak dzień był już punktem zainteresowania wszystkich wczasowiczów. Nowy nie poszedł na plażę, nie zainteresował się nawet wczasowym, tak zwanym sprzętem rekreacyjnym. Usiadł przy naszym stoliku, przy którym było wolne miejsce i nie odezwał się ani słowem. Przy stole natychmiast wytworzyło się napięcie oczekiwania, ciekawość, której źródłem był nowy, milczący wczasowicz. On jednak ani w pierwszym, ani w drugim dniu nie odezwał się słowem, ani na chwilę nie zmienił swego spokojnego, obojętnego wyrazu twarzy. Zawsze przychodził na posiłki w swoim garniturze, w tym, w którym przyjechał. Zawsze był w krawacie. Jedyne jego słowa, jakie usłyszeliśmy, to rytualne melodyjne powitanie, zmieniane tylko w zależności od pory dnia i zawsze to samo krótkie „dziękuję”, kiedy odchodził od stołu. Już samo jego chodzenie stale w garniturze i krawacie intrygowało

wszystkich. Zaczęto mu się przyglądać ze zdziwieniem, ale on jakby nie zwracał na to uwagi, jakby tych zdziwionych spojrzeń wcale nie dostrzegał. Nowy wczasowicz nie zrzucał swego garnituru ani nie rozstawał się ze swoim krawatem nawet w najbardziej upalne dni. Obserwowałem z jakim podziwem i jednocześnie zawiścią spogląda na nowego sąsiada przy stole, gruby o nalanej twarzy mężczyzna. Ocierając spoconą twarz i sapiąc ciężko patrzył z zawiścią, (w której były już zaczątki nienawiści), na nowego współwczasowicza, który mimo, że chodził stale w garniturze z krawatem, jakby wcale nie odczuwał upału. Wczasowicze od innych stołów także coraz intensywniej spoglądali w naszą stronę, zerkali na nasz stół nawet w trakcie podnoszenia łyżek do ust. Próbowaliśmy nowego wczasowicza od czasu do czasu zagadywać, ale nic z tego nie wychodziło. Stary, tak właśnie zaczęto o nim mówić, udzielał swoim, zawsze melodyjnym głosem, krótkich, lapidarnych odpowiedzi. Na tym się kończyło. Jego odpowiedzi choć grzeczne, były zawsze takie, że już nie sposób było dalej ciągnąć rozmowy. Nie sposób też, po tylu nieudanych próbach, ciągle ponawiać nawiązywanie rozmowy, więc daliśmy temu spokój. Minęło już pięć dni od przyjazdu Starego i nic się nie zmieniało.

Stary kilka razy wziął wodny rower i wypłynął na jezioro, zawsze wracał dopiero o zmroku. Ten wodny rower to było wszystko, czego chciał od gospodarzy wczasowych naszego domku. Stary nie brał udziału nawet w narzekaniu na jedzenie, czyli wyłamywał się z tego, co stanowiło świętą tradycję wczasową. Wszystko to w sumie, a przede wszystkim to, że nigdy się nie opalał, doprowadzało ludzi do wściekłości. Zaczęto przebąkiwać, zrazu nie-

śmiało a potem coraz głośniej: po co on tu w ogóle przyjeżdżał, jeśli nie korzysta zupełnie z wczasów, po co zabiera miejsce innym. Jedna z matron ze stolicy, zaczęła nawet niby to po cichu, ale tak, żeby było słychać wszem i wobec, przypuszczać, że on ma jakąś tajemniczą misję do spełnienia, że został przez kogoś nasłany, a przez kogo — to wiadomo. Ktoś szybko dodał, popierając matronę ze stolicy, że wyćwiczeni ludzie w tym fachu potrafią się maskować, ale zaraz znowu ktoś inny, który nie lubił sensatki ze stolicy, stwierdził, że to najoczywistsze bzdury, bo Stary wygląda na zwykłego chłopą. Na dowód wspomniał o jego zniszczonych rękach, ubiorze i chłopskim wyrazie twarzy.

Zauważyłem, że Stary po wyjściu na dwór potrafi stać całe pół godziny i obserwować pogodne niebo, z którego w dalszym ciągu spływał na ziemię żar. Potem szedł w stronę jeziora podnosił czubkami butów zeszlą trawę, rzadką i mizerną, wypaloną na równie wyschniętej ziemi, na której tworzyły się rysy pęknięcia suchego gruntu. W takich chwilach, kiedy patrzyłem na Starego zaczęło mi się wydawać, że skądś go znam. Nagle uświadomiłem sobie, że kiedy tak patrzył na pogodne niebo albo zeschniętą trawę, twarz jego, na której jakby przybywało zmarszczek, przypomina mi twarze chłopów, z którymi rozmawiałem przed przyjazdem na wczasy. A może to dopiero teraz tak mi się wydaje, kiedy już wiem o Starym wszystko, co było najważniejsze.

Stary codziennie pilnie słuchał dziennika telewizyjnego. Wysłuchiwał go zawsze do końca, łącznie z komunikatem o pogodzie. Nic mi to jednak wtedy nie mówiło, bo równie pilnie wszyscy inni wysłuchiwali tych komunikatów. Komunikaty zapowiadały wciąż piękną i upalną pogodę, więc wczaso-

wicze jak zwykle weseli, w dobrych humorach szli do swoich pokoi, układając atrakcyjne plany na dzień jutrzejszy. W komunikatach tych było coraz więcej apeli o ostrożność z ogniem, a nawet głos spikera stawał się już konwencjonalnie smutny, chwilami nawet tragiczny. W tych właśnie dniach telewizja zaczęła nadawać specjalne audycje na temat suszy, o groźbie pożarów i sposobach walki z ogniem. W tych dniach spiker, jak było to przedtem w jego zwyczaju, już nie umizgiwał się do wczasowiczów, nie obwieszczał radosnym głosem pięknej pogody. Nie wspominał nawet o pięknych urlopach, spiker był, jak już powiedziałem, konwencjonalnie smutny. Smutek ten jednakże nie udzielał się wcale moim współtowarzyszom wczasowym, choć oni także robili smutne miny na tragicznie wymawiane słowa „wielka susza”, co oczywiście nie przeszkadzało, natychmiast po komunikacie w równie radosnym podnieceniu cieszyć się z przepięknej pogody, jaką zapowiedziano na jutro. Czasami długo po dzienniku układano plany na dzień jutrzejszy. Starego nigdy już jednak nie było wśród nich, wychodził natychmiast po wysłuchaniu komunikatu o pogodzie.

Zdaje się, że powoli wczasowicze przyzwyczaili się do dziwnego, starego człowieka i coraz mniej zwracali na niego uwagi. Wczasowicze stanowili teraz zażyłe grupki, żyjące własnym życiem. Zawiązało się kilka sielankowych miłości, i ci chyba pierwsi przestali interesować się Starym.

W dniu, w którym Stary przyszedł na plażę, zdaje się mówiono wiele o młodej parze, która prowadziła nasz dom wczasowy. Stary był jak zwykle w swoim garniturze i w krawacie. Usiadł na jednej z ławek. Wszyscy spojrzeli na niego z ciekawością — oto doczekali się, Stary złamał się. On jednak nie

rozbierał się, siedział i wpatrywał się w półnagich plażowiczów. Wyraźnie był czymś zmartwiony, a wyraz jego twarzy oznaczał, że jest także zły. Wyglądało to, jakby tę złość hamował, dusił w sobie. Zazwyczaj spokojna jego twarz nabierała teraz zgoła niesamowitego wyrazu. Wyglądał na człowieka przybitego jakąś tragedią a przynajmniej czymś mocno przygnębnego. W jego wzroku była nienawiść i pogarda, a może przede wszystkim pogarda. I to musiało wszystkich rozzłościć. Przyszedł na plażę i nie rozbiera się, a do tego jeszcze robi dziwne miny. Tego było już za wiele dla ludzkich nerwów, które chciały wreszcie odpocząć. Nikt jednak przez dłuższy czas nie odezwał się do Starego. Wreszcie ruszył w jego stronę, czołgając się po piachu, młody, rezolutny wczasowicz.

— No cóż, dziadku, nad czym tak dumacie? Deszczu przecie nie będzie — powiedział do niego wesoło, puszczając jednocześnie, nie wiedzieć czemu, cwaniackie oczko.

Stary spojrzał na człowieka przed sobą, z wściekłością poruszył się nerwowo, jakby chciał skoczyć mu do gardła. Trwało to jednak tylko sekundy. Nagle wszystko w nim znowu zamarło i oprócz dawnego wyrazu pogardy nic nie było w jego twarzy.

— Ale i co jeść też nie będzie — odpowiedział z taką powagą, że pewnie wszyscy odczuli to jako nie stosowność, wręcz nietakt. Unikano przecież rozmów o skutkach suszy, mówiono tylko o pięknej pogodzie.

— Ależ dziadku — oponował znowu hałaśliwie ten sam wczasowicz z usposobieniem cwaniaka i urwał nagle speszony.

Stary nic teraz nie odpowiedział, choć wszyscy czekali na jego słowa. Patrzył przenikliwym i su-

rowym wzrokiem na ludzi na plaży, którzy z ciekawością podnosili głowy. On jednak wciąż milczał. W jego wzroku nie było już pogardy, była ironia i kpina. Siedział nieruchomo, lekko przygarbiony i nie patrzył na ludzi. I teraz wiem, że gdybym był malarzem i chciał namalować smutek, musiałbym właśnie namalować twarz Starego. Kiedy ludzie odwrócili głowy Stary wstał i powoli ruszył w stronę domu wczasowego. Plażowicze także wrócili do swoich rozmów, ale już do samego obiadu nie były to normalne rozmowy. Stary najwyraźniej coś popsuł. Nie mówili o nim, ale zdaje się, że go przeklinali w duchu. Znowu Stary stał się dla wszystkich ważny, tyle tylko, że teraz w inny sposób. Obchodzili go z daleka, odwracali twarz od jego wzroku. Po prostu od tamtego wydarzenia na plaży, wiadomo było, że się go boją.

— Tak pięknego lata nie było u nas już chyba z dziesięć lat — powiedział ktoś przy naszym stole.

Stary spojrzał bystrym, przeszywającym wzrokiem.

— Nie ma się z czego cieszyć. Tak nieszczęsnej suszy nie było już chyba ze dwadzieścia lat — powiedział powoli, swoim melodyjnym głosem tak, aby go wszyscy w małej stołówce dobrze słyszeli. I Stary dokonał swego. Wszyscy go usłyszeli, bo zaraz po jego słowach odezwały się uderzenia łyżek o talerze, co oznaczało, że trzymali je w czasie słów Starego nieruchomo. Nikt przy naszym stole nie odezwał się ani słowem. Spojrzałem na Starego z podziwem i uznaniem. Wiedziałem, że odtąd zapanował nad wszystkimi. Zaczęto mu nadskakiwać, chcąc go pozyskać, udobruchać.

— Proszę, może jeszcze panu sałatki — podsunąłem podczas obiadu miskę z sałatą.

— Niech pan je, bo po tej suszy... — odpowiedział Stary i urwał.

Tyrania Starego trwała całe cztery dni, czyli do końca wielkiej suszy. Po czterech dniach spadł wreszcie w nocy deszcz. Rano znowu słońce świeciło, ale ziemia była mokra. Po śniadaniu, na którym wszyscy już z ulgą i śmiało patrzyli na Starego, jakby to właśnie dzięki nim padał w nocy deszcz, Stary rześkim krokiem poszedł w stronę plaży. Szedłem za nim i widziałem jak siada na ławce. Usiadłem na drugiej, tuż obok niego. Słońce równie silnie zaczynało przypiekać jak dawniej i nie było nawet wielkiej różnicy między słońcem tego dnia a tym sprzed deszczu. Stary zachowywał się, jakby mnie nie zauważył. Rozebrał się powoli do pasa, ułożył marynarkę, koszulę i krawat na ławce. Położył głowę na ubraniu leżącym na oparciu ławki i zaczął się opalać.

— Dzień dobry panu — powiedziałem, przesiadając się na jego ławkę.

— Dzień dobry — odpowiedział wyrwany z zadumy. — Chociaż nie taki on znowu dobry i nie bardzo różni się od poprzednich. To słońce znowu takie gorące i najpewniej susza wcale się jeszcze nie skończyła.

— I mnie tak się zdaje — zaryzykowałem, choć mógł to być podstęp Starego.

— Ja, panie — zaczął, przeciągając słowa — jestem ze wsi, z dziada pradziada. To znaczy się, całe życie mieszkalem na wsi, ale niedawno przeniosłem się do miasta, bo sam już nie dawałem rady na gospodarce. I dlatego, że ze wsi, nijak nie mogę obcować z miastowymi. Niech pan ich przeprosi ode mnie — skończył prosząco i wiadomo było, że nie żartuje — oni, zdaje się, to wszystko przyjęli zupełnie inaczej.

Słuchałem i nie wierzyłem własnym uszom.

— Ja nie mam sumienia — powiedział Stary jakby do siebie — ja nie mam prawa opalać się, kiedy zaczyna się znowu wielka susza — powiedział w popłochu i szybko zaczął się ubierać. — Ja myślałem, że nikt podczas takiej strasznej suszy nie ma prawa się opalać — powiedział, jakby się usprawiedliwiał.

Po chwili bez słowa odszedł. Po dwóch godzinach wyjechał. Susza rzeczywiście rozpoczęła się na nowo.

PRZYGODA W GÓRACH

CIEMNOŚĆ góry była gęsta i wiała chłodem. Tak to przynajmniej odczuwał. Po chwili zobaczył cienki maszt na szczycie, w połowie masztu jarzyło się małe, jasne światełko. Szosa we wsi biegła półkolem, jakby opasywała górę. Ciemność i nikt, czerwone światełko wracały w Ryszardzie uczucia z dzieciństwa. Wieś śpiąca i cicha, tak cicha, że słyszy się swój własny oddech. W takiej wsi wieczorem ma się wrażenie, że nie ma ludzi, że wieś wymarła, albo że wszyscy zaczęli się gdzieś w ciemności i za chwilę wyjdą. Nikogo nie widzisz, wszystko jest martwe i ciemne, a jednak czujesz ludzi, ich bliskość.

Ryszard machinalnie ruszył w głąb wsi. Nerwowo myślał o jednym — znaleźć tu gdzieś nocleg. Miał wejść do pierwszej lepszej chaty, ale każdą wciąż mijał w chwili, gdy znalazł się przy furtce. Nie był to chyba brak odwagi, ale jakby niechęć zakłócenia tej aury spokoju, a może podświadoma chęć wyboru najodpowiedniejszej chaty. Wyboru nieumotywowanego niczym, bo przecież nikogo tu nie znał i wszystkie zagrody w ciemności wyglądały jednakowo. Zwlekał jak najdłużej z momentem wejścia i proszenia o nocleg. I zdaje się, że dlate-

go właśnie mijał każde zabudowanie, postanawiając, że wejdzie do następnego — przy każdym następnym, zmieniał decyzję na korzyść jeszcze dal-
szego. W taki sposób minął kilkanaście chat. Nagle z przeciwnej strony wyłoniła się furmanka i zaraz skręciła do jednej z najbliższych zagród tuż przed nim. Odruchowo skręcił za furmanką. Miał cichą nadzieję, że zaczepi gospodarza na podwórzu, nie będzie potrzebował dobijać się do domu. Taka sytuacja wydawała mu się najwygodniejsza. Kiedy podszedł do wozu, nikogo już tam nie było. Usłyszał prychanie koni, poczuł ich ciepły oddech i znajomy koński zapach. W tej chwili rozległo się z kąta podwórza zjadliwe ujadanie psa. W oknach chaty zapaliły się światła. Pies nie przestawał ujadać, wydawało mu się, że za chwilę zerwie się z łańcucha, jeśli nie siłą, to potęgą swego ujadania. Od-
dalając się od psa, podszedł do drzwi i uderzył kilka razy lekko pięścią. Wiedział, że tego stukania nikt nie usłyszy, a jednak znowu je powoził. Pocięszając się, że gospodarz i tak za chwilę musi wrócić, aby wyprząć konie. Tak też się stało. Przed Ryszardem uchyliły się nagle drzwi domu, w których stanął szczupły, małego wzrostu człowiek. Ryszard otwierał już usta, ale tamten go wyprzedził.

— Że też pana nie pogryzł — powiedział gospodarz.

Ryszard stał, nie rozumiejąc.

— Pies jest na łańcuchu, ale biega wzdłuż drutu przeciągniętego przez całe podwórze, od obory do stodoły. O, widzi pan — pokazał ręką.

Ryszard zobaczył w smudze światła starą, pomarszczoną twarz gospodarza.

— Widocznie jestem dobrym człowiekiem i dlatego pański pies mnie nie ruszył — zażartował, udając pewność siebie.

— Nie bądź pan taki pewny, nie ma człowieka, który nie miałby czegoś na sumieniu — powiedział stary człowiek i odsunął się, robiąc mu miejsce w drzwiach chaty.

Przekraczając powoli próg zdziwił się, że staruszek nie zapytał od razu, o co chodzi tak spóźnionemu gościowi.

— Niech pan usiądzie, a ja tymczasem wypręgę konie z wozu — powiedział gospodarz, kiedy weszli do mieszkania.

Po jego wyjściu Ryszard zaczął rozglądać się po pokoju, zastawionym wielkimi, starymi i ciężkimi meblami pamiętającymi pewnie Franciszka Józefa. Jedynym nowoczesnym meblem był tu ogromny, szafkowy telewizor. Na ścianie naliczył kilkanaście obrazów, wśród nich kilka wersji postaci Chrystusa czyniącego cuda. Reszta obrazów wyobrażała świętych, których imion Ryszard nie znał. Po niepełna kwadransie gospodarz wrócił.

— Pan jest jeszcze bardzo młody — powiedział od progu i zabrzmiało to jak przygana.

Ryszard chwilę milczał, nie wiedząc, co ma odpowiedzieć. Gospodarz jak na swój wiek, który Ryszard szacował co najmniej na siedemdziesiąt lat, energicznym krokiem podszedł i usiadł po przeciwnej stronie stołu. Twarz jego, jak to często bywa u ludzi bardzo starych, przypominała powierzchnię wyschniętego, zwiędłego ziemniaka. Była szara, z niezliczoną ilością bruzd, które układały się półkoliście i regularnie jak nitki pajęczyny. Gospodarz wyraźnie jakby oczekiwał czegoś. „Pewnie wyjaśnienia mego przyjścia” — pomyślał Ryszard. Staruszek zamrugał lekko powiekami, jakby nagle odeszło go ożywienie i poczuł się niezmiernie zmęczony.

— Pan jeszcze taki młody — powtórzył znowu.

Ryszard nie rozumiał, o co mu chodzi.

— Przyjechałem tu autostopem — wykrztusił wreszcie, nie patrząc na gospodarza.

— Dziś dużo młodych podróżuje w ten sposób — wtrącił, zanim Ryszard zdążył powiedzieć następne zdanie.

— Zastała mnie noc w tej miejscowości, więc przyszedłem poprosić pana o nocleg — skończył i podniósł prawie błagalnie wzrok na człowieka przed sobą.

Ryszard zobaczył na twarzy gospodarza jakby zdziwienie i zarazem rozczerowanie, prawie niesmak.

— Ja zapłacę, dobrze zapłacę — mówił szybko w obawie, że zostanie odprawiony z kwitkiem.

Wyraz niechęci nie zniknął z twarzy staruszka.

— Nie o to chodzi — odpowiedział wreszcie głosem poirytowanym. — Pieniądzy mi nie brak... Oczywiście, są zabezpieczone — szybko dodał.

— Tylko jedną noc — znowu Ryszard.

— Nie bardzo jest gdzie — mruknął gospodarz.

Ryszard spostrzegł, że wyraz poprzedniej jego zdecydowanej niechęci rozplýwał się złagodzeniem zmarszczek na twarzy.

— Ale jest — zaryzykował.

Kilka sekund trwała ciężka, denerwująca cisza, podczas której rozległo się znowu ujadanie psa.

— Mam na górze pokój, ale to pokój córki. I tak go za często nadużywam — obojętnie powiedział, ale zaraz się ożywił. — No, dobrze, niech będzie. Córka zaraz panu pościeli... A może pan jest głodny? — zapytał, jakby się już całkowicie pogodził z sytuacją.

— Ależ nie, skądże... Jadłem... — odpowiedział Ryszard ucieszony, że jest już po wszystkim.

— Dobrze, jak pan chce — mruknął gospodarz. — A więc zaprowadzę pana na górę.

Pokój na górze był olbrzymi. Stały w nim dwa ogromne łóżka, okrągły stół i okazałych rozmiarów szafa, kilka krzeseł porozstawianych po kątach. Na ścianach te same obrazy świętych — Ryszard ocenił, że nawet jest ich tu jeszcze więcej niż w pokoju na dole. Był zmęczony. Najchętniej poszedłby od razu spać, ale przecież gospodarz zapowiadał przyjście córki. Pomyślał, że mógłby przecież sam pościelić i szybciej poszedłby spać. Siedział prawie zasypiając, a zapowiadana córka wciąż nie nadchodziła. Wstał i mrużąc klejące się powieki spojrzał w okno. Zobaczył ciemny masyw góry porośnięty lasem i jasne małe światełko w połowie masztu na szczycie. Cienki maszt wyraźnie odcinał się na tle gwiazdzistego nieba, które zapowiadało na jutro pogodę. Poczuł chłód wiejący od ciemnych zboczy góry i zimnych gwiazd, które zawsze im zimniejsze, tym bardziej słoneczną zapowiadają pogodę. Odwrócił się od okna i ziewając z przyjemnością spojrzał na ogromne pierzyny na łóżkach.

Wreszcie weszła zapowiedziana córka gospodarza. Ryszard patrzył i oczom nie wierzył. Spodziewał się o wiele starszej, natomiast stała przed nim osiemnastoletnia, najwyżej dwudziestoletnia dziewczyna. Nagle uśmiechnęła się bezpośrednim, ujmującym uśmiechem. Natychmiast pomyślał, że pewnie należy do tych, które od razu zjednują sobie sympatię otoczenia. Zrobiła kilka kroków w stronę łóżek. Ryszard stwierdził zabawnie w myślach, że powinna kupować o kilka numerów większe sweterki tylko ze względu na piersi — ten, który miała na sobie, wydawało się, za chwilę pęknie w szwach.

Dziewczyna bez słowa zaczęła rozbierać łóżko.

— Po co to pani robi? — wstał i dotknął lekko

jej ramienia. — Skąd pani wie, na którym łóżku chcę spać? — powiedział z przekorą w głosie.

Odwróciła się i pochyłona jednocześnie odgarnęła z twarzy włosy. Spojrzała szczerze zdziwiona. Ryszard patrzył jak zahipnotyzowany na jej piersi, które leciutko dotykały kwiecistej kapy.

— Pani jest wnuczką, ja rozmawiałem z pani dziadkiem, prawda?

Odpowiedzią dziewczyny był głośny śmiech.

— Tata by panu pokazał, gdyby to usłyszał! Tu panu będzie wygodnie — mówiła, ubijając poduszkę.

Wyprostowała się i z dumą spojrzała na swoje dzieło.

— Dobranoc panu — powiedziała cicho i szybko wybiegła.

Słuchał jej kroków a właściwie rytmicznego skrzypienia drewnianych schodów po których, tak sobie wyobrażał, skakała zwinnie ze stopnia na stopień. Szybko umył się i poszedł spać.

Nazajutrz była niedziela. Kiedy obudził się z przestrachem stwierdził, że dochodzi już dziesiąta. W pokoju na dole zastał gospodarza pochyłonego nad rozłożonymi kartami.

— Zaraz przyniosę śniadanie — powiedział do niego znad kart — Hela poszła na grzyby — dodał widząc, że Ryszard rozgląda się po pokoju, jakby kogoś szukał. Ryszard zerknął kilka razy na stół i stwierdził, że nie jest to pasjans.

Po śniadaniu poprosił, czy mógłby zostać jeszcze jeden dzień. Jest niedziela i nie ma właściwie po co się spieszyć. Chciałby obejrzeć okolicę, która go zaciekawia, no i odpocząć. Oczywiście dobrze zapłaci. Gospodarz zgodził się, nie okazując wcale zdziwienia z powodu jego prośby.

Idąc przez wieś Ryszard zastanawiał się, dlaczego postanowił tu jeszcze zostać. Zostaje, pomyślał, bo jest niedziela i nie ma się czego śpieszyć. A jednak wiedział i o tym, że został z ciekawości, której powodów nie był w stanie dokładnie określić, a której przyczyn mógł szukać tylko w podświadomości. Doszedł do ścieżki prowadzącej w górę i wszedł w las.

Drzewa były tu rzadkie, gdzieniegdzie świeciły puste, małe polany pokryte spróchniałymi pniami. To tylko wieczorem, w ciemności, las tej góry wydawał się taki gęsty, jakby ciemność zwiększała ilość drzew. Zmęczony i spocony doszedł wreszcie na szczyt góry. Stał tu duży, murowany budynek z czerwonej cegły, z dachu budynku wyrastał maszt, który widział wczoraj z okna pokoju. Był to maszt telewizyjny. Spotkany młody chłopiec powiedział mu, że góra ta kiedyś była miejscem kultu religijnego Słowian. Tu składano ofiary bogom i tu odbywały się pogańskie ceremonie sakralne naszych przodków.

Kiedy wrócił, w korytarzu zatrzymał go gospodarz i poprosił na obiad. Ryszard próbował się wzbraniać przed, jego zdaniem przesadną gościnnością, ale ten stary człowiek tłumaczył, że jest ze wschodu i nigdy nie pozwoli, aby jego gość był głodny. Obiad podała dziewczyna, ale nie usiadła razem z nimi. Widocznie poszła jeść do kuchni. I teraz, w świetle dziennym, Ryszard musiał stwierdzić, że nie jest ona brzydką dziewczyną; było w niej coś oryginalnego, pociągającego. Dziewczyna jest jakby bliska, myślał Ryszard, naturze. Miała w sobie po prostu niespotykaną i imponującą naturalność, nawet w gestach, w których nie było ani oglady, ani dzikości.

Po obiedzie, aż do wieczora, Ryszard wałęsał się

po okolicy. Kilka razy przeszedł wzdłuż wsi. Po-
tem długo leżał na polance u stóp góry i myślał
o tym, że tu dopiero odzyskuje się prawdziwą wol-
ność. Człowiek w pejzażu, w plenerze jest bardziej
naturalny dzięki bliskości przyrody. Wrócił, kiedy
szarzało. Wszedł do swego pokoju na górze i czytał
książkę. Zastanawiał się, czy jest ktoś w domu. Co
chwila odrywał wzrok od książki i zerknął na gęst-
niejące drzewa na stokach gór i na jasne, małe
światelko w połowie masztu telewizyjnego. Po go-
dzinie gospodarz, nie wchodząc na górę, zawołał go
na kolację. Sam widocznie był po kolacji, bo sie-
dział i w skupieniu oglądał program telewizyjny.
Ryszard zorientował się, że był to film o obrzędach
religijnych w Afryce. Gospodarz zapatrzony w te-
lewizor nie odzywał się, Ryszard mógł nawet do-
myślać się, że trapią go jakieś męczące myśli.
A może rzeczywiście był tak przejęty filmem. Nie
nawiazywał więc z nim rozmowy, zjadł i wrócił na
górze do swego pokoju. O tej samej porze co wczor-
ajszego dnia, przyszła znowu dziewczyna i bez sło-
wa zaczęła rozścielać to samo łóżko. Była w kolo-
rowej sukience, zasznurowanej mocno na piersiach,
co znacznie zmniejszało jej biust. Jej piersi nie
znajdując ujścia, parły do góry, lekko wychylając
się z niewielkiego dekoltu. Ryszard natychmiast
odłożył książkę i wpatrywał się uważnie w jej syl-
wetkę. Ruchy dziewczyny podczas ścielenia były
szybkie, ale dokładne.

— Czemu pani to tak szybko robi? Mogłaby pani
porozmawiać ze mną choć przez chwilę — zagad-
nął ją, nadając swemu głosowi łagodne brzmienie.

— Muszę iść wcześniej spać, bo rano wstaję sko-
ro świt. Teraz tyle roboty na gospodarce — odpo-
wiedziała.

— Proszę zostać tylko na chwilę — nalegał.

Spojrzała na Ryszarda, zatrzymując na nim śmiało wzrok.

— Tata zawsze czeka na mnie. Nigdy nie idzie spać, zanim ja się nie położę.

— Więc niech pani go uśpi — wypalił bez zastanowienia.

Spojrzała na niego zdziwiona jakby, nie bardzo rozumiała, o czym mówi. Ryszard patrzył jak stoi spłoszona, cała naprężona do skoku, do ucieczki z tego pokoju. Zdawał sobie sprawę, że wszystko kładzie na jedną kartę, ale zaryzykował.

— Kiedy zaśnie pani tata, proszę tu wrócić, to sobie posiedzimy i porozmawiamy — mówił, pokonując treść.

Nie patrzył na dziewczynę, aby jej nie spłoszyć. Cekał na odpowiedź, ale zamiast słów usłyszał tylko kroki. Odgłos delikatnie otwieranych drzwi i skrzyp schodów, który trwał krótko, niczym szybka seria z automatu. Kiedy podniósł głowę, nie było już dziewczyny w pokoju. Ten krótki skrzyp schodów oznaczał jak szybko musiała zbiegać. Siedział jeszcze chwilę nieruchomo, dziwiąc się swojej beczelnej odwadze. Był przekonany, że zraził sobie dziewczynę. Jeśli poskarży ojcu, będzie się czuł niezwykle głupio. Postanowił więc raniutko skoro świt wyjechać, po prostu uciec stąd. Sięgnął po książkę, ale nie mógł już zmusić się do czytania. Poszedł do łóżka nie gasząc światła, całkowicie nie stracił nadziei na powrót dziewczyny. Nie wiedział jak długo, i czy w ogóle spał. Poruszył się, odrzucając ciężką pierzynę, pod którą było mu bardzo gorąco, i wtedy wyczuł w pokoju czyjąś obecność. Otworzył ciężkie powieki i zobaczył w drzwiach dziewczynę. Była w tej samej długiej i sznurowanej na piersiach sukience. Ucieszony, poprosił cicho, aby

usiadła obok niego. Podeszła posłusznie, prawie na palcach, i usiadła na brzeжку łóżka. Podniósł się na łokciach. Wiedział, że teraz koniecznie musi coś powiedzieć, coś takiego, aby nie przestraszyć dziewczyny i zaciekać ją. Nic jednak stosownego nie przychodziło mu do głowy.

— Ma pani, bardzo miłego tatę — powiedział niezdarnie. — Nigdy bym nie pomyślał, że jest pani jego córką. Przecież on jest w wieku... — ciągnął dalej niepewnie, czekając na jej reakcję.

— Ma siedemdziesiąt sześć lat i jeszcze pracuje za dwóch młodych — odpowiedziała dziewczyna.

Ryszard ucieszył się jej spokojem. Mimowolnie jednak popatrzył w stronę drzwi. Bystry wzrok dziewczyny natychmiast uchwycił jego spojrzenie.

— Już zasnęła, wstaje o wiele wcześniej ode mnie. Dzisiaj miał ciężki dzień. Ja byłam na grzybach, potem u koleżanki, a on cały dzień pracował — skończyła z dumą.

— A co on takiego robił w niedzielę? — zapytał Ryszard ucieszony, że udało mu się nawiązać rozmowę.

— Co? — zdziwiła się dziewczyna. — Ach, zapomniałam, pana przecież nie było w domu przez cały dzień. Dziś zważyło się chyba kilkanaście osób, a mój tata nigdy nie odprawia nikogo z niczym... Już taki jest, choć mówią mu czasem...

Dziewczyna urwała, a on, nic nie rozumiejąc, czekał na jej dalsze wyjaśniania.

— On wróży — wyjaśniła.

— Co robi? — nie rozumiał.

— Jest najlepszym wróżbitą na całą okolicę — powiedziała z przechwałką w głosie.

Ryszard w dalszym ciągu nie rozumiał.

— Właśnie dzisiaj, kiedy pana nie było, przyjechało kilkanaście osób. Tata był nawet niezadowolony.

lony, bo zaczęły się żniwa i teraz tylko w niedzielę można odpocząć... Niektórzy przyjechali końmi przeszło sto kilometrów, więc się zlitował — mówiła jakby usprawiedliwiając ojca.

— Teraz rozumiem, rozumiem — szeptał wpatrując się w dziewczynę.

— A w ciągu tygodnia tata miał wiele osób z sanatorium — ciągnęła dalej. — Nazbierało się również dużo listów w sprawie wróżby.

— A więc listownie także? — zdziwił się.

— Tata myślał, że pan przyjechał na wróżbę — mówiła nie odpowiadając na jego pytanie. — Dziwił się nawet, że pan, taki młody...

— No, a jak sprawdzają się wróżby pani taty? — zapytał zirytowany powagą, z jaką mówiła.

— Ludzie nie narzekają — odpaliła. — A najbardziej chwałą go ci z sanatorium.

Patrzyła wprost w twarz Ryszardowi, jakby teraz ona nie rozumiała jego zdziwienia. Zbity z tropu nie wiedział, jak z nią rozmawiać, bezmyślnie patrzył na jej piersi regularnie poruszające się w oddechu, pewnie zmęczone całodziennym uciskiem sznurówek sukienki.

— Szkoda mi tych nieszczęśników z sanatorium, których pani tata oszukuje — znowu zaatakował.

— On nikogo nie oszukuje, bo wszystko się sprawdza.

Ryszard był bezradny. Nie mógł przecież bez zażenowania tłumaczyć jej tak prostych rzeczy.

— Z sanatorium mówią, że tata bardziej im pomaga niż lekarze — powiedziała dziewczyna.

— Tata pani wygląda na inteligentnego, czytającego człowieka — zaczął z innej beczki, zmieniając taktykę. — Kupił sobie nawet telewizor — wy palił, jakby chcąc za wszelką cenę znaleźć argu-

menty, które zaprzeczałyby temu, co mówi dziewczyna.

— Tata mówi, że telewizor pomaga mu we wróceniu — odpowiedziała dobitnie i spokojnie.

— Dokszałca się... A więc pani tata jest oświeconym, uczonym wróżbitą — chciał nadać swemu głosowi maksimum ironii.

Ale dziewczyna znowu nic nie wyczytała z jego tonu.

— Tak, tata jest najlepszym wróżbitą na całą okolicę — potwierdziła z powagą i dumą.

Tłumiąc w sobie złość i bezradność spojrział na nią. Wyglądała teraz zupełnie jak poprzedniego wieczoru, kiedy ją pierwszy raz zobaczył. Nagle pochylił się w jej stronę i objawwszy przyciągnął do siebie. Przesunęła się przez całą długość łóżka i usiadła tuż przy nim, przy poduszce. Bojąc się, że stchórzy, objął mocno dziewczynę, wyczuł swoim ciałem jej duże, twarde piersi. Odpowiadała mu zachłannie i żywiołowo pocałunkami. Dziewczyna bez oporu, zwinnie jak kotka wsunęła się pod pierzynę.

Gdy zapalił światło, leżała obok niego na wznak, do połowy odkryta, z lekko odpływającymi na boki piersiami.

— To mój panieński pokój, w którym spędzę noc poślubną. Tak postanowił mój tata... Każda z moich sióstr, a mam ich pięć — tutaj spędzała noc poślubną...

— Ty, Heleno, masz to już za sobą — ośmielił się zażartować.

— To nie to — odpowiedziała. — Tu będę miała prawdziwą noc poślubną... Pobierzemy się, jak tylko on wróci z wojska. Jego rodzice otrzymali niedawno od dowódcy list pochwalny...

— Czy go kochasz? — zapytał niezręcznie.

Odwróciła głowę, dotykając włosami jego twarzy.
— Jak teraz nie wyjdę za mąż, to będę starą panną.

— Ach tak — powiedział w jej włosy. — Jesteś ładną dziewczyną i mogłabyś wyjść za tego, którego kochasz.

— On mi pisany — odpowiedziała.

— Co to znaczy pisany?

— Tak wszyscy mówią. On mi jest przeznaczony.

— Przeznaczony?

— E, jak ty nic nie rozumiesz. Tak się przecież mówi — denerwowała się. — Los przeznacza sobie ludzi — tłumaczyła.

— Tak, teraz rozumiem, choć to wszystko nieprawda — powiedział rozbawiony i zaraz zapytał. — A jak poznaliście się?

— Jego mama przyszła do taty powróżzyć.

Ryszard nie zdążył nic odpowiedzieć, bo zamknęła mu usta; wspięła się na łokcie i zaczęła go całować. Potem długo opowiadała o swoich siostrach, ich mężach i znowu wróciła do nadzwyczajnych wróżbiarskich zdolności swego ojca.

— A jak sądzisz, czy teraz twój tata wywróży, co się stało? — i choć naprawdę nie wierzył w taką możliwość, przestraszył się.

— Może i wywróży — odpowiedziała spokojnie. Pocałowała go w czoło i wstała.

— Kiedy wyjeżdżasz? — zapytała ubierając się.

— Wczesnym rankiem — odpowiedział sennie. — Jak najwcześniej — dodał i niezadowolony stwierdził w myślach, że jednak nie opuszcza go niepokój.

— A więc nie zobaczymy się już — powiedziała obojętnie, bez żalu.

Mówiąc, to podeszła do łóżka i zawahała się

przystając. — Do widzenia — powiedziała szybko.

Ryszard odpowiedział nie poruszając się. Widział zarys jej postaci na środku pokoju. Hela otworzyła drzwi i cicho jak zwierzę zsunęła się po schodach. Rozejrzał się po pokoju i stwierdził, że już świta, więc niedługo zacznie się nowy dzień w tej miejscowości.

Przed chwilą był jeszcze senny, a teraz w żaden sposób nie mógł zmusić się do snu. Przewracał się z boku na bok odgarniając ciężką pierzynę, pod którą dusił się i parzył. Podniósł się na łóżku i spojrział w okno. Srebrnobłady odbłask pokrył górę. Małe światelko na maszcie telewizyjnym paliło się niezmordowanie jak wieczna lampka w kościele. Tak właśnie teraz je sobie skojarzył. W białym brzasku góra była martwa a rzadkie, pobielone drzewa sprawiały wrażenie kamiennych. Jedynie gdzieś tam ścieżki wśród drzew czyniły górę łagodniejszą. Rozpoznał swoją własną ścieżkę, którą wczoraj wspinał się na szczyt góry. Była najszersza a więc najczęściej uczęszczana.

Rano Ryszard kładzie na stole pieniądze i wychodzi. Wie, że zostawia za dużo pieniędzy jak za dwa dni, nie chce jednak być posądzony o skąpstwo. Cicho, jak najciszej, stąpa po schodach.

Na dworze poczuł ulgę, jakby nie wiadomo jaki ciężar zrzucił z ramion. A więc staruszek nie domyślił się niczego, niczego nie wywróżył ten wróżbita z bożej łaski, myślał z satysfakcją. I choć nie wierzył we wróżby, przyśpieszył kroku, aby jak najszybciej oddalić się od tego domu. Uciekając stąd był zły na siebie — czyżby naprawdę bał się jasnowidztwa tego człowieka? Zwolnił na chwilę kroku, jakby chciał udowodnić samemu sobie, że niczego się nie boi. Nagle usłyszał wołanie gospodarza. Ryszard miał ochotę natychmiast ruszyć bie-

giem, wiedział jednak, że nie może tego zrobić. Opanowując się z wysiłkiem przystanął. Nie odwrócił się nawet wtedy, gdy tuż koło siebie poczuł ciężki, nieregularny oddech.

— To absolutnie za dużo — powiedział gospodarz z wysiłkiem, wyciągając rękę z pieniędzmi.

Ryszard machinalnie wziął pieniądze i ruszył szybkim krokiem. Był opanowany jedną myślą — jak najszybciej oddalić się od tego domu. Nie oglądał się, ale i tak czuł na swoich plecach wzrok starego człowieka. Obejrzał się dopiero wtedy, gdy był za zabudowaniami wsi. Spojrzał w stronę góry, która kiedyś była miejscem pogańskiego kultu religijnego Słowian, a na której szczycie jest teraz maszt telewizyjny z jasnym, wiecznym światłem.

WINO PESTKOWE

SIEDZIELI w luksusowej kawiarni i pili wino pestkowe. Tak przynajmniej określiła je kelnerka, kiedy pochwalił smak napoju. On zamówił to wino, powiedział po prostu, że ma być najlepsze, jakie tu mają. Kobieta wzbraniała się w ogóle przed jakimkolwiek alkoholem, wreszcie jednak uległa, więc kelnerka przyniosła dwie lampki. Chciał koniecznie zamówić butelkę, ale kobieta za protestowała nazbyt energicznie. Z żalem pomyślał, że skończy się na tych dwóch pierwszych kieliszkach, znał bowiem jej zdecydowany charakter.

W kawiarni byli po raz pierwszy sam na sam. Zawsze dotąd przebywali w większym towarzystwie, więc nigdy nie miał sposobności porozmawiać z kobietą tak, jakby tego chciał, jak o tym marzył. Ich rozmowy ograniczały się najczęściej do jego dowcipów, do komplementów, których jej nie szczędził. W jego komplementach było wiele aluzji, które miały oznaczać, że kobieta mu się podoba. Nigdy nie miał sposobności porozmawiać z nią prywatnie, a może dokładniej, nigdy nie miał możliwości porozmawiania z kobietą szczerze. Najczęściej mówili ze sobą o sprawach, które można było nazwać, jeśli nie służbowymi, to przynajmniej sprawami

interesów. Ona bowiem pracowała w instytucji, od której wiele zależało, jeśli chodzi o jego interesy. I to utrudniało sytuację, to mu natychmiast wytrącało broń z ręki. Bał się przecież, że każdy jego komplement zostanie przez nią źle odczytany, jako chęć przypodobania się dla ułatwienia sobie drogi do jej instytucji. W obawia przed takim posądzeniem popadał w drugą skrajność, która polegała na tym, iż czasami w rozmowie z kobietą był już na granicy arogancji. I to była gra, którą się brzydził. Zastanawiał się jak powinien się w takiej sytuacji zachowywać. Wiedział, że aby osiągnąć nawet najszlachetniejszy cel często trzeba stosować, przynajmniej w pierwszym etapie, pewne żelazne reguły gry. Brzydził się wszelkiej gry a jednocześnie nie wiedział, że szczerść do niczego dobrego nie prowadzi. Nawet, a może, jak niektórzy twierdzą, szczególnie, jeśli to dotyczy związków kobiety i mężczyzny. Postanowił więc, wbrew samemu sobie, przezwyciężyć opory i z żelazną konsekwencją stosować reguły gry. Wszystko po to, aby nie stracić tej kobiety a może dokładniej, aby nie utracić w sobie nadziei o niej.

Teraz siedzieli po raz pierwszy sam na sam i pili to pestkowe wino, które było naprawdę smaczne, być może tylko dlatego, że miało smak wiśni. A może smak jakichś innych owoców. On przekonywał siebie, że jest to na pewno zapach wiśni. Coraz częściej spoglądał na twarz kobiety, której intensywność rumieńców na policzkach zwiększała się po każdej wypitej kropli wina. Dyskretna, nie rzucająca się w oczy czerń ubioru kobiety, doskonale harmonizowała z jej cerą. Nabierał dziwnego przekonania, że to pulsująca krew czyni jej twarz lekko zaokrągloną, taką, jaką najchętniej malowali renesansowi mistrzowie. Słowa, które rzucali do sie-

bie od czasu do czasu nic w zasadzie nie znaczyły, bo nie objawiały żadnego stanu emocjonalnego któregoś z nich. Zaczął się coraz usilniej wpatrywać w kobietę, usiłował robić to jednak tak, aby ona tego nie zauważała, żeby nie odkryła natręctwa jego wzroku. Kiedy patrzył na nią, zaczął doznawać uczucia, nabierać coraz większego przekonania, że kobieta wstydzi się swoich rumieńców, które wyzwała — tak w myślach to określał — intensywność jej ciała. Po jej zachowaniu się, po każdym jej słowie, coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że wszystko, co było w niej życiem, i co agresywnie domagało się swoich praw, chciała zniszczyć, jakby odpowiadał jej tylko stan przedmiotu i spokojnej, uciszonej figurki w bezruchu. Patrząc na wolne i spokojne ruchy kobiety i słysząc jej bezbarwne, do maksimum zobiektywizowane zdania, rozumiał, że za wszelką cenę chce trzymać go na dystans. Każdy jej gest był bardziej ruchem przedmiotu niż człowieka, był gestem przypadkowym, bez żadnego emocjonalnego znaczenia. Prawie to samo można było powiedzieć o jej słowach. Miał wielką ochotę krzyknąć wprost, że jej zachowanie się nie ma żadnego sensu. Cisnęły się do jego głowy myśli, że powinien jej powiedzieć, iż nie warto walczyć z własną naturą, z ciałem, że krew na policzkach ma coś... z pestek. Z pestek wiśni. Ma zapach pestek wiśni. Nie, nie powie jej tego. Nagle uświadamia sobie, że ciemny ubiór kobiety musiał dotąd długo leżeć w szafie, zanim go stamtąd wyjęła. Ma zapach naftaliny. Zapach pestek wiśni i zapach naftaliny. Jest zapachem pestek wiśni, ale kobieta chce mu nadać zapach naftaliny, myślał, wpatrując się w nią tym razem tak intensywnie, że aż nieostrożnie. Pewnie kobieta zdaje sobie z tego sprawę jak dobrze, jak korzystnie i podniecająco

wygląda w czerni. I ta świadomość ją denerwuje, bo uznaje to za profanację. Jest w pułapce, myśli dalej, bo chce być wierna tradycji, a więc nie zrzuci czerni, mimo że miast ten ubiór czynić ją martwą, podkreśla w niej tętno życia o niespotykanym napięciu. Tak właśnie pomyślał, tętno życia o niespotykanym napięciu.

W pewnej chwili, ku jego zdziwieniu, kobieta zaczęła się ożywiać. Mówiła teraz nie tylko o sprawach, które kwalifikował jako urzędowe. W kilku zdaniach, stwierdził z uciechą, objawiła swój emocjonalny stosunek do tematu ich rozmowy. Co więcej, dostrzegał już nutkę szczerości w jej głosie. Jej słowa przestawały być suchą, obiektywną informacją. Już w kilku zdaniach, pomyślał ucieszony, wyraziła sąd, który mógł być tylko jej, nieoficjalny i nawet trochę agresywny w stosunku do innych, powszechnych sądów na ten temat. Szybko wypił swoje wino prawie do dna i zachęcał do tego samego kobietę. Ona jednak umoczyła tylko usta i natychmiast nerwowym ruchem dotknęła swego policzka, jakby dając teraz otwarcie do zrozumienia, że w jej wieku i w jej sytuacji... A więc, pomyślał, nie wytrzymała i zdradziła się. Teraz zaryzykował i powiedział, że ma śliczne rumieńce. Nawet spróbował bawić się w banały, że tak właśnie w symbolu objawia się życie i przeciwko niemu nie należy się nigdy buntować, nie wolno być przeciw naturze, nawet w sytuacji, kiedy konwencje na to nie pozwalają. Nagle przestraszył się, że zagalopował się i uraził kobietę. Ona nie odpowiadała patrząc na dno swego kieliszka i to spotęgowało w nim niepokój. Próbował zaraz nieudolnie zażartować, że to przecież tylko jej krew, która zaczyna szybciej krążyć, bez jej woli. I znowu przestraszył się, że zbyt aluzyjnie przyjmie jego słowa. Kobieta

wciąż nie odpowiadała, więc natychmiast, nie wiedzieć dlaczego, postanowił brnąć dalej. Powtarzał jak maniak, że nie może być przeciw własnej naturze, że należy żyć pełnią życia i niczego nie odkładać na potem, bo nigdy nic nie wiadomo. Teraz mówił długo, żarliwie jak misjonarz, który chce nawrócić najbardziej zatwardziałych w uporze. Powtarzał w kółko wytarte frazesy pocieszając się, że w pewnych sytuacjach właśnie one najbardziej potrafią przekonywać. Słowem, chciał kobietę obudzić z martwoty, przywrócić do życia, wyrwać z odrętwienia. Robił to wszystko, bo jej nagłe ożywienie się przyniosło mu nadzieję, że jest szansa wyzwolenia kobiety z depresji. Przez jego głowę wciąż przepływała myśl, którą uparcie odsuwał, że nawraca kobietę z pobudek egoistycznych, realizuje własny cel. Natychmiast jednak usprawiedliwiał siebie, że jego pobudki są szlachetne, bo kobieta naprawdę nie jest mu obojętna, wręcz przeciwnie. Co więcej, mógłby z nią związać swoje życie. Żarliwym przekonywaniem o sensie pełni życia chciał wyciągnąć kobietę z cienia, który wokół siebie tak dokładnie i szczelnie budowała. Wreszcie, zdenerwowany i niecierpliwy, prawie krzyknął, aby coś odpowiedziała, żeby odezwała się choć słowem. Krzyczał jeszcze o tym, że przecież chce ją wrócić do życia także dla niej samej, bo ją szanuje.

Nagle kobieta poruszyła się, jak na nią zbyt energicznie i znowu dotknęła szybkim ruchem swojej czerwonej, rozpalonej twarzy. Równie nagle cofnęła rękę od policzka, jakby zawstydzona, nie tyle jednak rumieńcem co swoim gestem. Kobieta znowu ożyła. Ku jemu zdziwieniu mówiła tak szybko i z taką pasją, że przez chwilę doznał oszołomienia, nie wierzył własnym uszom. Mówiła

szybko i chaotycznie, nie mógł podążyć za jej myślami. Jedno co uświadomił sobie, to fakt, że do-tychczas tylko jej sylwetka sprawiała wrażenie nie-ruchomej figurki, że wewnątrz niej przez cały czas kłębiły się myśli, które ją tym bardziej męczyły, bo nie dawała im ujścia. Kobieta była w takim sta-nie ożywienia, w jakim jej jeszcze nigdy dotąd nie widział; co więcej, nigdy nie przypuszczał, że stać ją na to. Oto nagle zapagnęła wyrzucić z siebie wszystkie myśli, bez ich uprzedniego sprawdzenia, bez selekcji. Całkowicie się z nim zgadzała. Przy-znawała mu rację. Dziwił się, ale był przekonany, że mówi szczerze. Ma rację, mówiła, że trzeba żyć pełnią życia, niczego nie odkładać na potem, ni-czego nie gromadzić na zapas, nie obiecywać sobie zbyt wiele na niekorzyść teraźniejszości. Trzeba żyć chwilą. Była zła i zdenerwowana, rozżalona. W każdym szybko wyrzuconym słowie objawiała pretensje, do świata, do ludzi, do siebie. Mówiła o tym, że całe życie, ona i jej mąż, odkładali na później, nie żyli prawdziwie, tylko ambicjami, cią-głym dorabianiem się i poświęcaniem. Mąż piał się szczebelek po szczebelku, a każdy ten szczebel wy-magał poświęceń i rezygnacji z części życia. Ona to samo, szczebel po szczebelku. Stanowisko, coraz lepszy dom, samochód. Nieprzespane noce, nauka, żadnych rozrywek. Ze wszystkiego rezygnowali dla ambicji, zawsze dla tego najbliższego szczebelka. Wreszcie zmęczona uspokoiła się i zakończyła potok słów wymownym spojrzeniem na swój ubiór. Tym wzrokiem jakby mówiła ze spokojną rezygnacją: i wreszcie to. Tylko to. Przez delikatność nie spojrzał teraz na nią.

Po chwili kobieta znowu wróciła do suchego i obojętnego tonu. Z jej policzków całkowicie znikł rumieniec, a twarz stała się szara i bez wyrazu.

Zrozumiał, że podświadomie cieszył się, iż kobieta jest wolna. Uświadomił sobie, że czekał na to, marzył o tym od pierwszego spotkania z kobietą. Zrozumiał, że także żył tą myślą przez te kilka godzin, siedząc w kawiarni.

I oto nagle w jednej chwili zrozumiał, że wszystko zostało stracone. Runął tak długo i podstępnie budowany gmach jego nadziei. Zrozumiał, że nie jest w stanie spełnić jej marzenia, że teraz oszukałby ją tylko, bo ona jest już inna, całkowicie inna. Chłonna życia, z postanowieniem zrealizowania pełni życia. Jest teraz wolna, ale teraz dopiero całkowicie dla niego niedostępna. Spełnienie bowiem marzenia kobiety jest ponad jego siły, jest na to za słaby. I pomyślał, jak jego słowa o nawracaniu kobiety do życia obróciły się przeciwko niemu, odkryły jego fałsz. A więc kobieta mówiła także o nim. On przecież stale coś poświęca dla ambicji, dla niezliczonej ilości szczebelków, które wciąż pojawiają się nęcąc go, i z których osiągnięcia nigdy nie zrezygnuje. Te szczebelki będą w jego życiu wieczne. I nagle uświadomił sobie — w najlepszej sytuacji był wtedy, kiedy żył mąż kobiety. Wtedy wszystko było możliwe. Teraz między kobietą a nim jest przepaść, chociaż teraz naprawdę upewnił się, że żywił do niej prawdziwe uczucie. Wiedział jednak, że jest za słaby, aby zrezygnować dla niej ze swego życia. Nic już między nimi nie jest możliwe, bo teraz kobieta ma świadomość tęsknoty do pełni życia. Chciał jak najszybciej pożegnać się z nią — bał się bowiem, iż wiedząc o tym wszystkim, mógłby ją jednak oszukać.

Kiedy wychodzili z kawiarni wiedział, że to on stchórzył i tchórzostwa tego nigdy sobie nie daruje. I wiedział, że jedyne, czym będzie pocieszać się, to fałszywe usprawiedliwienie się, iż nie oszukał ko-

biety, bo nie pozwoliła mu na to jego uczciwość. A kiedy pożegnał kobietę, doznał uczucia, że oto zaprzepaścił jedyną szansę w życiu na zrealizowanie swego marzenia. Przecież, pomyślał, mógł być szczęśliwy rezygnując z życia, jakie wybrał, dla życia, o jakim marzył.

Obejrzał się po raz ostatni na kawiarnię, w której pił z kobietą pestkowe wino, najlepsze jakie tam mają. I zdążył jeszcze pomyśleć: jak to dobrze, że kobieta nie wiedziała nic ani o jego uczuciach, ani o tchórzostwie — nie domyślała się niczego. Nagle zrozumiał, iż przez cały czas myślał tylko o sobie, nie licząc się zupełnie z kobietą, dla której mógł być po prostu całkowicie obojętny.

NEKROLOG

NAJPIERW sporo trudu i zachodów kosztowało ich załatwienie wszystkich formalności w Studenckiej Spółdzielni Pracy „Marysienka” i w Zakładzie Oczyszczania Miasta. I nie tyle tym razem chodziło im o zarobek — mieli przecież dziesiątki innych prac lepiej płatnych, jak na przykład, trzepanie dywanów czy przenoszenie mebli — ile o wyśmienitą, nocną zabawę...

Wreszcie wyruszyli na ten nocny, długo oczekiwany wypad do miasta. Szli w trójkę — Bokser, Partyzant i Krzysztof. Pierwsi dwaj mieli duże kuchenne noże do zeszkrobywania afiszy, Krzysztof niósł wiadro napelnione do połowy wodą ze ścierką i tasakiem wewnątrz.

— Czy tak wygląda wypad na zamach albo partyzancki zwiad — zwrócił się Bokser do Partyzanta.

Partyzant nie odpowiedział. Przeszli jeszcze kilkakmetrów i wtedy znowu ten cholerny, zdaniem Krzysztofa, Bokser:

- Rozmawialiśmy o tobie Partyzant.
- Słucham? — ożywił się nagle zagadnięty.
- Bokser! Zaczynasz nie z tej beczki...

— Krzysztof, nie przeszkadzaś mu, niech opowiada.

— Ja ci dobrze życzę, Partyzant. Ja cię naprawdę podziwiam, ale oni wszyscy tobą gardzą, szczególnie Krzysztof. Uważają cię za frajera starego pokolenia.

— Mówiono mi, Bokser, w jaki sposób zdobyłeś to swoje mistrzostwo bokerskie. Wiesz, Partyzant, na mistrzostwa w jego wadze nikt nie przyjechał prócz niego... Teraz chwali się mistrz zakichany... W naszym Bokserku wszystko fałszywe i hochsztaplerskie.

— Przestań się nad nim znęcać, Krzysztof...

— Partyzant, co ty wygadujesz? Co ci przyszło do głowy? Ja nad nim — pytał szczerze zdziwiony.

— Mówię ci, nie wygłupiaj się! — powtórzył z groźbą w głosie Partyzant.

Oczywiście i Bokser nic z tego nie rozumiał.

— O co ci chodzi Partyzant? — Bokser przystanął na chwilę.

— Aha! — wykrzyknął Krzysztof. — Już wiem! Widzisz, Bokserku, Partyzant jak zwykle wspa-
niałomyślny, bo chce ci zaoszczędzić upokorzenia. To jest... To się nazywa prawdziwa wielkość...

Nagle, zupełnie niepostrzeżenie, znaleźli się tuż przed długim i wysokim parkanem z afiszami. Przystanęli, jakby zaskoczeni tym widokiem.

— I kto by się spodziewał, że stanie się to tak po prostu — tonem wesołka powiedział Krzysztof. — Jakże mamy tak zwyczajnie zrywać wszystko to, co cywilizacja oferuje ludzkości. Zresztą — teraz mówił, udając powagę — jak mamy się zabrać do tego zrywania afiszy, jeśli jest to karalne we wszystkich epokach i wszystkich ustrojach z wyjątkiem początkowych faz rewolucji.

— Czuje się jakiś strach — odezwał się Bokser.

— Bo zdrapywać te afisze, to jakby także trochę zbezczeszczać świętości. No nie? — mówiąc to Krzysztof zamarł na chwilę w teatralnej powadze jak posąg. — Spróbujcie, na przykład, zerwać ten afisz. O ten, PANIE ŚWIEĆ NAD JEGO DUSZĄ...

— Albo ten ŻYL LAT 87 — wtórował Bokser.

— Nie chciałbym tak długo żyć — nagle odezwał się Partyzant.

I te słowa zdziwiły Krzysztofa, więc zapytał zaniepokojony: — Co znowu z tobą, Partyzant?

Partyzant podszedł kilka kroków, nie czekając na innych, z wściekłością zaczął zrywać afisze. Za chwilę dołączyli do niego Krzysztof i Bokser. Teraz słychać było tylko darcie papieru, prawie tak rytmiczne jak rytmiczny stawał się ich oddech, coraz szybszy, wskazujący jak prędko męczyli się tą pracą. Potem, kiedy nie było już wolnych płacht papieru, sięgnęli po narzędzia i z równą zawziętością jak przedtem wyskrobywali nawet najmniejsze skrawki papieru nie zważając, że okaleczają ten wielkomiejski płot. Pracowali tak przeszło godzinę bez słowa, zdążyli jednak przez ten czas wyczyścić zaledwie kilka desek. Wreszcie, radzi nie radzi, zwolnili tempo tej, wciąż dla nich dziwnej i wciąż traktowanej jak przygodę, pracy.

Pierwszy odezwał się Bokser: — A wiecie, w tych afiszach jest całe życie... Jakby to powiedzieć... No, w nich jest także o nas...

— Tylko, że wszystko tutaj na pokaz, dla efektu — poparł Boksera Krzysztof. — O, patrzcie, znowu nekrolog — zawiadomił wszystkich.

— E, to jakiś strasznie stary — skrzywił się Bokser.

— To co z tego, że stary. Nekrologi nigdy się nie starzeją...

Partyzant w dalszym ciągu milczał zamyślony. Krzysztof i Bokser zajęci nekrologiem nie zwracali na niego uwagi.

— Niewiele z tego pozostało — powiedział Bokser i próbował czytać — „świętej pamięci”... Dalej już nic nie ma... O, tu znowu — zdjął delikatnie warstwę papieru pokrywającą nekrolog — „...sław Andrysz...” I to wszystko — skończył z rezygnacją.

— Pewnie Stanisław — zgadywał Krzysztof.

— Równie dobrze mogło być Wiesław albo Bronisław.

— Andrysz... To pewnie Andryszewski, chociaż może być także Andryszewicz, a może Andryszko...

Bokser ostrożnie starał się odsłonić dalsze partie nekrologu. Zajęci nekrologiem pracowali wolniej, z wyjątkiem Partyzanta, który nie zwalniał tempa i nie interesował się ich rozmową.

— O, tutaj jest dalszy ciąg „... owy p... aż...”... Tego już nikt nie rozszyfruje...

— Czekaaj, czekaaj... Na pewno plutonowy podchorąży... To był widocznie młody chłopiec... Zgadza się, Partyzant, no nie?

— Dajcie mi wreszcie spokój! — odburknął zapytany.

— Popatrzmy, co jest dalej... Nie... O, tu jest więcej... Krzysztof, ostrożniej... „w kościele parafialnym św. Michała...” I znowu nic... Zaraz, zaraz... „za jego duszę w dziesiątą rocznicę...”

— To obwieszczenie o mszy żałobnej w dziesiątą rocznicę? To znaczy, że zginął w czasie okupacji.

— Ależ tak, masz rację, zgadza się... Rzeczywiście... Tu jest jeszcze „...krzyż walecznych” i dalej znowu nic, tu lewy róg się skończył. Zobaczymy z prawej strony... „Towarzysze broni kieleckiego okręgu”, i na tym już naprawdę koniec... Nekrolog

się skończył, tu już co innego — obwieścił Krzysztof.

— I nawet nie wiadomo czy to żołnierz AL czy AK, a może Batalionów Chłopskich...

— Czy to nie wszystko jedno. Najważniejsze, że był bohaterem i po dziesięciu latach pamiętają o nim przyjaciele — powiedział Krzysztof, jakby chciał już zakończyć rozmowę na ten temat.

Bokser wciąż jeszcze myślał o nekrologu:

— Jeśli plutonowy podchorąży, to rzeczywiście musiał być młodym chłopcem — powtórzył zdanie wypowiedziane przed chwilą przez Krzysztofa. — Pewnie student, albo wprost z podchorążówki... Jak myślisz? — zwrócił się nagle do milczącego wciąż Partyzanta... — To musiał być akurat twój rocznik?

— Tak, to na pewno w moim wieku — odpowiedział głucho zapytany.

— Chciałbym dowiedzieć się czegośkolwiek o tym podchorążym — mówi Bokser. — A może Partyzant go znał?

— Kogo?

— No, tego z nekrologu.

— Znałeś, Partyzant, kogoś w partyzantce o tak rozpoczynającym się nazwisku? — rzuca żartem Krzysztof.

Partyzant nie zaraz odpowiada. Stoi chwilę zamysłony, jakby chciał sobie coś przypomnieć, coś bardzo odległego.

— Nie, nie... Nie znałem tego z nekrologu, ale jak wiecie i ja byłem w lesie.

— Byłeś bohaterem, słyszeliśmy o tym...

Bokser spojrzał na Partyzanta z uznaniem. We wzroku tym można było również odczytać zazdrość o wojenną przeszłość starszego kolegi.

— O, właśnie. To moje bohaterstwo to tylko... Ja w partyzantce coś zrobiłem, co mi nie daje spokoju... Przez te dziesięć lat nikomu o tym nie mówiłem...

— Cokolwiek było, dawno minęło. To wszystko teraz nieważne.

Krzysztof na wszelki wypadek próbował łagodzić wspomnienia Partyzanta.

— Ważniejsze niż wam się wydaje... Może rzeczywiście nieważne dla was, dla wszystkich innych, ale dla mnie samego tamten okres pozostanie najważniejszy do końca życia.

Krzysztof wiercił się w miejscu niespokojnie, jakby nieprzyjemnie mu było słuchać tego, co mówi Partyzant. Próbował nawet głośniejszym zdrapywaniem afiszy zagłuszać jego słowa.

— Nie można żyć ciągle przeszłością, zwłaszcza przeszłością makabryczną — usiłował jeszcze ratować sytuację.

Bokser mijając Krzysztofa stanął przy Partyzancie.

— Opowiedz, opowiedz wszystko, Partyzant. Rzuć go na kolana. Opowiedz wszystko, on zawsze wyśmiewa twoje bohaterstwo... — zaczął prosić, jakby rzeczywiście opowieść Partyzanta miała właśnie upokorzyć Krzysztofa. — Wal śmiało, Partyzant. Jesteś prawdziwym bohaterem, a my wobec ciebie to gówniarze — skończył Bokser.

Pędzący samochód oświecił ich twarze i mogli wyglądać w nagłym oświeceniu jak kukielki na scenie lalkowego teatru, przy dekoracyjnej ścianie zalepionej różnokolorowymi afiszami. Żałośnie wyglądała niewielka część parkanu z lewej strony, z której zdrapali już papier aż do nacięć w drzewie. Gdyby ktoś usilnie chciał, mógłby się dopatrzyć w tej pokaleczonej części wielkomiejskiego płotu na-

wet symbolu i to dość łatwego do odczytania, choć niezbyt wielkiego artystycznie. Znowu przemknął po pustej jezdni samochód i przygniótł ich światłem reflektorów do tego najdziwniejszego chyba ze wszystkich płotów świata, bo wystrojonego w takie szaty i w taką powagę, że zmienionego nie do poznania. Najmądrzejszego ze wszystkich płotów. Warkot samochodu już dawno zamilkł, a oni jeszcze przez chwilę stali w ciemności, jak stoi się po każdym nagłym oślepieniu. I właśnie w tej, przez chwilę trwającej ciemności, kiedy otrząsali się jeszcze z nagłego światła, znowu odezwał się Partyzant: — Ja w partyzantce zabiłem swego najlepszego przyjaciela — zaczął i zawiesił głos. Nikt z nich nie wiedział, czy nagle zabrakło mu odwagi, by dalej opowiadać, czy też zamilkł po tych słowach dla wywołania silniejszego efektu. I naprawdę zdawać by się mogło, że Partyzant z jakichś tylko dla siebie wiadomych względów czeka na ich słowa, chce, aby teraz oni coś powiedzieli. Nikt jednak nie przerywał ciszy. Krzysztof stał z opuszczoną głową, Bokser dyszał z emocji i patrzył triumfując na pochylonego Krzysztofa.

— Słyszeliście co do was powiedziałem!? — nie wytrzymał wreszcie Partyzant.

— Partyzant, przestałbyś się wygłupiać! — podnosząc głowę odpowiedział Krzysztof. — Pewnie chciałeś nas przestraszyć... Nie sędzę jednak, że byś wybrał odpowiedni temat do żartów.

— Zrozumcie, ja wcale nie żartowałem, ja naprawdę zabiłem swego najlepszego przyjaciela — szybko, rozpaczliwie powtórzył Partyzant.

— Ja Partyzantowi wierzę... Ja mu wierzę... Mów dalej... Ja ci wierzę... — Bokser trząsł się z podniecenia. — Jak to się stało? Opowiedz wszystko, Partyzant — nalegał, nie panując nad emocją.

Krzysztof rozpaczliwie usiłował wsunąć się między Partyzanta i Boksera. Gorączkowo szukał odpowiednich słów, aby zapobiec dalszej jego opowieści.

— Partyzant, przestań... Czy nie widzisz, że on się tym zachwyca... On ci zazdrości twego nieszczęścia — powiedział Krzysztof decydując się na inną taktykę. — Bokser chce twoim kosztem leczyć swoją własną małość... Swoją nijakość... — mówił i urwał niezadowolony ze swoich słów.

— Nie zważaj, Partyzant, na tego tchórza... Dlaczego zabiłeś go? No, mówże dalej — prosił przytomnie Bokser.

— No dobrze, powiedzmy, że ci wierzymy — wil się Krzysztof, znowu zmieniając taktykę.

— Co to znaczy „powiedzmy”? Wy mi wciąż nie wierzycie?

— Ależ, ja ci wierzę... Przecież powiedziałem...

— No, dobrze, już dobrze, załóżmy, że wierzymy ci... Słuchamy, co dalej? — Krzysztof brnął konsekwentnie dalej, siląc się na żartobliwy ton.

— Bez „załóżmy”! — obrusza się jak dziecko Partyzant.

— Przysięgam więc, że ci wierzę. Nie zechcesz chyba powiedzieć, że zabiłeś go z premedytacją? Co, stary?

— O, właśnie, zgadłeś — odpowiedział cicho i chwilę milczał.

— Zrozumcie, ja... — zaczął Partyzant i znowu urwał.

Czekał na ich słowa, oni wciąż jednak milczeli zdezorientowani, zupełnie nie wiedząc, jak się mają zachować. I właśnie w tym momencie Krzysztof wybucha śmiechem, zmusza się za wszelką cenę do histerycznego śmiechu, chcąc zarazić wesołością in-

nych. Śmiech ten ma natychmiast odwrócić nastrój o sto osiemdziesiąt stopni.

— Partyzant, a wiesz, aktorsko nawet byleś świetny w roli tragika... — mówi, poklepując Partyzanta po plecach. — Ty nas, stary, jednak nie nabierzesz...

Partyzant nie reaguje natychmiast.

— Bokser, a ty? — pyta rozpaczliwie po chwili, jakby szukał ostatniej deski ratunku.

— Przepraszam, Partyzant... Nie gniewaj się, ja nie chciałem — bełkotał Bokser.

— Bokser? — powtórzył błagalnie Partyzant.

— Widzisz, Bokser, znowu zostałeś nabrany. On zażartował, zakpił z nas, szczególnie z ciebie... No, przyznaj się, Partyzant, zrobiłeś nam kawał, bo ten kretyn gotów naprawdę uwierzyć w to wszystko.

— Ja wcale nie żartowałem! — mówi rozpaczliwie Partyzant. — Wyście mnie nie zrozumieli... Ja przecież...

— My się już na tym znamy, nie oszukasz nas — wesoło, udając całkowitą beztroskę, znowu odezwał się Krzysztof.

— Wszystko w porządku, Partyzant — nie odwracając się od parkanu, powiedział Bokser.

Partyzant wodził po nich błędnym wzrokiem, stał bezradnie, jakby całkowicie nie wiedział, co ma teraz robić, jak się zachować.

— Umiecie tylko... Umiecie tylko... — szeptał z wściekłością.

Krzysztof znowu chce zażegnać nieprzyjemną sytuację: — Bokser, rusz się szybciej!... Zdzieraj z tej strony... Musimy to wszystko skończyć, bo nie zapłacą nam ani grosza...

Bokser posłusznie przesuwają się w lewo i wtedy nagle podbiega do niego Partyzant.

— Bokser, przestać, zostaw! Nie rusz tego! — krzyczy Partyzant.

— E, daj spokój, jesteś fajny chłop, ale trochę dziwak.

— Zostaw to! Nie dotykaj nekrologu!...

Ale Bokser teraz, jakby w ogóle nie słyszy wściekłych słów Partyzanta, z jeszcze większą energią zeszkrobuje dokładnie najmniejsze skrawki papieru. Partyzant łapie Boksera za rękę i bezskutecznie próbuje go odciągnąć od parkanu.

— Ty... Ty, ścierwo! — syczy wściekle i uderza nożem w rękę Boksera.

Bokser jęknął. Odwraca zdziwioną twarz i zaraz przenosi wzrok na dłoń, na której powoli rozlewa się krew, która może przypominać nagle rozkwitającą różę. Partyzant patrzy obojętnie nic nie widzącym wzrokiem, jak Krzysztof podtrzymuje ślaniającego się Boksera.

— Partyzant, coś ty mu zrobił? Czyś ty zwariował?

Usiłuje zawiązać chustką od nosa krwawiącą rękę Boksera.

— A tak mieliśmy się bawić dzisiejszej nocy!... Tak długo czekaliśmy na tę chwilę — mówi z wyrzutem Krzysztof.

— Masz, Bokser, teraz ty mnie — Partyzant podaje mu swój nóż. — Proszę, teraz ty mnie...

— Nie wygłupiaj się — cicho odpowiada Bokser i odsuwa się od wyciągniętej ręki.

— Musisz to zrobić dla mnie... Masz... — nalega Partyzant...

— Tyś naprawdę zwariował, Partyzant — mówi Krzysztof. — Zrozum, że to nie tędy droga... Partyzant, co ty chcesz w ten sposób naprawić... Co ty chciałeś w taki sposób zakończyć?... Zrozum wreszcie... Czy ja ci mam tłumaczyć?...

— Przestań, to ja jestem wszystkiemu winien...
Dopiero teraz ja go naprawdę zrozumiałem... Naprawdę... — mówi cicho Bokser.

— Partyzant, powiedzże wreszcie, co to było? — nalega Krzysztof.

Ale Partyzant nadal milczy.

— Zdrapywanie afiszów... Zdrapywanie afiszów... — jakby do samego siebie mówi Bokser.

Nagle wszyscy spostrzegli, że nad miastem wstał jasny i pogodny, wczesny ranek nowego dnia. Dopiero teraz zobaczyli ulice wypełniające się ludźmi, tramwajami i samochodami.

Ruszyli powoli w stronę wiaduktu, na który wciąż jak mrówki wspinali się ludzie wracający z dworca kolejowego. Na dole pod nimi przejeżdżały pociągi, ruszały ciężko i przystawały dyszące lokomotywy. Z każdą chwilą intensywniejszy ruch wielkomiejski potwierdzał narodziny nowego dnia. W pewnej chwili Partyzant odwrócił się i przystanął; ktoś z przechodzących skłął go, ale Partyzant nie zareagował. Zauważyli, że wpatruje się, wyciągając głowę ponad przechodzącym tłumem, w stronę parkanu z afiszami, przy którym spędzili całą noc.

— Patrzcie! O, tam!

Teraz dopiero zrozumieli, co zatrzymało Partyzanta. Przy ich parkanie z afiszami stał mały człowieczek w roboczym kombinezonie z rowerem, na kierownicy którego wisiała blaszana puszką. Pod pachą trzymał rulon papieru.

— Czego on tam, do cholery, szuka? — odezwał się Bokser.

Patrzyli, jak człowiek w szarym kombinezonie opiera rower o parkan, zdejmując puszkę z kierownicy i rozwija rulon plakatów.

— No tak, ledwo zdążyliśmy wszystko zerwać,

a on zaczyna przyklejać nowe — powiedział obojętnie Krzysztof. — Ale to dopiero pierwszy, teraz wszystko zacznie się od nowa.

Nie zauważyli nawet, kiedy Partyzant znikł nagle wśród przechodniów. Pierwszy dostrzegł jego zniknięcie Krzysztof.

— A gdzie Partyzant? — zapytał.

Chwilę rozglądali się zaniepokojeni.

— O tam, już po przeciwnej stronie jezdni — wskazał Bokser.

Patrzyli, jak Partyzant wbiega na alejkę.

— On biegnie do parkanu z afiszami! — powiedział ze złością Krzysztof.

— Partyzant, gdzie ty idziesz? Partyzant, nie wygłupiaj się, wracaj natychmiast... — krzyczał Bokser nie zważając, że wzbudza ogólne zainteresowanie przechodniów, którzy przystawali, tworząc grupkę gapiów tamujących ruch na chodniku.

Krzysztof podniósł wiadro i trącił lekko Boksera wciąż wypatrującego Partyzanta.

— Poczekaj, zaczekaj chwilę... Krzysztof... Zaczekaj chwilę, przecież Partyzant musi do nas wrócić... To wszystko przeze mnie... — mówił wciąż, śledząc wzrokiem oddalającą się sylwetkę Partyzanta.

— Czyś ty także zwariował... — Krzysztof przytrzymał za ramię Boksera. — Chodź, za chwilę rozpocznie się normalny dzień i Partyzant sam do nas wróci.

TYM SAMYM POCIĄGIEM

POCIĄG dojeżdżał do malutkiej stacji, oświetlonej zaledwie trzema czy czterema żarówkami dającymi nikły, bladoczerwony odblask. Na peronie stało zaledwie kilka osób, które nagle rozproszyły się, wsiadając do najbliższych wagonów. Na tej małej stacyjce nikt nie wysiadł. Na peronie majaczyła w bladym świetle wysmukła postać chłopca, lekko pochylonego w stronę pociągu. Chłopiec stał, przytrzymując między butami sportowy worek, modny wśród młodzieży w latach sześćdziesiątych; trwał w nieruchomej, obojętnej pozie i nic nie wskazywało na to, że ma zamiar jechać tym pociągiem, bardziej prawdopodobne było, że czekał na kogoś. Nikt jednak nie wysiadł a więc i chłopiec oczekiwał kogoś na próżno. I w chwili, kiedy pociąg powoli i ociężale, jakby ciągnąc niesamowity ciężar za sobą, usiłował ruszyć, chłopiec nagle pochylił się i niezdarnie podnosząc swój worek sportowy, potykając się wskoczył na stopnie wagonu. Zrobił to akurat w chwili, kiedy pociąg wyraźnie nabierał już szybkości. Chwilę mocował się z drzwiami, a kiedy udało mu się je otworzyć, wśliznął się do wagonu, głośno je za sobą zamykając.

Chłopiec minął chwiejnym krokiem kilka słabo oświetlonych karbidowymi żarówkami przedziałów. Idąc, ściągał do siebie torbę, która obijała się o drzwi. W pewnej chwili drugą, wolną ręką usiłował poprawić rozpiętą bluzę, która zjeżdżała mu z ramion. Stracił na moment równowagę, więc pociąg rzucił go kilka razy o ściany korytarza. Wreszcie udało mu się utrzymać równowagę. Przez chwilę, ciężko dysząc, stał na szeroko rozstawionych nogach. Spojrzał w najbliższą szybę przedziału i zobaczył z zaciekawieniem wpatrujące się w niego twarze dwóch kobiet. Opierając się wolną ręką natychmiast ruszył kilka kroków dalej i wszedł z hałasem do nieoświetlonego przedziału. Rzucił torbę na ławkę i dopiero w tej chwili, kiedy oczy oswoiły się z ciemnością, stwierdził, że nie jest sam. Przy oknie, po przeciwnej stronie, zobaczył ledwo widoczny profil mężczyzny. Chłopiec stał, wahając się przez ułamek sekundy i nagle usiadł z hałasem, wyrzucając nogi pod ławkę naprzeciwko; leniwym ruchem ręki zatrzaskał drzwi.

— Czy wolne, szanowny panie, obywatelu? — powiedział, nie podnosząc pochylonej głowy. — Aha, dobry wieczór — wymamrotał niedbale.

Mężczyzna nie odzywał się, jakby nic nie usłyszał.

— Mówię, dobry wieczór, bo zaraz pan pomyśli, że za jego czasów młodzież była grzeczniejsza — znowu powiedział, tym razem wyraźnie pijackim, zaczepnym tonem.

Mężczyzna w dalszym ciągu ani drgnął.

— Mówiłem dobry wieczór, czy pan słyszał? Oj, to nieładnie nie odpowiadać, szanowny panie... Za moich czasów... Chyba, że szanowny obywatel uciał sobie drzemkę — prowokował chłopiec. Dobry wie-

czór! — prawie krzycząc, pochylił się w stronę mężczyzny.

— Dobry wieczór — odpowiada cicho i spokojnie mężczyzna.

— Pytałem, czy wolne miejsce, szanowny panie... Jedzie pan niczym dygnitarz w salonce, ale na grzeczności podobno nikt jeszcze nie stracił... Tak mnie przynajmniej uczono w szkole — teraz głos chłopca staje się pijacko bełkotliwy. — Szanowny panie obywatelu, pytam grzecznie, czy wolne miejsce...

Mężczyzna przytakuje króciutkim, obojętnym „uhu”.

— Nie jest szanowny obywatel grzeczny, a przecież do pana mówię... Co pan w tym oknie widzi? — Nagle chłopiec głośno śmieje się, ale jest to śmiech wymuszony, sztuczny. — I to ma być towarzysz podróży, co nie raczy odpowiedzieć bliźniemu swemu...

— Czy pan jest ślepy! Przecież widzisz, młody człowieku, że przedział jest pusty. — Mężczyzna mówi głosem podniesionym, w którym bardziej dominuje jednak ton perswazji niż gniewu.

Chłopiec znowu usiłuje się zaśmiać. W efekcie rozlega się odgłos w połowie zbliżony do pijackiego, podniesionego o kilka tonów mamrotania, którego końcowym dźwiękiem są urywane słowa.

— Jakże jest pusty, jeśli pan, szanowny obywatelu, w nim jedzie... Czyżby pan nie zaliczał siebie do tego najlepszego ze światów... No, no...?

— Przedział nie jest pusty i z tego powodu, że pan w nim także jest... Czyżby pan, o sobie zapomniał? — odpowiada mężczyzna nagle ubawiony.

Chłopiec wstaje, zdejmując już prawie zsuniętą

na same ramiona bluzę. Wiesza ją przy drzwiach i opada bezwładnie na ławkę.

— O, panie obywatelu, wolnego. Ja o sobie nigdy nie zapominam, to tylko inni zapominają o mnie — chłopiec łapie oddech, jakby nagle zrobiło mu się niedobrze. — Zapali szanowny pan?

Mężczyzna nie reaguje.

— No, śmiało — zachęca chłopiec, naśladując ton, jakim mówią dorośli do dzieci. — Nie kradzione i jeszcze nie przesiąkły wódką. Chyba szanowny pan nie gardzi?

— Dziękuję, nie palę.

— O, już wiem, pan nie weźmie ode mnie papierosa, bo jestem podpity... Denerwuje szanownego pana to, że taki smarkacz jak ja podpiał sobie troszeczkę... No, niech pan powie prawdę? Nie weźmie pan papierosa od pijanego smarkacza? — Chłopiec na chwilę milknie. — Milczy pan? O już wiem, pan mną gardzi, tym swoim pogardliwym milczeniem okazuje wyższość. O, ja nawet wiem, co pan w tej chwili myśli... Otóż myśli pan, że gdyby był moim ojcem, wiedziałby, co ze mną zrobić. No, nie? Przyznaj się pan? Ale ja panu mówię, że gdyby w tej chwili na moim miejscu był pański syn, to dopiero wtedy nie wiedziałby pan, co ma robić.

Chłopiec pochyla się do wiszącej przy drzwiach kurtki i wywraca jej kieszenie, potem klepie się po kieszeniach spodni.

— Gdzież te cholerne zapalniczki, miałem je przecież. Ciemno tu jak... O, przepraszam...

Znowu wstaje, tym razem aby przekręcić kontakt.

— No, tak, już wyłączyli, żalują światła dla biednych podróżnych... A miało być „nieście przed narodem oświaty kaganiec”, tak mnie przynaj-

mniej uczono w szkole... Gdzież te cholerne zapalki... Wolno mi chyba zakurzyć... Pamiętam, że miałem je...

Mężczyzna odwraca się i zapala zapalkę.

— Proszę...

— O, rany! To pan profesor we własnej osobie. Przepraszam bardzo, panie profesorze... Dlaczego pan, dlaczego pan profesor od razu nie odwrócił się... Dlaczego pan nie chciał, żebym poznał...

— Proszę, chyba nie chcesz, żebym poparzył sobie palce. — Mężczyzna cierpliwie podaje dopalającą się zapalkę.

— Ależ ja sam — cicho mówi chłopiec.

— Szybciej, bo zgaśnie.

— Przepraszam bardzo... Ja...

— Nie ma za co. Znam to.

— Co? Co pan profesor zna?

Mężczyzna zwleka chwilę z odpowiedzią. Chłopiec wierci się zaniepokojony.

— Ach tak, więc pan mi nie daruje. Dlaczego nie chciał pan profesor, żebym pana poznał od razu... Gdybym był pana poznał, nie plótłbym takich rzeczy... Już wiem, to był pański podstęp... Pan profesor chciał się przekonać, jak ja się zachowuję... Teraz pan mi nie daruje i tego, że spiłem się, i tego, że byłem arogancki. Macie o nas wyrobione zdanie i ja to zdanie potwierdziłem przed chwilą. Zresztą, obojętnie jakbym się zachował, wy i tak tego zdania nigdy nie zmienicie.

— Mylisz się. Nie to, wcale nie to chciałem powiedzieć.

Jakiś człowiek ciężko przeszedł korytarzem, zerkając w szybę ich wagonu. Znowu nic nie było słychać oprócz monotonnego odgłosu jadącego pociągu. Od czasu do czasu pociąg podskakiwał na szynach, jakby trafiał na odcinek wyboistej drogi.

— Gdybym był wiedział od razu, że to pan profesor — powiedział chłopiec w zamyśleniu. — Gdybym był to wiedział, wtedy ja urządziłbym panu podstęp — dodał z niekłamany żalem.

— Teraz głupio się wycofywać, jeśli zaczęło się tak odważnie i chojracko.

— To zupełnie co innego — chłopiec mówił powoli, akcentując każde słowo. — Ale ja pana profesora lubiłem, my wszyscy pana lubiliśmy.

— Tym lepiej... Zrozum, że jeśli wycofasz się teraz i nie powiesz wszystkiego co myślisz, nie wyrzucisz z siebie tego, co cię gnębi, nigdy już potem nie zdobędziesz się na taką szczerłość i odwagę. Będziesz sobie wymawiał, że oto miałeś świetną okazję i nie wykorzystałeś jej... No, śmiało, ja chcę ci pomóc...

Mężczyzna przesunął się na środek ławki. Był teraz tuż naprzeciw chłopca. Widzieli więc zaledwie rysy swoich twarzy a raczej ich kontury. Chłopiec przez chwilę jak zahipnotyzowany wpatrywał się w jasne, schodzące się plamki, jakie tworzył biały kołnierzyk koszuli mężczyzny.

— Uważa mnie pan za tchórza — chłopiec powiedział to takim tonem, jakby znowu zaczął działać alkohol. — Nie myślcie, że tylko wy potraficie być odważni... Nie myślcie, że tylko wy! — powtórzył ze złością.

Chłopiec urwał i nagle zaczął się śmiać. Gdyby mężczyzna mógł wyraźnie widzieć w tej chwili twarz chłopca, zrozumiałby, że nie był to wcale śmiech.

— Nie bałem się nigdy pana i było mi z tym bardzo dobrze... O, jak fajnie, nie ma pan pojęcia, profesorze, jak fajnie jest nie bać się takich jak pan.

— Czy wy kiedykolwiek baliście się mnie? — nieoczekiwanie pyta mężczyzna.

— Baliśmy się wyrzucenia ze szkoły. Niektórzy bali się stopni niedostatecznych.

— Czy tylko tego?

— Baliśmy się i tego, że nigdy nie dorównamy wam w bohaterstwie. Oto czego baliśmy się najbardziej.

Odpowiedzią mężczyzny jest cichy okrzyk zdziwienia, który może równie dobrze oznaczać niedowierzanie lub oznajmienie, że słuchający poznał się na żarcie i kpinie.

— Zazdrość typowa dla chłopców. To mija z wiekiem — mężczyzna chce wyraźnie zbić chłopca z tropu.

Chłopiec jednak ciągnie z przejęciem dalej. — Nie, to nie mija. Tego, że ja urodziłem się za późno i nie miałem okazji zostać bohaterem, a pan profesor z łatwością nim został, tego już nic nie zmieni. Tak samo, jak nic nie zmieni faktu, że ja byłem pańskim uczniem, którego pan stawiał do kąta, a pan moim profesorem, którego musiałem słuchać...

— Od zarania świata są uczniowie i profesorowie — przerywa tym samym tonem mężczyzna.

— Tak, są. Tylko w jakże bywają różnych sytuacjach... Wy, na przykład popisywaliście się przed nami swoim bohaterstwem, którego wam szczerze zazdrościliśmy...

Chłopiec zamilkł. Usiłował uchwycić wzrokiem twarz mężczyzny naprzeciwko, ale oprócz ciemnej sylwetki nic więcej nie zobaczył. Nie mógł rozróżnić w ciemności najmniejszego rysu jego twarzy. I to poczucie, że nie mówi do konkretnego człowieka zmusiło go pewnie do podniesienia głosu.

Być może ten jego zdecydowany głos miał dodać także pewności siebie, odsunąć uczucie, że mówi w pustkę.

— Czy pan jednak, panie profesorze, zastanawiał się kim my z kolei będziemy w oczach naszych uczniów. Co ja mówię, kim będziemy... Kim ja jestem dla tych, których uczę? Ja im o idei i bohaterstwie, bo tego nauczył mnie pan profesor, a oni podsuwają mi pod nos gitary i potrząsają owłosionymi łbami. Wy nam podsuwaliście pod nos karabiny, którymi my zachwycaliśmy się... Ale my nie mamy co podsuwać naszym uczniom i czym ich zachwycić, więc oni podsuwają nam swoje gitary. Niech pan pomyśli, ja na przykład, nie miałem nigdy w ręku ani karabinu, ani gitary... Ot, kompletnie puste ręce... — Chłopiec wyciągnął rozłożone dłonie, podsuwając je tuż przed twarz mężczyzny. — Fajne, co? — dodał i jakby nagle z zawstyżeniem cofnął ręce za siebie.

Mężczyzna jeszcze chwilę czekał, ale chłopiec nie ciągnął swoich wywodów dalej. — Proszę, mów dalej, słucham — zabrzmiał łagodny głos mężczyzny.

— Proszę, mów dalej, słucham! — powtarza chłopiec przedrzeźniając. — Grzecznie, spokojnie i z opanowaniem, z wyższością i dostojeństwem, z poczuciem własnej przewagi i historycznej roli. Nikt tego nie wie, że być może pan i jemu podobni zostali bohaterami z przypadku, a może po prostu z tchórzostwa! Na wojnie my nie gorzej strzelalibyśmy od was, a kto wie, czy nawet lepiej niż pan, na przykład, panie profesorze...

Nagle nadjechał pociąg z przeciwnej strony i zagłuszył dalsze słowa. Kiedy pociąg przemknął, mężczyzna znowu czekał na słowa chłopca.

— Już tylko uśmiechacie się z wyrozumieniem —

chłopiec podjął o wiele ciszej i spokojniej niż przedtem — gdy któryś z nas, pańskich uczniów, bierze wszystko do serca... A przecież to wy nauczyciście nas brać wszystko do serca i wszystko przeżywać... Teraz uśmiechacie się z pobłażaniem i wyrozumiałością... Namawia pan mnie do odwagi. Dobrze więc. Nie będę pana żałował i powiem prosto z mostu... Zaraz, zaraz, jak to ja gdzieś wyczytałem... O, mam... „Kiedyś nie bali się o życie, a teraz boją się życia”.

— O, pierwsze o tym słyszę, młody człowieku — żartuje mężczyzna.

— Tchórzostwo nie opłacało się tylko podczas wojny...

— Ależ to rewelacje!

— Nie takie znowu rewelacje — odciął się chłopiec. — To proste, wtedy bohaterstwo dawało więcej szans, a nawet, myśląc dzisiejszym sposobem, dawało więcej korzyści. Wtedy dla ludzi uczciwych, a nieuczciwych w tym wypadku nie bierzemy w ogóle pod uwagę, więc dla ludzi uczciwych, sytuacja w czasie wojny była dziecinnie prosta, nadzwyczaj prosta. Czarne to wróg, białe to przyjaciel...

— Nie bierzesz pod uwagę — przerywa mężczyzna i nie kończy myśli. — Ale przepraszam cię... Słucham, co dalej?

— I wszystko byłoby w porządku, gdybyście swoją wojnę traktowali tylko jak obowiązek, ot, rzecz konieczną do spełnienia... Ale wy chyba do końca życia, cokolwiek robiąc, wciąż będziecie się zasłaniaли wojną i swoim bohaterstwem...

Pociąg wyraźnie zwalnia bieg i powoli przystaje na oświetlonej stacji. Chłopiec bierze z — cały czas trzymanej w ręku — paczki papierosów jednego i zapala. Wstaje i starannie obciąża szybę przedzia-

łu kolejową firanką. Mężczyzna z zaciekawieniem obserwuje najdrobniejsze ruchy swego współtowarzysza podróży.

Kiedy pociąg znowu rusza, chłopiec zrywa się, jakby chciał przeciąć samemu sobie potok myśli.

— Pewnie podłączyli już światło w tym choler-nym pudle — mówi ze złością, sięgając do kon-taktu.

Mężczyzna szybko wyciąga rękę, jakby chciał wstrzymać chłopca i nagle, kiedy już ma dotknąć jego ramienia, cofa rękę.

— Proszę cię, usiądź, przecież wygodniej rozma-wia się w ciemności... Mniej — mówi łagodnie — mniej krępująco...

Ostatnie zdanie mężczyzna powiedział już po za-paleniu światła. Chłopiec powoli odwraca się do niego.

— O, pan profesor jest już zupełnie siwy, choć jeszcze kilka lat... To dlatego w pierwszej chwili nie poznałem pana... — z zakłopotaniem mówi chłopiec. — Teraz pan wygląda na...

— Mam czterdzieści osiem. Czy teraz jesteś za-dowolony?

— Ja... Ja bardzo pana profesora przepraszam... Nie wiedziałem...

Chłopiec zachowuje się, jakby nagle znalazł się w sytuacji, w której nie wie, co ma robić, co po-wiedzieć. Powoli wstaje i gasi światło. — Bez świat-ła rzeczywiście rozmawia się nam o wiele przyjem-niej.

— I ja tak sędzę — potwierdza sucho mężczyzna.

Chwilę siedzą w ciemnym przedziale, jakby cze-kali, aż znowu ich oczy przyzwyczają się do ciem-ności.

— Nie wiedziałem, że pan profesor tak się ze-starzał — zaczyna chłopiec ze skruchą. — Nie to

jest jednak dla mnie najgorsze — mówi z nagłą złością, jakby natychmiast pożałował swojej tkliwości. — Dlaczego do licha, znowu siedząc na tej ławce, w chwili kiedy pan na mnie spojrzał, poczułem się nagle jak szczeniak, którego można postawić do kąta lub natychmiast wyrzucić za drzwi!

Pan zawsze, niestety, pozostanie profesorem, a ja smarkaczem. Pan z przekonaniem o swojej wielkiej wartości, bo pan to sobie wmówił, bo pana przekonali o tym inni, a ja zawsze będę cynicznym wyrostkiem, bo pan i panu podobni mnie to wmówili...

— Proszę cię, uspokój się, bo usłyszą nas w sąsiednich przedziałach...

— Usłyszą nas!... Nas! A przecież to tylko ja zachowuję się jak chuligan!

— Mój drogi, posłuchaj, bądź rozsądny...

— Mój drogi... Mój drogi... — znowu przedrzeźnia chłopiec. — Nie chcemy waszej łaski ani waszej wspaniałomyślności — chłopiec znowu kończy bezsilnie.

— Poczęstuj mnie papierosem — powiedział mężczyzna, jak gdyby przed chwilą spotkali się i dopiero teraz rozpoczynali przyjacielską pogawędkę. — Powiedziałeś tu sporo rzeczy... Teraz ja chciałem, ot, co nieco powiedzieć... — Mężczyzna chwilę zbierał myśli. I kiedy miał już odezwać się, do przedziału wszedł konduktor. Obaj podawali bilety nie patrząc na siebie, jakby bali się, że coś zepsują, że zmienią coś między sobą. Chłopiec niecierpliwie zaczął się wiercić, kiedy konduktor przeciągał sprawdzenie biletów. Gdy konduktor wyszedł, obaj natychmiast wyciągnęli ręce, aby zamknąć przedział. Mężczyzna jednak natychmiast cofnął się, chłopiec zaś wstał i powoli, dokładnie zasunął drzwi.

— Chcę ci odpowiedzieć na wszystkie twoje za-

rzuty — podjął rozmowę mężczyzna. — Nie, może nie tak — szybko poprawił się. — Opowiem ci, co robiłem podczas okupacji i wiele lat po wojnie, zanim przyszedłem do was do szkoły. Mógłbym zacząć, na przykład, tak „Działo się to w czasie, kiedy jeszcze ciebie nie było na świecie... „Wiem jednak, że nie lubisz tego stylu narracji, więc może od razu przystąpię do rzeczy... — Mężczyzna poruszył się, zmieniając swoją pozycję. Teraz siedział półprofilem do okna. — Oto w gąszczu drzew leśna polana jak miliony innych, z tą różnicą, że na tej polanie zaczyna się ceremonia niczym w kościele. Każdy gest ma tu podkreślić rolę i znaczenie faktu, niejako uświęcić. Wyobraź sobie rząd w łachmanach, tabliczki na piersiach zawierają wyjątki z życiorysów. Tabliczki niczym ewangelie świętego Janna, więc trzeba przed nimi klękać na jedno kolano. Tylko oczu nigdzie nie można było dostrzec, bo znikały pod brudnymi szmatami — taka była wola i łaska Komendanta, który był dumny z tej swojej dobroci i wspaniałomyślności i zawsze to, przed skazańcami i przed oddziałem, z dumą podkreślał. Usta jednak zastępowały oczy i one mówiły najwięcej, oczywiście usta nieruchome i milczące. Z takich ust można było wyczytać nawet myśli. I byłem pewien, że nigdy się nie mylę, co każdy z nich odczuwa. — Mężczyzna chwilę milczy. — No, oczywiście, zawsze chciałem tę swoją robotę skończyć jak najszybciej. Niestety, obowiązywał rytuał uświęcony tradycją. Sam Komendant osobiście odczytywał wyroki, powtarzając treść tabliczek na piersiach skazanych. Nigdy — tu głos mężczyzny staje się monotony i przyspieszony — nasz Komendant nie zapomniał dodać na końcu kilku sakramentalnych zdań od siebie. A treść tabliczek odczytywał powoli i uroczyście, rozkoszując się

własnym głosem. Brałem w tym wszystkim udział ponad rok — ostatnie zdanie mężczyzna powiedział głośniej, ale chłopiec nie zareagował najmniejszym szmerem. — Najgorzej jednak było pod koniec, kiedy kolano zaczynało cierpnąć na igliwiu i kamylkach leśnej polany... Te dolegliwości odezwały się jednak dopiero pod koniec... Tymczasem byłem wyborowym, doskonałym strzelcem, umiałem z precyzją trafiać w to jedyne miejsce i podobno nigdy nie pomyliłem się ani o centymetr. „Czysta robota” — chwalił mnie Komendant i poklepywał po ramieniu. Sam jednak nie uważałem tej swojej celności za wielki sukces, bo przecież odległość zawsze była taka sama i niewielka, cel także taki sam i do tego jeszcze zawsze nieruchomy. No, i karabin swój znałem doskonale, bo miałem go już kilka lat. — Mężczyzna nadał swemu głosowi ton oschłości, jakby czytał notatkę prasową. — W kółko powtarzały się więc rytualne ceremonie, zmieniał się tylko las i polany, rosła więc liczba tych, których Komendant skazał, a ja wykonywałem na nich wyrok. Nawet niebo każdego dnia nad polaną było jednakowo pogodne i niebieskie... — Mężczyzna urywa i nasłuchuje, usiłuje dojrzeć chłopca, zobaczyć jego twarz. Chłopiec szuka czegoś w kieszeniach swojej kurtki.

— Ale, co ty tam robisz? — pyta mężczyzna.

— Ja... Ja... Słucham, panie profesorze...

Chłopiec odwraca się i opiera głowę o ścianę przedziału. Mężczyzna usiłuje bezskutecznie spojrzeć w jego twarz.

— Musisz mnie wysłuchać do końca — mówi, i w jego głosie jest prośba. — Musisz mnie wysłuchać do końca, bo wydaje ci się, żeś wszystkie rozumy pozjadał — poprawia się, nadając swemu głosowi rozkazujący ton. — „Białe to przyjaciel, czar-

ne to wróg”, więc wydaje ci się teraz wszystko dziecinnie proste... Po którejś kolejnej polanie uciekłem na front. Uciekłem od Komendanta, od wszystkich leśnych polan, od uświęconego tradycją rytuału... Na froncie moi nowi towarzysze nie znali owej rytualnej ceremonii z leśnych polan. Robili to samo, ale w sposób prosty i błyskawiczny. — Mężczyzna zatrzymał się, bowiem chłopiec znowu odwrócił się do drzwi i pochylił głowę w stronę wiszącej kurtki. Mężczyzna nie zrażony ciągnął tonem opowieści: — Robili to jednak błyskawicznie, więc myśli ich nie nadążały, na szczęście dla nich, za czynem. Nie uwierzysz mi, jak bardzo chciałem, żeby spotkała mnie zasłużona kara, żeby gardzili mną moi nowi koledzy. Chciałem upokorzeniem i pokutą zmyć swoją winę. Wciąż jednak tchórzliwie milczałem. Nie mogłem im przecież wszystkiego powiedzieć o sobie. Nikomu nie mogłem... Przed dowódcami tchórzyłem, bo bałem się więzienia, a moi nowi koledzy i tak nie zrozumieliby rytuału klęczenia na leśnych polanach. A więc znowu byłem strzelcem wyborowym i choć teraz strzelałem do dalszych celów, trafiałem równie celnie. Nowy dowódca także z uznaniem klepał mnie po ramieniu i częstował wódką. „Dobra robota, a oko sokoła” mawiał do mnie jak na ironię podczas tamtych krótkich odpoczynków. Wtedy zacząłem bać się odpoczynków. Może inaczej, zacząłem bać się tego jednego, ostatniego i najdłuższego odpoczynku, jakiego przecież musi nastąpić, jeśli dożyję końca wojny. I wyobraź sobie, że głupi przypadek, który uznałem natychmiast za symbol sprawił, że pocisk trafił poniżej kolana. To był mój dalszy ciąg klęczenia na leśnych polanach. W rezultacie wojna skończyła się dla mnie o kilka miesięcy wcześniej niż myślałem... — Chłopiec znowu porusza się nie-

cierpliwie. — Nie denerwuj się, jeszcze tylko chwilę, już kończę — prosi mężczyzna. — Po wyjściu ze szpitala pozostałem w tym mieście, o które walcząc, straciłem nogę... Wtedy przyszło to, czego bałem się najbardziej. Jedno wielkie, jak mówią, nieprzerwane pasmo myślenia. Dusilem się. Nie mogłem patrzeć na ludzi, nie miałem odwagi spojrzeć im w twarz...

Mężczyzna znowu urywa zaniepokojony wierceniem się chłopca.

— Czy słuchasz uważnie? No?

Chłopiec milczy zamarły w nieruchomej pozie.

— Pytam, czy słuchasz mnie?

— Ależ tak, słucham panie profesorze... — odpowiada matowym głosem. — Ja tylko chciałem pana profesora... — dodaje nieśmiało...

— Potem powiesz, co chciałeś — mówi szybko mężczyzna, jakby w obawie, że straci wątek opowieści. — I wtedy po wyzdrowieniu, po wyjeździe ze szpitala powlokłem się tam, gdzie wydawało mi się, że mogłem zmazać winę, gdzie mogłem służyć ludziom, których zabijałem na leśnych polanach.

Mężczyzna milknie. — Byłem znowu wspaniałym chłopcem poklepywanym przez przełożonych. Chciałem zrehabilitować się za leśne polany. I potem po raz drugi znalazłem się ze swoim sumieniem na bruku... Wszyscy którzy chwalili mnie za pilność, zaczęli mi objaśniać jak nieładnie robiłem, spełniając gorliwie ich rozkazy. Nie mogłem jednak już wtedy stanąć na uboczu, być ponad tym wszystkim, ponad rzeczywistością, bo mówiąc bardzo uczenie, miałem w sobie wszystkiego po trochu z czego składała się rzeczywistość, z czego składało się życie... I wtedy właśnie przyszedłem do was, do szkoły...

— Dlaczego pan pro... Dlaczego więc... — chłopiec mówi pijackim głosem, jakby znowu wrócił poprzedni stan zamroczenia, w jakim wsiadał do pociągu.

— Nie chciałem was zatruwać jadłem nieufności, niewiary, nie mogłem wychowywać abnegatów... Zresztą, wy jesteście w innej sytuacji i nie będziecie tego wszystkiego przechodzić, co ja musiałem przejść... To wy, mówiąc twoimi słowami, jesteście w tej dziecinnie prostej sytuacji, czarne to wróg, białe — przyjaciel...

Nagle chłopiec wali się w stronę drzwi, nie jest to jednak przypadkowy upadek. Podnosi się i chwiejającym się krokiem biegnie korytarzem. Mężczyzna także za nim wyskakuje, ale chłopiec jest już na końcu korytarza.

— Co ty!... Coś ty zgłupiał? Stój! — krzyczy i sam padając, łapie go za nogi.

W tej samej chwili chłopcu udało się otworzyć drzwi. Mężczyzna nie puszczaając jedną ręką nogi chłopca, drugą uczepia się klamki. Nie może jednak pociągnąć z całej siły do siebie, bo chłopiec oparł głowę o drzwi wagonu.

— Trzymaj się poręczy! — Mężczyzna chce jeszcze coś wykrzyknąć, ale dławi go wiatr. Z wysiłkiem łapie oddech. Za wszelką cenę, wyteżając wszystkie siły, utrzymuje zdrętwiałą ręką drzwi, a drugą próbuje przeciągnąć chłopca do korytarza.

Wreszcie głowa chłopca jest już w korytarzu, poza stopniami wagonu. Teraz mężczyzna chwytą go za włosy i podnosi, zamykając z wysiłkiem drzwi wagonu. — Zaraz będzie po wszystkim — mówi na wpół do siebie, na wpół do chłopca.

Mężczyzna wie, że już teraz jest po wszystkim. Prowadzi wpół przytomnego chłopca do przedziału i ostrożnie układa go na ławce. Zapala światło.

Chłopiec ma w dwóch miejscach rozdartą koszulę i nogawkę spodni. Poprawia leżącego na wznak i dopiero teraz zauważa cieniutką smużkę krwi sączącą się z jego wargi; nawet w tym słabym świetle widać posiniaczone miejsca na twarzy.

— Masz, obetrzyj się — mówi, podając chusteczkę. — I teraz leż spokojnie. — Mężczyzna robi krok w stronę okna i podnosi rękę. Teraz chłopiec z uwagą śledzi każdy jego ruch. — Zaraz nami rzuci. Oprzyj się o ścianę — mówi przez ramię do leżącego.

— Proszę... Proszę, panie profesorze... — odzywa się cicho, chłopiec. — Błagam, panie profesorze — krzyczy, wspierając się na rękach. — Proszę nie ruszać!... Niech pan nie zatrzymuje pociągu! — głos chłopca błagalnie zacicha.

Mężczyzna opuszcza rękę i odwraca się całą sylwetką do leżącego.

— Dziękuję panu — mówi chłopiec i opada z podniesionej na łokciach pozycji.

— No, dobrze, dobrze... Już dobrze... Nie zatrzymam, choć naprawdę powinienem.

Mężczyzna przechodząc na środek przedziału potrąca butelkę, która toczy się pod ławkę.

— Leż i głęboko oddychaj. Zaraz powinna być stacja...

— Panie profesorze... Ja nic nie rozumiem. Dlaczego mnie pan nie zwymyśla?

— Uspokój się chłopcze, byłeś pijany. Teraz już po wszystkim. No, wytrzymaj się... — O, już światła, nie będziemy dojeżdżać do końca, tutaj wysiadzimy, żeby dojść do siebie, a potem razem pojedziemy dalej tym samym pociągami. Czeka, jak ty masz na imię? To wstyd, ale ja zapomniałem jak ty masz na imię... Zapomniałem jak ma na imię

mój najlepszy uczeń. Byłeś przecież najlepszym moim uczniem. No wiesz, Ja...

— Janusz...

— Rzeczywiście, Janusz... Janusz Morawiec... Już sobie przypomniałem... Ach, ta skleroza... A mnie Stefan... Stefan... Paluszyński... Nazywaliście mnie Paluszkiem... Pamiętasz chyba? Nazywali mnie Paluszkiem. — Mężczyzna próbuje się śmiać. — Paluszkiem na cynglu, kapujesz... Tak właśnie kojarzyłem sobie wasze przezwisko. Pamiętasz? No, powiedz nie zapomniałeś Paluszka?

— Proszę, niech pan profesor nie pyta, dlaczego to chciałem zrobić... Ja sam nie wiem... Po prostu nie wiem... — denerwuje się chłopiec.

Mężczyzna pochyla się z czułością nad leżącym.

— Ależ ja cię o nic nie pytam. Wszystko jest w jak najlepszym porządku. — W ściszym głosie mężczyzny brzmi melancholia. — Za oknem miga niebo i puste pola i wydaje się, że nic nie ma na świecie, że wszystko przestało być ważne... Absolutna nicość... Ale zaraz potem nagle jakaś stacja... A potem nic i kiedy znowu wydaje się... wtedy pojawia się następna stacja... Ot, spotkaliśmy się w pociągu, jedziemy tym samym pociągiem i musimy nim jechać... To wszystko...

— Ale dokąd? Dokąd my jedziemy? — niespokojnie porusza się chłopiec.

— To zależy od nas samych. Jeśli jest się wierzonym samemu sobie, wtedy nieważne dokąd — kończy głucho mężczyzna. — Musisz teraz porządnie odpocząć — dodaje szybko.

Przez chwilę obaj, chłopiec i mężczyzna, obserwują gęsty snop iskier, który wyrzuciła lokomotywa na zakręcie. Część iskier przykleja się do okna, by natychmiast zgasnąć zostawiając po sobie ciemne plamki sadzy.

ŚNIEG

SNIEG padał przez wiele dni. Pokrył całą ziemię bielą, chciał to samo zrobić z drzewami i domami, ze wszystkim, co było na tym świecie i zdołało uchronić się od wojny.

Patrzyłem na świat, który pochłania nicość i mówiąc szczerze, nie martwiłem się, bo przecież dobrze wiedziałem, że śnieg nie potrafi wszystkiego zasypać i wreszcie któregoś dnia musi przestać padać. I nie byłoby nawet powodu wspominać tamtych śniegowych dni, gdyby mój stryj nie zamartwiał się tak bardzo najzwyklejszym w świecie śniegiem. Pamiętam, że stryj przejmował się z każdym dniem coraz bardziej. Każdego ranka zrywał się wcześniej z łóżka i natychmiast biegł do okna, przy którym zaraz ze smutkiem nam obwieszczał że znowu napadało przez noc. Szybko ubierał się i nie czekając na śniadanie, wychodził na podwórze. Brał z szopy łopatę i zgarniał śnieg ze ścieżek. Robił to starannie i z przejęciem. Musiał zawsze wszystkie ścieżki wyczyścić aż do samej ziemi. Śnieg ani na chwilę nie przestawał padać, więc natychmiast znikwały czarne, wąskie pasemka ziemi z takim mozołem odsłaniane spod bieli.

Patrzyłem co dzień na stryja, jak uparcie walczy ze śniegiem; już po kilkunastu minutach wyglądał jak śnieżny, puszysty niedźwiedź i był zupełnie niepodobny do mego chudego i długiego stryja. I zdawało mi się, że to z powodu tego ciężkiego śniegu na jego ubraniu coraz wolniej wymachiwał łopata. Kiedy patrzyłem każdego ranka na stryja, jak zapamiętałe odgarniał śnieg ze ścieżek, stwierdzałem, że tak właśnie wygląda prawdziwa walka, w której żadna ze stron nie chce ustąpić. I pomyślałem o moim stryju, być może pierwszy raz z dumą, że oto trafiła kosa na kamień. I śnieg nie ustępował, i stryj nie chciał ustąpić, choć nie miał przecież żadnych szans wygrania z nim, dopóki on sam nie przestanie padać. O tym właśnie któregoś dnia powiedziałem do stryja.

— I tak nigdy do czysta się nie odgarnie, bo przecież bez przerwy pada.

Stryj jednak jakby nie usłyszał, co do niego mówię.

— A gdyby tak poczekać, aż się trochę nazbiera śniegu — ja znowu. — Zresztą ten śnieg przecież musi kiedyś przestać padać — dodałem głośniejsze.

Stryj podniósł szybko głowę, żeby nie tracić wiele czasu i odpowiedział:

— Gdybyśmy tak na wszystko, co złe, czekali, aż się nagromadzi, wtedy nikt by potem nie dał rady.

— To przecież tylko śnieg, stryju — upierałem się.

— Ale przeszkadza nam tak samo jak wiele innych rzeczy.

— No, tak, to prawda — przyznałem ze skrucą. Moje słowa widocznie sprawiły mu przyjemność, bo znowu spojrzał na mnie i wydaje mi się, że do-

strzegłem w jego wzroku trochę wdzięczności. Zachęcony łagodnym jego spojrzeniem znowu powiedziałem: — A jeśli już jutro przestanie padać, to niepotrzebnie stryj się napracuje...

— A jeśli nie przestanie? Gdybyśmy na wszystko, co nam przeszkadza, czekali, aż samo zniknie, wtedy świat ładnie by wyglądał — odpowiedział.

Nie odzywałem się więcej, bo z moim stryjem taka już zawsze była rozmowa.

Mówiąc prawdę, coraz bardziej śmieszyła mnie ta zawziętość z jaką mój stryj walczył ze śniegiem. Jemu jednak daleko było do śmiechu. W dalszym ciągu każdego ranka budząc się, z przestachem podbiegał do okna. Śnieg wciąż padał. Stryj z każdym dniem stawał się smutniejszy, coraz bardziej przygnębiony i nawet rzadziej odzywał się do nas. Podczas tych śniegowych dni jeszcze bardziej schudł, zmizerniał, mógł nawet sprawiać wrażenie człowieka trochę chorego. Byłby na pewno każdego ranka bez przerwy krążył po ścieżkach na podwórzu, tam i z powrotem, i w kółko odgarniał śnieg, gdyby stryjenka nie zawołała go na śniadanie. Zawsze musiała kilka razy powtarzać wezwanie. Stryj dopiero wtedy podnosił głowę, kiedy w głosie stryjenki brzmiał już najwyraźniej gniew. Powoli i jakby niechętnie, z ociąganiem się prostował. I zawsze, zanim wszedł do domu, odwracał się jeszcze na progu i patrzył z żalem jak śnieg od nowa zasypuje ścieżki. Wreszcie, być może, z uczuciem pewności, że i tak kiedyś wygra, wchodził do domu. Nie wiadomo jednak na pewno, co stryj w takich chwilach myślał.

Wreszcie któregoś dnia śnieg przestał padać. Nie topniał jednak, bo chwycił lekki mróz. Na niebie pojawiło się nagle dawno nie widziane słońce. Mój stryj jakby się ożywił i nawet sam mnie zaczepił.

— Idę do kuźni po lemiesz, może poszedłbyś ze mną — zaproponował.

— Ależ z przyjemnością — odpowiedziałem radośnie.

Szedłem obok stryja i długo nic nie mogłem zobaczyć na świecie. Tak dawno nie widziane słońce odbite w bieli śniegu kłuło mnie mocno w oczy, tak mocno, że prawie odczuwałem ból. Szedłem z przymkniętymi powiekami, chroniąc wzrok przed tym kłującym i wyciskającym łązy blaskiem. Mrużąc powiekami, zerkalem na idącego o pół kroku przede mną stryja. W pewnej chwili zrównałem się z nim.

— Chcę ci teraz wyjaśnić, dlaczego nie lubię śniegu — zaczął i chwilę milczał, jakby zbierał myśli.

Czekałem cierpliwie na jego słowa, bo wiedziałem, że jeśli sam zaczął tą rozmowę, będzie teraz opowiadać.

— Na wojnie śnieg jest największym wrogiem, bo trudno ukryć się i Niemcy widzą cię jak na dłoni... A najgorsze, kiedy zaskoczą nagle, kiedy nie zdążysz się jeszcze zamaskować. Wtedy strzelają do ludzi jak do królików...

— Wiem o tym, bo czytałem — wtrąciłem nieopacznie.

— Nic nie wiesz, i obyś o tym nigdy nie wiedział... Jeden z moich kolegów umierał przez pół dnia sto metrów przed nami i nie można mu było pomóc w żaden sposób, bo kto się tylko podczołgał w jego stronę, zaraz został zabity...

— A gdzie to było? — zapytałem rzeczowo.

— Nad Wisłą... I najgorsze, że ja wtedy stchórzyłem, nie miałem odwagi wychylić głowy z tej jamy, w której siedzieliśmy...

— Przecież, gdyby stryj się ruszył, zostałby na

pewno zabity, tak samo jak wszyscy inni — powiedziałem pocieszająco.

— Byłoby to lepsze niż moje życie, jakie zaczęło się w następnych dniach.

— A co wtedy było? — zapytałem szybko.

Stryj jakby teraz nie usłyszał pytania. Szedł zamysłony i patrzył otwartymi szeroko oczyma na tę oślepiającą jasność słońca zmieszanego ze śniegiem. O kimś tak zamysłonym mówi się, że „patrzy nic nie widzącymi oczyma”.

— Ja już dawno chciałem ci powiedzieć, dlaczego nie lubię śniegu — odezwał się wreszcie. — I powiedziałem — skończył z nagłym niezadowoleniem w głosie.

— Ale za to śnieg zasypał brzydkie ruiny domów i jest teraz ładnie, czyściutko — paplałem, chcąc za wszelką cenę podtrzymać rozmowę.

— Ale pamięci nic nie potrafi zasypać — powiedział stryj, i dziś jestem przekonany, że mówił to do samego siebie, bo nie odwrócił się nawet w moją stronę i odtąd milczał przez całą drogę do kuźni. Nie odzywałem się więcej, bo wiedziałem dobrze, że minęła już chwila, kiedy stryj o wojnie rozmawiał ze mną jak z kimś dorosłym, i że na następną taką okazję będę musiał długo poczekać.

W tych właśnie dniach, kiedy słońce pokazywało się na niebie coraz częściej, i kiedy chwilami już wyraźnie czuło się w powietrzu zbliżającą się wiosnę, stryj zaczął gdzieś wychodzić z domu. Raz nawet chciałem z nim iść, ale mi zabronił. Na kilkakrotne pytania stryjenki, gdzie wychodzi, dawał jakieś zbywające ją odpowiedzi lub w ogóle nie odpowiadał. Pewnego dnia wyruszyłem w ślad za stryjem. Szedłem za nim aż do momentu, kiedy minął ostatnie zabudowania wsi. Wiedziałem więc,

że stryj chodzi gdzieś za wieś i wiedziałem też, co było dla mnie najważniejsze, w którą stronę.

Wreszcie któregoś dnia zacząłem się w ogrodzie na skraju wsi, obok drogi, którą stryj stale przechodził. Czekałem chyba z godzinę; zacierałem zmarznięte ręce, biłem nimi po plecach, tupiałem wściekle, odpędzając mróz. Ciekawość była jednak we mnie silniejsza od ewentualności przeziębienia się. Wreszcie, kiedy już traciłem wszelką nadzieję, i kiedy już prawie płakałem z zimna, pojawił się mój stryj. Z drzeniem, już nie tyle z zimna ile z emocji, przytuliłem się do oblodzonego pnia jabłoni. Stryj szedł równym, energicznym krokiem. Przechodził tuż obok ogrodu, w którym siedziałem zaczajony. Szedł tak blisko, że słyszałem niemiłosierne skrzypienie śniegu pod jego butami, i ten skrzyp przyprawiał mnie o nieprzyjemne dreszcze. Bałem się, że stryj mnie usłyszy. On jednak minął ogród swoim równym, jakby odmierzonym krokiem. Widziałem go teraz jak na dłoni: rytmicznie kiwającą się i wciąż oddalającą się ciemną postać na niezmierzenie białej powierzchni. Nie spuszczałem go z oka, wpatrywałem się w niego jak zahipnotyzowany. Stryj skręcił z głównej drogi i szedł wydeptaną ścieżką w stronę poniemieckich bunkrów. Od razu domyśliłem się, że ta ścieżka była wydeptana przez niego samego w ciągu ostatnich dni, bo któż inny i po co chodziłby w czasie zimy do poniemieckich bunkrów. Tam mógł chodzić tylko on. Po moim stryju można było spodziewać się najdziwniejszych rzeczy, i co u innych byłoby śmieszne, u niego zwyczajne. Kiedy wszedł już na linię bunkrów, przystanął i spojrzał w stronę wsi. Miałem więc szczęście, że nie szedłem za nim. Widziałem jak pochylił się przy jednym z bunkrów i coś jakby podniósł z wysiłkiem i postawił obok.

Za chwilę mój stryj znikł w bunkrze. Zrozumiałem, że nie mam ani chwili do stracenia, jeśli chcę dowiedzieć się, po co stryj codziennie wchodzi do poniemieckich bunkrów. I przede wszystkim co tam robi. Ruszyłem biegiem śladem stryja, najpierw drogą, a potem tą dobrze wydeptaną ścieżką. Zdyszany przystanąłem kilka kroków przed bunkrem, do którego wszedł stryj i jak najciszej podczołgałem się do samego wejścia. Wściekałem się na ten, teraz bardzo głośny skrzyp śniegu. Wreszcie oparłem się delikatnie o ośnieżony bunkier i zacząłem nasłuchiwać, ale z bunkra nie wydobywał się nawet najmniejszy szmer. Zresztą nawet krzyki nie wydostałyby się z niego, bo wiedziałem, że bunkier jest z żelaza i betonu. Wtedy dopiero obleciał mnie prawdziwy strach! I nagle nic nie myśląc, zacząłem ostrożnie uchylać żelazne drzwiczki bunkra. I wtedy stało się. Drzwiczki zaskrzypiały głośno i ukazała się tuż przede mną zdziwiona twarz mego stryja. Rzecz jasna, że w tamtej chwili zamarłem z przerażenia.

— Co ty tu robisz, smarkaczu! — krzyknął ze złością.

Kiedy już byłem pewien najgorszego stryj nagle uśmiechnął się.

— Przepraszam cię, Artur... Wejdź tu do mnie...

Ruszyłem śmiało za nim, bo wiedziałem, że już po wszystkim i stryj znowu jest normalny, co w ludzkim języku znaczy „dziwny”, a co zawsze dla mnie znaczyło „dobry”. Wiedziałem, że w tym swoim dziwnym stanie łagodnym i zamyślonym nikomu nie robi krzywdy, a szczególnie mnie. W takich właśnie chwilach traktował mnie jak dorosłego i rozmawiał nawet ze mną jak równy z równym. W bunkrze było ciemno, więc stryj wziął moją rękę i pociągnął za sobą w prawą stronę za

jakąś ścianę. Po chwili sprowadził mnie kilka schodków niżej. Tę właśnie część bunkra oświecała świeca stojąca na cegle. Prócz cegły, na której paliła się świeca i pieńka drzewa, na którym usiadł stryj, nie było tu niczego więcej. Nadal więc nie wiedziałem, po co stryj przychodzi do bunkra.

— Patrz, jak wschodzi pszenica — stryj powiedział to prawie radośnie, wskazując na spulchnioną ziemię.

Teraz dopiero i ja zobaczyłem w mrocznym blasku świecy wschodzące roślinki. W dalszym ciągu nic jeszcze nie rozumiałem.

— Po co stryj tu przychodzi? — zapytałem, zdobywając się na odwagę.

— Jak to po co? — Zdziwił się szczerze. — Zobaczyć jak wschodzi zboże.

I już mało brakowało, a byłbym się nagle roześmiał, ale uchwyciłem wzrokiem zamyśloną i poważną twarz mego stryja.

— Aha — mruknąłem, udając, że wszystko rozumiem. I wtedy stryj jakby ożywił się ucieszony.

— Zanim zaczęła się wojna, chodziłem każdej wiosny oglądać wschodzące zboże — mówił i w jego głosie było usprawiedliwienie.

Siedzieliśmy chwilę w milczeniu. Szukałem w myśli odpowiednich słów. Cisza przedłużała się nieprzyjemnie, a ja bałem się, że w stryju coś nagle się odmieni i znowu może się rozżłościć za to moje nieproszone najście.

Z ulgą patrzyłem, kiedy podchodził do świecy.

Po wyjściu z bunkra, stryj znowu się ożywił.

— To prawda, że nie lubię śniegu dlatego, że przez śnieg zginęło wielu moich kolegów na wojnie — zaczął i przystanął. — Ale chcę ci także powiedzieć, że nie mogę teraz doczekać się, kiedy

wreszcie ten śnieg zejdzie i zobaczę swoje pierwsze zboże, które zasiałem jesienią.

Stryj na chwilę zamilkł.

— A w ogóle to byłem zły, że tę całą Nową Ziemię zasypał śnieg — powiedział znowu. — Ale ty, Artur, jeśli ktoś zapyta, gdzie ja chodzę, odpowiadaj, że lubię takie spacery... No, że to są najwyczajniejsze w świecie moje przechadzki na świeżym powietrzu...

— Rozumiem, teraz wszystko rozumiem, stryju — powiedziałem, choć zdaje się, że wtedy nie bardzo go rozumiałem.

— Niemcy niedługo wyjadą, i odtąd my będziemy już zawsze mieszkać na Nowej Ziemi — powiedział do mnie, kiedy byliśmy tuż przed domem.

Wiedziałem, że to miejsce, na którym zamieszkaliśmy zaraz po wojnie, stryj nazywa Nową Ziemią, którą w gazetach nazywają Ziemią Odzyskaną. Prawdę mówiąc, byłem trochę rozczarowany do wiedziawszy się, po co stryj chodzi codziennie do bunkra. Wiedziałem jednak, że on nie kłamie. Wydaje mi się teraz, że obaj myśleliśmy odtąd o tym samym, o nadejściu pierwszej wiosny na Nowej Ziemi.

STARY OLKUSZ

MINĘŁY już dwa lata po wojnie, czyli dwa lata na Nowej Ziemi. Mój stryj cieszył się już z drugiej wiosny, która akurat się zaczynała. Czekał jeszcze na zejście reszty śniegu, aby wyjść wreszcie w pole. I tak samo jak zeszłej wiosny, był i teraz ożywiony i pracowity, całymi dniami od świtu do nocy krzątał się przy pracy jak mrówka. Robił wszystko, co wpadło mu w ręce, przygotowywał narzędzia do wyjścia w pole, poprawiał wszystko w obejściu. Najpierw grzebał przy stodółce i wymieniał deski, które, zdaje się, wystarczyłyby jeszcze z powodzeniem na wiele lat; potem wymieniał sztachety w płocie. „Jeśli dom nie jest starannie ogrodzony, to jakby nie był własnością tego, kto w nim mieszka” mówił mój stryj. Krzątał się więc i tej wiosny, która szła wraz ze słońcem i znikaniem śniegu ze stryjowego pola na Nowej Ziemi.

I wydaje mi się teraz, że właśnie ten stan wiosennego ożywienia stryja był jego najlepszym czasem. W tym okresie rzadko zamyślał się, był rozmowniejszy i bardziej podobny do wszystkich ludzi; nawet to, co mówił, było zwyczajne, podobne

do tego, co mówili inni. Lubilem patrzeć na stryja, jak pracowicie krzątał się i jak robota, za którą się wziął, paliła mu się w rękach.

A wszystko robił szybko, jakby w obawie, że nie zdąży, jakby miał tylko jeden czy dwa dni na zrobienie tych wszystkich rzeczy.

Do dziś wspominam to przedwiośnie na Nowej Ziemi. Pamiętam wyjazd Niemców; i pamiętam starego Olkusza. Najpierw wyjeżdżali Niemcy.

Wozy załadowane gratami i pierzynami, pełne Niemców stały gotowe do drogi. Staliśmy obok tych załadowanych gratami i ludźmi wozów i przyglądaliśmy się. Z dużej grupy gapiów zostało już tylko kilka osób, bo ten wyjazd Niemców trwał sporo godzin i większość nie miała cierpliwości tak patrzeć. Wśród tych najwytrwalszych, którzy pozostali, był mój stryj, stary Olkusz i ja, no i kilka kobiet ze wsi, które były najhałaśliwsze, ale one nas nie obchodziły. Mój stryj nawet mruczał pod nosem, że mogłyby już sobie pójść do swoich chałup, bo taki wyjazd Niemców to rzecz nie dla bab, które i tak nic nie rozumieją.

— To nie tylko ich winą — powiedział stryj.

— A czyja? — zapienił się stary Olkusz.

Stryj spojrzał na Olkusza, potem na Niemców, potem znowu na Olkusza, widać było, że chce coś powiedzieć, ale brak mu słów.

— A czyja? — powtórzył.

— Historii — wypalił stryj. — To tak się wszystko na świecie pomieszało — wyjaśnił po chwili, bo jakby sam nie był zadowolony z tej uczonej odpowiedzi.

— Ja bym ich żywcem rznął — powiedział Olkusz, ale już bez tak wielkiego przekonania jak przedtem.

W pewnej chwili, kiedy tak staliśmy i gapiliśmy się na Niemców, na jednym z wozów siwiutki Niemiec zaczął krzyczeć i gramolić się z fury, ale inni siedzący przy nim Niemcy zaraz złapali go za ręce i znowu wciągnęli na furmankę. Stary Niemiec nie przestawał jednak krzyczeć piskliwym i płaczliwym głosem. Staliśmy zdziwieni nic nie mówiąc. Wreszcie Niemiec przestał, już tylko chlpał, wtulając głowę między kolana.

— Co on wrzeszczał? — stryj zapytał ze złością. Olkusz zastanawiał się chwilę.

— Krzyczał, że nie chce jechać do Hitlera, że Hitler go zabije... No i temu podobne jeszcze inne rzeczy.

— No widzisz — ucieszył się nagle mój stryj. — Nie wszyscy Niemcy jednakowi.

— Tak, nie wszyscy. Ci, którzy go wciągnęli na furmankę, powiedzieli o nim, że to wariat...

— Nie taki on wariat — odpowiedział stryj i popatrzył z sympatią na starego Niemca.

Nie spostrześliśmy się, gdy furmanki ruszyły w stronę miasta. Staliśmy jeszcze trochę gapiąc się, aż zniknęły za zabudowaniami wsi.

— Gdybym to ja wiedział, czy mój syn żyje — powiedział jakby tylko do siebie samego stary Olkusz.

— Na pewno żyje, bo gdyby nie żył, daliby już znać — pocieszał go mój stryj.

— To nie takie pewne — zaczął i zamilkł. — Tak, daliby już znać — skończył i była w jego głosie nadzieja.

— Idę już, cześć Artur! — powiedział Olkusz, odchodząc.

I zdaje się, że właśnie od tamtego momentu polubiłem starego Olkusza, który tak fajnie potrafił do mnie mówić.

— To nieszczęśliwy człowiek — powiedział stryj po odejściu Olkusza.

— A czemu, stryju?

— On już dwa lata czeka na swego syna, który był na robotach u Niemców. Wciąż zadręcza się myślami, czy jego syn jeszcze żyje. Bywają dnie, że mówi tylko o nim. Wtedy nawet strach go słuchać.

— Aha — mruknąłem ze zrozumieniem.

— On musi wierzyć, że syn żyje, w przeciwnym razie mógłby... No, nie wiem, mogłoby go spotkać najgorsze. Stary Olkusz już na wojnie z rozpaczyc chciał zginąć. Kiedy na przykład nadlatywały niemieckie samoloty, najczęściej nie uciekał do schronu, a najspokojniej w świetle kroił liście tytoniu i związał piepierosa. I póki tego nie skończył, nie ruszył się z miejsca... Samolotów i wybuchu bomb nie słyszał... Mówił do nas, że jak coś zacznie, to musi skończyć, ale każdy dobrze wiedział, o co mu naprawdę chodzi... W sztabie jednak nie wiedzieli w czym rzecz, więc ciągle odznaczali go krzyżami...

Kiedy dochodziliśmy już do furtki, stryj powiedział:

— Najgorzej na wojnie mają ci, co ciągle żyją w strachu, że zginą.

Krótko po wyjeździe Niemców stary Olkusz znowu popadł w to swoje czarne zamartwianie się. Całymi tygodniami nie myślał o gospodarce i nic nie przygotowywał do wiosny. W takich dniach ledwo nakarmił krowy i świnię.

— Mógłby wreszcie wziąć jakąś kobietę, to by i gospodarkę, i jego doprowadziła do porządku — mówiła stryjenka.

— Siedzi całymi dniami nad rzeką i niby łowi ryby, choć tych ryb nikt u niego nigdy nie widział — powiedział stryj, jakby już tylko do mnie.

Dwa razy nie trzeba mi było tej wiadomości powtarzać. Na drugi dzień wybrałem się do starego Olkusza nad rzekę.

Podchodziłem do niego bardzo powoli i ostrożnie. Mógł mnie przecież pogonić i skrzyczeć. Wreszcie usiadłem obok, ale on wcale nie zwracał na mnie uwagi, nie usłyszał nawet, jak powiedziałem „dzień dobry”. Bez przerwy trzymał wędkę w rzece i siedział nieruchomo jak rzeźba. Minęło chyba z pół godziny i nic nie wskazywało, że Olkusz ocknie się z tego zamyślenia. Zacząłem niecierpliwie wiercić się obok niego.

— On na pewno już niedługo przyjedzie — powiedział nagle. — Mój Jerzy był tylko kilka lat starszy od ciebie, kiedy go zabrali razem z matką... Na pewno niedługo już wróci, o wtedy razem zaczniemy gospodarzyć... Muszę na nich poczekać... Na pewno niedługo wrócą... — powtórzył

— No pewnie, że wrócą. Teraz dużo ludzi wraca z wojny — pocieszałem.

I moje pocieszenie stary Olkusz przyjął, jakby pochodziło od kogoś dorosłego. Twarz mu się roz pogodziła i oczy zabłysły.

— Dla Jerzego przywiozłem z wojny kilka ubrań i pierwszorzędne buty. A i żonie nie zabraknie sukienek... Zawsze zazdrościła innym kobietom kieck, a teraz będzie ich miała najwięcej. Teraz inne będą jej zazdrościć. — Stary Olkusz wyraźnie poweselał. — Już nawet dom przegrodziłem na dwie części, Jerzy będzie mógł się ożenić i ziemi dla niego też nie zabraknie...

Chwilę milczał. Spławik wędki w dalszym ciągu ani drgnął. Wyglądało, jakby nawet zapomniał o wędce, jakby nie wiedział w ogóle, że siedzi nad rzeką i łowi ryby. Opowiadał mi jeszcze dużo o wojnie, wciąż wracając do tematu syna i żony;

mówił, że w każdej niemieckiej miejscowości pytał o nich, ale nikt z Niemców nic nie wiedział.

— Może i któryś z Niemców coś wiedział, ale na złość nie chciał mówić... Doszedłem za Hitlerem, razem z twoim stryjem, aż do Berlina i nigdzie ich nie spotkałem — mówił znowu stary Olkusz. — Ale przecież we wszystkich miastach nie byłem — skończył pocieszająco. — To przez tego cholernego Hitlera — dodał wyciągając wędkę.

Na końcu żyłki zobaczyłem haczyk bez robaka.

Chodziłem jeszcze dwa razy do Starego Olkusza nad rzekę. Kiedy jednak poszedłem po raz trzeci, nad rzeką nie było nikogo. Stryj wieczorem powiedział, że stary Olkusz, nie doczekawszy się wiadomości od żony i syna, został listonoszem.

— Powiedział, że jeśli będzie od nich wiadomość, to ją szybciej otrzyma jako listonosz — wyjaśnił stryj.

Odtąd co dzień patrzyłem z coraz większym podziwem na starego Olkusza. Listonoszem był chyba przez kilka tygodni. I był w tym czasie spokojniejszy, bo już nie potrzebował do późnego popołudnia czekać na pocztę. Mógł przeglądać listy wczesnym rankiem. Mój stryj porozmawiał z nim i jakos tam dogadali się, że zasieje mu kawałek pola, a reszta siewu zostanie dla Jerzego, syna Olkusza, który wróci na pewno lada dzień.

To byłoby wszystko o tamtym okresie, kiedy wyjeżdżali Niemcy z naszej wsi na Nowej Ziemi, i to byłoby już wszystko o Olkuszu, gdyby nie zdarzyło się to najważniejsze i smutne, o czym do dziś wspomina stryj i czego nie zapomni chyba do śmierci.

A było to tak. Któregoś dnia, przeglądając pocztę, stary Olkusz natrafił na list do siebie. To był

list od kogoś, kto napisał, że zna jego syna i żonę, niedawno z nimi rozmawiał, i że oni niedługo wrócą do Olkusza. I kiedy stary Olkusz złapał ten list, drżącymi rękami rozerwał kopertę i przeczytał te kilka zdań. Wszystko odbyło się tak nagle, że nikt nawet nie miał czasu na porządne zdziwienie.

Olkusz zostawił całą swoją dzienną pocztę, zostawił też swoją torbę listonosza, wszedł na rower i popędził, pedałując z całych sił do swego domu. Za pół godziny już nie żył.

— Serce nie wytrzymało — powiedział lekarz i siedział bezczynnie, bo już był niepotrzebny i chyba się nawet martwił, ale bardziej tym, że niepotrzebnie przyjechał z daleka niż śmiercią Olkusza. Patrzył, jakby się złościł na ludzi, że nie sprawdzwszy dobrze wezwali go po próznicy, tak nagle, że pewnie obiadu nie zdążył zjeść.

— Miał lekką śmierć — orzekł fachowo kolega stryja, który był sanitariuszem na wojnie.

— Umarł ze szczęścia — powiedział ktoś, pochylając się nad starym Olkuszem.

Nikt się nie zaśmiał, choć te słowa mogły wyglądać na żart. To jednak nie był żart. Twarz stryja, na którego akurat spojrzałem, skrzywiła się, jakby chwycił go nagle jakiś wielki ból. Wyszedł na dwór, choć inni zostali i on powinien jeszcze zostać, bo przecież był przyjacielem starego Olkusza. Stryj jednak wyszedł, więc i ja poszedłem za nim. Zastałem go na dworze, jak stał i zaciskał dłonie, zwijając je w pięści.

— To dobrze, że jesteś. Chciałem komuś o tym powiedzieć, więc najlepiej powiem tobie, żebyś zawsze o tym pamiętał, jak ja tego nigdy nie zapomnę. Słuchasz mnie, Artur? — zapytał, pochylając się nade mną.

Dostrzegłem wilgotne i szklące się oczy stryja.

— Tak, stryju, słucham — wyksztusiłem.

— To prawda, stary Olkusz umarł ze szczęścia. Tylko nikt nie wie, że umarł przeze mnie...

Mój stryj zamilkł, a ja przeraziłem się myśli, że ta śmierć Olkusza może pomieszała stryjowi w głowie.

— To ja wysłałem ten list z wiadomością o jego żonie i synu. Chciałem, żeby się ucieszył i chciałem, aby przestał się zamartwiać, i zabrał się do gospodarstwa i siewu...

Stryj podniósł słomkę z podwórza i zgniótł ją w dłoni.

— Bóg mi świadkiem, że chciałem jak najlepiej.

— Tak, stryju...

— Chciałbym, żebyś zapamiętał to wszystko, co się teraz zdarzyło... Nie wiedziałem, że on aż tak bardzo przez tyle lat na nich czekał... Nie wiedziałem... Stary Olkusz umarł, i nie mam żadnego usprawiedliwienia... Chciałem tylko, żebyś zawsze pamiętał, że wielkie i nagłe szczęście nie różni się czasem od... — mówił mój stryj i urwał, nie kończąc myśli.

Bez słowa doszliśmy do domu.

— Nic mi nie pozostało, jak czekać samemu na powrót syna Olkusza i jego żony... — powiedział tego dnia stryj. — Ktoś musi na nich czekać, skoro stary Olkusz już nie żyje.

NIE MIELISMY, SYNU, SZCZĘŚCIA

BYŁ piękny, wiosenny ranek. Stryjenka wybierała się na drugą wieś do znajomych i miała wrócić dopiero wieczorem.

— O, jakie słońce, stryju — powiedziałem patrząc w okno.

— Mógłbym już dawno zaorać to pole za bunkrami — odezwał się stryj.

— Ale nie możesz — odburknęła stryjenka, dolewając nam kawy. Zawsze była nie w sosie, kiedy musiała zostawiać nas samych w domu.

— I nie ma żadnego sposobu, żeby te miny wysadzić — podchwycilem.

— Milcz! — syknęła wściekle stryjenka.

Stryj spojrzał na mnie, jakby trochę uradowany.

— Sposób to byłby, ale nie ma tyle granatów — powiedział i zasępił się.

Stryjenka zatrzymała się na środku kuchni z czajnikiem w ręku.

— Ani mi się waży o czym takim myśleć! — krzyknęła — Mało to ci było wojny. Nie podziękowałeś jeszcze Bogu za to, żeś wrócił żywy. Ty musisz zawsze coś wymyślać, pewnie biedy chcesz napisać...

Zacząłem się wiercić niecierpliwie, że już po wszystkim. Teraz, kiedy stryjenka o wszystkim wie, stryj nie waży się na nic. Widocznie spostrzegła moje niecierpliwe wiercenie się, bo zaraz powiedziała. — Pewnie byś i chłopaka zabrał ze sobą. Nie dość, że sierota, to ty i jego chciałbyś zgubić.

Wiedziałem dobrze, co stryjenka ma na myśli. Nie mogła darować stryjowi tego, że tydzień temu poszedł do lasu wysadzać bombę. Nie dość, że sam poszedł, to i mnie jeszcze wziął ze sobą. „To była robótka — myślałem z uciechą. — Wykopaliśmy dół, a potem rozpaliliśmy ognisko i do tego dołu...

— Kiedyś wreszcie przyjdą ci saperzy — jęknął stryj, ale już całkiem cicho.

— Powiedziałaś, nie waż mi się o tym myśleć, a tym bardziej mówić takich rzeczy przy dziecku. Stary jesteś, a rozumu nie masz za grosz — karciła go. — I czy ja mogę choć raz w życiu zostawić ciebie samego w domu i nie martwić się...

— Stryj zostaje ze mną — przerwałem jej.

Spojrzała na mnie ze smutkiem, a potem znowu zatrzymała wzrok na stryju.

— I nie ma żadnego sposobu na te miny — zagadnąłem stryja, kiedy nie było już stryjenki w domu.

— A nie ma — odpowiedział z rezygnacją jak automat. — Gdybym był saperem, albo chociaż miał jakiś ichni przyrząd. Wymacywać te miny gołymi rękami nie da rady — skończył z westchnieniem.

Zrozumiałem, że nic z tego nie będzie, że stryj na dobre już zrezygnował i nigdy nie będziemy niszczyć min na naszym polu za bunkrem. A więc nie ma już żadnej nadziei — ten piękny dzień znowu będzie nudny jak flaki z olejem.

Kiedy wyszliśmy na dwór stryj powiedział —

szkoda, że nie służyłem w saperach... Gdybym był wtedy wiedział — dodał z żalem. Myśl o minach na jego polu już od tygodni nie dawała mu spokoju.

Stryj przez jakiś czas chodził po podwórzu zamysłony. Wchodził do ogrodu, znikał za stodołą i znowu wracał przed ganek domu. W pewnej chwili spostrzegł, że mu się przyglądam. Podeszedł i położył swoją rękę na moim ramieniu.

— Synu, mamy okazję, aby się wzbogacić.

Był niezwykle poważny, prawie uroczysty. Z bijącym sercem czekałem na jego dalsze słowa. Twarz stryja była napięta i kamienna jak zawsze, kiedy wpadał na jakiś nowy pomysł.

— Ludzie mówią, że Niemcy największe bogactwo zakopali w ziemi. Niektórzy już znaleźli wiele złota i inne drogie rzeczy — dodał, jakby chciał mnie koniecznie przekonać, że mówi prawdę.

— A dlaczego oni zakopywali? — zapytałem.

— Bali się, że im to zabierzemy.

— Ale nie zabraliśmy.

— Pewnie było już za późno odkopywać — mówił nie mniej ode mnie podniecony. — A może liczą na to, że wrócą i będą mieli gotowe. Ale oni, synu, już nigdy nie wrócą, i nie wierz temu, kto mówi inaczej.

Na chwilę zamilkł, a ja wciąż czekałem z radosną niecierpliwością.

— Szkoda będzie, jak się tyle dobra zmarnuje w ziemi — znowu odezwał się stryj.

— A broń też może być zakopana?

— To nas nie interesuje — odpowiedział.

— Ale broń także mogli zakopać — domagałem się potwierdzenia.

Stryj nic nie odpowiedział, ruszył w stronę szopy, a ja poszedłem za nim. Wzięliśmy szpadle. Stryj zaprowadził mnie za stodołę. Stał oparłszy

się na swojej łopacie i popatrzył na słońce z takim wyrazem twarzy, jakby mu żal było, że jest już tak późno.

— Tak sobie pomyślałem, że najpewniej to tu zakopali. Ja bym na ich miejscu sam tutaj zakopał. Cichutko, nie na widoku. No i nikomu nie przyszkłoby nawet do głowy, że to właśnie tutaj, kilka kroków od domu, jest coś takiego w ziemi.

Kopaliśmy ramię w ramię, tuż obok siebie, przy samym płocie sadu. Najpierw zdejmowaliśmy stwardniałą murawę. Potem w pośpiechu ryjąc ziemię, wyrzucaliśmy piasek na boki. W pewnej chwili łopata stryja zabrzączała, uderzając o coś twardego. Drżąc z przejęcia i emocji przesunąłem się do niego, czując jednocześnie zazdrość, że to nie ja pierwszy znalazłem. Znieruchomiałem, wpatrując się w miejsce pod łopatą stryja. On delikatnie, teraz w zwolnionym tempie, zgarniał ziemię z tego miejsca, gdzie dało o sobie znać coś twardego. Wciąż nie mogłem niczego dojrzeć w ziemi. Nagle stryj wyprostował się, podnosząc twarz, na której było teraz rozczarowanie i złość.

— Tu nic nie będzie. Tu są korzenie drzew. Ot, głupi mogłem od razu wiedzieć, że to za blisko ogrodu.

Stryj odrzucił łopatę i zapalił papierosa.

W ogrodzie sąsiedniego gospodarstwa pojawił się gospodarz. Widocznie nas zobaczył, bo zaczął się zbliżać w naszą stronę.

— Nie mów nikomu, czego tu szukamy — powiedział do mnie cicho stryj i ruszył na spotkanie sąsiada.

Niecierpliwiłem się, że stryj marnuje czas, wdając się w pogawędkę z sąsiadem i nie zdążymy skończyć roboty przed powrotem stryjenki. Ja sam nie mogłem w tej chwili kopać, bo wzbudziłoby to

zainteresowanie sąsiada. Wreszcie stryj wrócił. Teraz robota szła szybko, bo im bliżej była stodoła, tym łatwiej nam się kopało. Kilka razy natrafialiśmy na deski i jakieś żelastwa. Za każdym razem myśleliśmy, że to wreszcie bogactwa Niemców. Zbliżało się południe i słońce przypiekało coraz mocniej, a my pracowaliśmy bez przerwy, ani na chwilę nie zwalniając tempa. Pot zalewał oczy do tego stopnia, że chwilami nic nie widziałem. Koszulę miałem już mokrą od potu, dokładnie przylepioną do ciała. Z każdym nowym miejscem, w którym zaczęliśmy kopać, wzrastała na nowo nadzieja, że właśnie tutaj będzie to, czego szukamy. Po każdym uderzeniu o coś twardego wciąż drżałem z radosnego podniecenia. — Ty się tak nie przejmuj za każdym razem, dopóki nie okaże się, że nie był to fałszywy alarm — powiedział do mnie stryj, choć pewne było, że on na każdy odgłos łopaty reagował nie mniej nerwowo niż ja.

Po obiedzie znowu wróciliśmy do pracy. Słońce nie grzało już tak silnie i mimo zmęczenia i odcisków na dłoniach kopało się znacznie przyjemniej. Co pewien czas spoglądaliśmy z dumą na pagórki ziemi za nami. I wydaje mi się, że każde następne miejsce, w którym zaczynaliśmy kopać zwiększało w nas nadzieję znalezienia tym cenniejszych rzeczy. W ziemi jednak pojawiały się wciąż tylko spróchniałe deski, skorupy garnków, druty i jakieś żelastwa, o których żaden z nas nie wiedział, do czego służyły. Nigdy przedtem nie sądziłem, że tyle najprzeróżniejszego śmiecia jest w ziemi. „A więc ziemia gromadzi wszystko co stare i niepotrzebne” — pomyślałem tamtego popołudnia.

— Musieli zakopać coś bardzo cennego, jeśli tak trudno to znaleźć. Ale jak znajdziemy już to bogactwo, to nasza gospodarka będzie najlepsza we

wsi. Najpierw kupimy młockarnię, taką dużą, żeby od razu było gotowe ziarno bez plew... Ty nie masz pojęcia, co to za męka oddzielać ziarno od plew... Jak będziemy mieli dużą młockarnię to i wialnia nie będzie już potrzebna — mówił do mnie stryj.

Nagle zasępił się, wpatrując się w miejsce, które akurat rozkopywaliśmy.

— A może my za płytko kopimy?

Spojrzał na mnie, jakby oczekiwał odpowiedzi, ale ja nie umiałem mu nic odpowiedzieć.

— Jak przekopimy tu wszystko na tej głębokości i nic nie znajdziemy, to wtedy zaczniemy kopać od nowa, ale już o wiele głębiej — powiedział z nową nadzieją w głosie.

Kiedy słońce było już nad samym horyzontem mieliśmy za sobą połowę skopanej ziemi między płotem a stodołą i wtedy właśnie natrafiliśmy na pierwszą kość, na którą na początku nie zwracaliśmy żadnej uwagi. Rozszerzając i kopiąc głębiej znaleźliśmy jednak dalsze kości. Teraz tknięci niepokojem i ciekawością pracowaliśmy powoli i spokojnie, powiedziałbym, że ostrożnie. W pewnej chwili wykopaliśmy czaszkę i nie było już żadnych wątpliwości. To były ludzkie kości. Poszerzyliśmy dół jeszcze bardziej i znalezione kości ułożyliśmy w ten sposób, aby jak najbardziej przypominały człowieka. Oczywiście, były pewne luki w szkielecie, nie znaleźliśmy jednej stopy i kilku palców, w innych miejscach szkieletu też trochę brakowało. Bałem się o wiele mniej niż zwykle, bo same kości nie wyglądały tak strasznie, jak wszyscy inni umarli, których dotąd oglądałem. Kiedy skończyliśmy już układać kości, stryj zapalił papierosa.

Popatrzyłem na stryja. Był wyraźnie bezradny, widocznie nie wiedział, co mamy robić dalej z tym, cośmy znaleźli. Teraz, w tej ciszy, jaka zapanowała

między nami, z przestraczem spojrziałem na resztki zębów i oczodoły człowieka, z którego pozostały tylko kości.

— Myślę, że to jeszcze z pierwszej wojny — odezwał się wreszcie stryj, jakby odkryciem tym pocieszał się.

— A po czym to można poznać?

— Gdyby zginął w czasie tej wojny, zostałyby jakieś strzępki ubrania, no i szkielet byłby w lepszym stanie — odpowiedział i jakby się zaraz czego przestraszył. — No, nie, źle powiedziałem, nie w lepszym stanie, ale byłby ten szkielet cały.

Skończył papierosa i pochylił się nad dołem. Patrzył tak, jak się patrzy, aby kogoś rozpoznać.

— Oto, ile tylko zostaje po człowieku, jeżeli nie zrobi na tym świecie nic dobrego.

Nad kośćmi znalezionego człowieka siedzieliśmy chyba z pół godziny. I wtedy jak na nieszczęście stało się. Spostrzegliśmy stryjenkę, niestety, za późno. Stryj wybiegł jej naprzeciw, coś do niej zaczął szybko mówić, zagradzając drogę, ale ona, nie zważając na niego, parła naprzód. Stryj cofając się przed nią tyłem, zatrzymał się nad brzegiem dołu. Próbował w dalszym ciągu zasłaniać jej widok, ale bezskutecznie. Stryjenka odepchnęła go z całej siły na bok. Zawsze najbardziej złościła się wtedy, gdy coś przed nią ukrywano. Skoczyła do przodu tak nagle i z takim impetem, że o mały włos nie wpadła do dołu. Krzyknęła i stanęła poblądła, znieruchomiła z przerażenia. Bezradnie stojącego stryja obrzuciła wzrokiem pełnym nienawiści i strachu.

— Słuchaj, Anno, ten człowiek umarł podczas pierwszej wojny — mówił błagalnie stryj.

Stryjenka wciąż stała nieruchoma, z białą jak kreda, ściągniętą przestraczem twarzą.

— Przysięgam ci, że to z pierwszej wojny... Tyle

lat temu — przekonywał stryj, jakby to miało wszystko załatwić, załagodzić i uspokoić ją. Stryj stał łagodny jak baranek. Bardzo nie lubiłem takich sytuacji między stryjenką i stryjem, bo wiedziałem, że zawsze potem stryj stawał się do niczego i długo nie miał żadnych następnych pomysłów.

— Nic mnie nie obchodzi, podczas której wojny ten człowiek umarł, ale to, że mój mąż... — jej głos z każdym słowem brzmiał coraz rozpaczliwiej, aż zamienił się w łkanie. Nagle wybuchnęła nietamowanym szlochem i pobiegła z lamentem do domu.

Stryj spojrzał łagodnie, ze współczuciem na kości człowieka w dole. Miał minę winowajcy.

— Nie mieliśmy, synu, tym razem szczęścia. Ten nieznajomy człowiek nam przeszkodził — powiedział, ale w jego głosie nie było żalu.

SPOTKANIE Z KOMENDANTEM

SPÓJRZ, Artur, mamy wymarzony dzień do podróży — powiedział stryj.

Rzeczywiście dzień zapowiadał się pięknie. Na niebie ani jednej chmurki, tuż nad horyzontem niedawno weszło słońce. Był wczesny ranek, więc odczuwało się jeszcze przejmujące zimno.

— Tak, stryju — odpowiedziałem, drżąc jak osika bardziej jednak z emocji niż z zimna.

Stryj dokładnie sprawdził mój rower, damkę 38, a potem podsunął mi swój. Nie wiem, co bym dał wtedy za to, żeby znaleźć jakieś niedopatrzenie, drobne niedokręcenie śrubki. Nic jednak nie znalazłem w rowerze stryja. Wyprowadziliśmy nasze rowery na ulicę i bez słowa ruszyliśmy. Nie minęło ani pół godziny, gdy byliśmy już za wsią, na szosie wciągającej nas w las.

Staralem się równo, koło w koło jechać ze stryjem. I nie było to wcale trudne, bo stryj nie naciskał najmocniej pedałów. Po kilku kilometrach skręciliśmy wjeżdżając na szosę, nad którą prostopadłe wznosiło się słońce, z każdą minutą coraz cieplejsze; aż wreszcie zaczęło przygniatać nas swym ciężarem do asfaltu.

Zawrót w głowie, jakiś zupełnie inny świat. Po-

dróż jak we śnie, podróż do jakiegoś pięknego, dalekiego celu, o którym dotychczas mogłem tylko marzyć. Jechałem z głową pochyloną nad kierownicą, cały zamieniony w jedną czynność, jaką była jazda, zamieniony w jednostajny ruch nogami. Pod sobą widziałem wciąż uciekającą szosę, jakby za chwilę jej gładka powierzchnia miała się urwać, a my wraz ze stryjem spaść w jakąś bezdenną przepaść, jaka jest możliwa tylko we śnie, w którym bywa, że nagle spada się gdzieś bardzo głęboko. Zerkalem na boki i widziałem uciekające do tyłu drzewa, i miałem uczucie — przekonanie, że drzewa odpychane są przez nas. Przeze mnie i mego stryja.

W pewnej chwili stryj przystanął, więc i ja zahamowałem. — To jest połowa drogi — powiedział do mnie. — A może ty boisz się dalej jechać? — skończył pytaniem.

— A czego miałbym się bać?

Stryj spojrział na mnie i już otworzył usta, bo pewnie chciał coś natychmiast odpowiedzieć, ale nagle zamyślił się.

— No, przecież to las — odpowiedział wreszcie i zawahał się, jakby nie wiedział, co ma dalej mówić. — Przez kilkanaście kilometrów wciąż tylko las — dodał po chwili.

— I co z tego, stryju? — zdziwiłem się.

— Myślałem, las tutaj duży i ty nie jesteś przyzwyczajony do takiego lasu. Myślałem więc, że się boisz... W takim lesie nigdy nic nie wiadomo — skończył stryj, ale ja już zaczynałem się domyślać, że nie powiedział wszystkiego, co myślał.

— Tu przecież oprócz zajęcy i saren nic nie ma.

— No, tak, masz rację — przyznał z rezygnacją i wspiął się na siodełku. — A jednak nie wiem, czy dobrze zrobiłem, zabierając ciebie ze sobą...

— Dlaczego?

— Może dowiesz się, zanim dojedziemy, a jeśli nie, to opowiem ci kiedyś... A teraz jedźmy i nie rozmawiajmy, bo się zmęczysz i zbyt późno przyjeździemy do miasta... Spójrz, jak wysoko już słońce...

— Ale my zrobiliśmy w tym czasie więcej kilometrów niż słońce.

Wbrew moim przypuszczeniom stryj nie roześmiał się i, co najdziwniejsze, potraktował moje żartobliwe odezwanie się poważnie:

— To tak się tylko wydaje... Widzisz, to co dostrzegamy, często nie jest prawdą...

— A jak to sprawdzić, żeśmy przejechali mniej drogi niż słońce — ja znowu, bo tak strasznie chciałem, aby właśnie teraz stryj ze mną rozmawiał.

Tym razem nawet nie odpowiedział. Nacisnął tylko mocniej pedały i wyskoczył do przodu. Rad nie rad i ja musiałem zrobić to samo. Nie pozwolił mi się jednak zrównać ze sobą: wciąż, kiedy ja zwiększałem szybkość, on robił to samo, a kiedy ja zwalniałem, on czekał na mnie do chwili, aż się zbliżę swoim przednim kołem na wysokość tylnego koła jego roweru. Wyglądało na to, że nie chce, abym go zamęczał rozmową. Być może, udałoby mi się z nim zrównać, gdyby nie zatrzymało nas nagle trzech mężczyzn. Do dziś nie wiem, skąd się wzięli, i w jakiej chwili wyszli z lasu. Znaleźli się nagle kilkadziesiąt kroków przed nami, jakby naprawdę spadli z nieba. Stryj zwolnił, zrównając się ze mną.

— Artur, nie bój się, nic nam nie zrobią — powiedział. — To moi znajomi — zdążył jeszcze szepnąć.

Nie przystając dojechaliśmy wolno do trzech mężczyzn stojących na szosie i zagradzających nam drogę.

— I co powiesz, przyjacielu? — powiedział jeden z nich w skórzanej kurtce.

Zrozumiałem, że mimo przymilnego tonu, słowa te miały oznaczać groźbę. Spojrzałem na stryja, który wpatrywał się w nich i, mówiąc słowami stryjenki miał „głupią minę niemowlaka”. Nie dostrzegłem w jego twarzy strachu, był najzwyczajniej w świecie obojętny. Spokój mego stryja musiał rozżłościć mężczyznę w skórzanej kurtce stojącego na szeroko rozkraczonych nogach, tak jakby ziemia była małą, wciąż obracającą się piłką, a on chciał się na niej za wszelką cenę utrzymać.

Naraz krzyknął:

— Ty czerwony pacholku! — i zabrakło mu tchu. — Chciałeś nas wykiwać, cholero!... — dodał gardłowo.

Mój stryj ciągle milczał, nie zmieniał obojętnego wyrazu twarzy, ani też pozycji. Trzymając między nogami rower, stał na ziemi, lekko pochylony do przodu z rękami na kierownicy. Teraz dopiero zacząłem się przyglądać tym obcym ludziom. Wszyscy byli w butach z cholewami i w wojskowych, zielonych spodniach. Mężczyzna w kurtce miał na głowie wojskową rogatywkę, dwaj inni byli bez czapek, w cywilnych, popielatych marynarkach. Wyglądali na najzwyczajniejszych w świecie mężczyzn, którzy wrócili niedawno z wojska, choć wojna skończyła się już prawie dwa lata temu.

— Złaż szybko z tego grata! — rozkazał człowiek w kurtce.

Stryj posłusznie zszedł z roweru.

— Zapraszamy cię do naszego domu, jest duży i wygodny. Dla wszystkich starczy miejsca... Proszę, panowie pozwolą — uśmiechając się mówił człowiek w kurtce, wskazując prawą stronę lasu. — A jeśli zrobisz podejrzany, najdrobniejszy ruch, to

chyba wiesz, że każdy z nas ma coś ze sobą — mówiąc to, sięgnął pod kurtkę, ukazując pistolet. — Weź go, Błady, pod rączkę... Kilkadziesiąt kroków dalej jest dróżka... To nawet dobrze, żeś wziął chłopca, przy nim nie będą się ciebie trzymać jakieś głupie myśli.

— Przestałbyś tak mleć ozorem, przecież robię, co każesz. Czego więc jeszcze chcesz? — odezwał się wreszcie mój stryj.

Mężczyzna w kurtce groźnie spojrzał na stryja, ale nic nie odpowiedział. Ruszyliśmy.

— To co, pobawimy się, Komendancie? — odwrócił się człowiek, który prowadził stryja.

— Milcz, Błady! — krzyknął zagadnięty. — A wy tam szybciej! Za pogrzebem pójdziecie później...

Człowiek nazwany Bładym szarpnął energicznie mego stryja, więc ruszyliśmy szybciej.

Kiedy byliśmy już w głębi lasu, mężczyzna w kurtce, nazywany Komendantem, kazał nam zostawić rowery w młodym, gęstym zagajniku.

— Jeśli będziesz głupi, to nie będą wam już te graty potrzebne, chyba, że zechcesz pojechać na nich do Świętego Piotra...

— To będzie nawet szybciej... Komendant ma głowę... — roześmiał się trzeci z mężczyzn.

— I po co ci to było? Tyle razy mówiłem, że ze mną tylko po dobroci. Życie ci kiedyś uratowałem, a ty odpłacasz mi się jak świnia — powiedział Komendant do stryja.

— Chcę wreszcie trochę spokoju i tobie radziłbym, żebyś nie był durny — nie odwracając się, odpowiedział mój stryj.

— Zobaczymy, kto z nas mądrzejszy. Nie takich na wieki usypiałem. Szybciej! — krzyknął na swoich.

Na chwilę zamarłem ze strachu, że Komendant zaraz zabije mego stryja.

— Błady i ja odejdziemy na boczek na małą pogawędkę, a ty Pietrus pilnuj tego młodogwardzisty. Patrz dobrze na szosę i w razie czego alarmuj, będziemy nad jeziorkiem...

— Tak jest, szefie, zrobi się! — odpowiedział mój opiekun i przyciągnął mnie, jakby chciał przytulić.

— Stryju! — wykrztusiłem przestraszony.

— Artur, nie bój się, nic nam nie zrobią. Bądź dzielny — szepnął do mnie stryj.

— Widzę, że go wychowujesz na bohatera, choć sam jesteś łamaga — Komendant spojrzał na mnie, a potem na stryja. — No, no, kto wie, czy właśnie ten młodzik za kilka lat nie przyjdzie właśnie do nas — dodał, mrugając do mnie.

— Zabronię mu, żeby patrzył, jak będą was wie-
szać.

Komendant nie odpowiedział, popchnął mego stryja i poprowadzili go w głąb lasu. Mój opiekun kazał mi się położyć na skraju ścieżki, sam także wyciągnął się na ziemi. Zapalił papierosa i patrzył nad moją głową w stronę szosy.

— Twój stryj był kumplem naszego szefa, ale się ześwinił — odezwał się mój opiekun.

Milczałem, okazując w ten sposób pogardę dla człowieka obok mnie. Nagle znowu zacząłem drżeć ze strachu o stryja.

— Nie chciałbym zdrzeć z szefem — powiedział mój opiekun jakby do siebie. — A ty chciałbyś postrzelać? — zwrócił się do mnie.

W dalszym ciągu milczałem. Popatrzyłem, czy nie jedzie ktoś szosą, bo wciąż miałem nadzieję na odbicie nas, choć nie wiedziałem, w jaki sposób mogłoby się to stać.

— No, gadajże, do cholery. Przez cały dzień nie można z nikim pogadać, bo szef nie lubi żadnego gadania. No, gadaj, co ty nie masz języka w gębie? Chciałbyś może postrzelać? — mój opiekun wyjął taki sam pistolet, jaki miał jego Komendant.

Jeszcze milczałem.

— Gadaj, szczeniaku! — złościł się.

— Nie.

— Co nie? Nie będziesz gadał?

— Nie chcę postrzelać.

— Toś pewnie baba, a nie chłopak, albo łżesz... Hardy jesteś, szczeniaku...

Wpatrywał się we mnie głupkowato. Wyciągnął ręce przed siebie na murawie i położył na nich głowę. Za chwilę usłyszeliśmy ciche odgłosy strzelaniny.

— To pewnie obtańcowują twego stryja — powiedział od niechcenia. — Szkoda, że tego nie zobaczę — dodał z żalem.

Zerwałem się i usiadłem.

— Nie bój się, na razie bawi się z nim tylko Komendant... Blady zajmie się twoim stryjaszkiem później... Mój szef najpierw lubi się pobawić... Może go i nie zabije, ale jego zabawa to czasami gorzej niż śmierć...

Po chwili znowu rozległo się kilka strzałów i teraz zacząłem się bać na dobre.

— Klawo Komendant obmyślił tę swoją zabawę. Dam głowę, że teraz twój stryjaszek narobił już w portki i jest miękki jak maselko...

— Co oni z nim robią? — nie wytrzymałem.

Mój opiekun przeciągnął się wygodnie, odwracając się na wznak.

— Postawili pod sosenkę... I opukują go z każdej strony — odpowiedział niedbale. — Strzelają wokół niego jak w cyrku...

Odetchnąłem z ulgą na myśl, że jednak stryj nie został zabity.

— Mój stryj nikomu nic złego nie zrobił.

— Już przecież powiedziałem. Zdradził swego kumpla — odpowiedział mój opiekun i zaraz dodał: — To znaczy się, zdradził Komendanta, a to na sucho nie ujdzie.

Szosa przejechały dwa samochody. Z żalem patrzyłem, jak przemknęły, nie przynosząc nam ratunku.

— Powinni już wrócić — zaniepokoił się teraz mój opiekun.

Leżeliśmy jakiś czas w milczeniu. Czekałem na następne strzały w lesie, ale na szczęście wciąż było cicho. Wreszcie usłyszałem trzask łamanych gałęzi w tej stronie lasu, w której zniknęli. Z ulgą zobaczyłem mego stryja. Szedł powoli i słaniał się pochylony, jakby nie mógł utrzymać równowagi, jakby miał nogi z waty, które gięły się pod ciężarem jego ciała. Kiedy zbliżył się do nas, zobaczyłem na jego twarzy sińce i krwawe guzy na czole. Na pogniecionym ubraniu miał pełno igliwia i drobnych odłamków kory. Patrzyłem na stryja z przerażeniem i on musiał uchwycić mój wzrok, bo zaraz powiedział, aby mnie uspokoić:

— Nic mi nie jest, Artur...

Usiadł cicho jak człowiek śmiertelnie chory.

— Twój zakichany Komendant cię wzywa — powiedział mój stryj do leżącego obok mnie bandyty i podał mu kartkę.

Mój opiekun przeczytał kartkę i szybko się zebrał.

— Ty psie! — syknął. — Szkoda, że nie mam czasu.

Otrzeptał się z igliwia i wszedł w las.

— A pozdrów ode mnie swego Komendanta! — rzucił za nim stryj.

Delikatnie przysunąłem się do stryja.

— Czy bardzo boli? — zapytałem.

— Drobiazg, dobrze, że wyszliśmy z tego cało... Dziękuję, Artur, żeś zachowywał się spokojnie. Weźmy rowery i pójdźmy odpocząć na słońcu obok szosy... Dzisiaj już nie pojedziemy do miasta — skończył stryj z żalem w głosie.

Kiedy leżeliśmy już na malutkiej polanie niedaleko szosy zasłoniętej rzędem drzew, i kiedy tak leżąc na wznak patrzyliśmy w niebo, wydawało mi się chwilami, że nic się nie stało, że leżymy sobie w polu tuż za wsią. Patrzyłem na przepływające rzadkie chmury, miałem w uszach lekki szum wiatru i dzwonienie powietrza wypełnionego słońcem. Odczułem w tamtej chwili zadowolenie, że nic mi się nie stało i stryj wrócił żywy. Żał mi było tylko mego stryja, a wcale nie zmartwiłem się tym, że nie pojedziemy dzisiaj do miasta. I zdaje się, że w końcu myślałem, że ta przygoda była większa od wszystkiego, co mogłoby nas spotkać w mieście. I gdyby nie to, że stryja pobito, byłoby wszystko w jak najlepszym porządku.

— Niech go stryj któregoś dnia upilnuje razem z milicją — pierwszy przerwałem ciszę.

— Ja też nie jestem bez winy, i dlatego oni mają mnie w ręku.

— Przecież to bandyci...

— Ach, co ci mam dużo gadać... Ja już sam nie mogę się w tym rozeznąć... Chcę wreszcie trochę spokoju...

— Ale Komendant jest bandytą?

— Widzisz, wszystko jest takie dziwne... On był moim przyjacielem i kiedyś uratował mnie od śmierci...

— Ale teraz...

— Teraz to on sam, wcześniej czy później, na pewno zginie. Jego dni już policzone, bo on jest uparty i ma swój cholerny honor...

— Stryj też jest dziwny... — zdobyłem się na odwagę, nic nie rozumiejąc.

— Może — odpowiedział i zaraz dodał. — Najdziwniejsze jest jednak samo życie, Artur... To życie i wojna zrobiły ludzi złymi...

— A co ten Komendant chce od stryja? — zapytałem.

— Dużo chce. Nieszczęśliwi i szaleńcy zawsze chcą za dużo od innych.

Stryj zamilkł. Ja też go już o nic nie pytałem. To były najważniejsze słowa mego stryja, jakie zapamiętałem.

Do miasta wyjeżdżaliśmy potem wiele razy i były to zawsze wyjazdy ważne. Nie to co teraz, kiedy jazdę rowerem traktuje się niechlujnie, jak tysiące zwykłych, codziennych czynności. Żadnego jednak z późniejszych wyjazdów nie zapamiętałem tak dokładnie i żaden z nich nie był tak ważny jak tamten, podczas którego nie dojechaliśmy do miasta, bo spotkał mego stryja jego dawny przyjaciel, który kiedyś — a myślę, że i wtedy po raz drugi — uratował go od śmierci. I był, jak mój stryj sam o nim powiedział, szalony i nieszczęśliwy.

ŚMIERĆ PO WOJNIE

KATARZYNA umierała bardzo długo i jej śmierć przez wiele miesięcy zaprzętała wszystkim we wsi głowy. Nie, może to było trochę inaczej. Najpierw mówiło się o jej ciągłej chorobie, choć wszyscy dobrze wiedzieli, że Katarzyna na pewno umrze. Nikt jednak nie wiedział kiedy. Nawet lekarz, który do niej często przyjeżdżał niczego pewnego nie mógł powiedzieć. Twierdził, co ludzi złościło, że może umrzeć jutro, a może żyć jeszcze kilka miesięcy. Chorobą Katarzyny, czyli jej śmiercią, żyła cała wieś. Dom, w którym mieszkała, był niedaleko naszego i ten fakt nie pozostawał bez wpływu na atmosferę i rozmowy, jakie często prowadzili w tamtym czasie mój stryj i moja stryjenka. Z rozmów tych mogłem wywnioskować, że cała wieś czekała na śmierć Katarzyny. Nikt jej źle nie życzył, wszyscy gdyby tylko mogli, to przywróciliby jej natychmiast zdrowie; myślę, że niektórzy mogliby nawet wiele przy tym poświęcić. A najwięcej, tego jestem pewien, zrobiliby dla Katarzyny moi stryjostwo, szczególnie stryjenka, która najbardziej ją we wsi znała. Może to przede wszystkim dzięki temu, że Katarzyna pomagała stryjence

przy obejściu, a w czasie najpilniejszych robót szła z nią na nasze pole. A więc stryjenka dałaby wiele za to, żeby Katarzyna wyzdrowiała. A jednak, tego także jestem pewien, że wtedy i stryjenka, tak samo jak cała wieś, czekała na jej śmierć. Oczywiście, nikt tego głośno nie mówił, ale to się czuło we wszystkich rozmowach i w zachowaniu się ludzi.

— Czy Katarzyna jeszcze nie umarła? — zapytał stryj któregoś dnia przy obiedzie.

— Nie, jeszcze nie — szybko, jakby o tym właśnie myślała w tamtej chwili, odpowiedziała stryjenka.

Po tych słowach nagle przestraszona spojrzała na nas i miała taką minę, jakby popełniła co najmniej zbrodnię.

— Jak ty tak możesz mówić! — wykrzyknęła do stryja i wiadomo było, że bardziej tym krzykiem strofuje siebie niż jego. — Ty nie masz wcale serca!

Stryj spojrzał, jakby się dziwił i nie rozumiał jej pretensji. Do końca obiadu nikt z nas nie odezwał się ani słowem, choć wiadomo było, że wszyscy myśleli o tym samym, o Katarzynie i jej chorobie, a może dokładniej, o Katarzynie i jej śmierci. Kiedy stryj wstał od stołu, gniotąc w rękę swoją czapkę, i powiedział: — Ja przecież tylko zapytałem — w głosie jego brzmiało usprawiedliwienie, które miało zaprzeczyć wszelkim domysłom stryjenki. — A może jej czegoś potrzeba? — zapytał nie patrząc na nas.

— Sama się nią będę zajmować, bez twojej pomocy — odpowiedziała stryjenka, chcąc dać do zrozumienia, że jest górą.

Odtąd stryjenka codziennie nas informowała o stanie zdrowia Katarzyny. Jej meldunki były lakoniczne i zawsze takie same, Katarzyna źle się czu-

je, bardzo źle, wciąż nie może wstawać, nie ma jednak ani poprawy, ani pogorszenia. I to chyba najbardziej martwiło ludzi, a może nawet i denerwowało. Wyrzekali często na lekarzy, którzy nie potrafili jej pomóc i wciąż litowali się nad Katarzyną, że musi się tak męczyć. Ludzie wspominali teraz i o tym, że Katarzyna całe życie cierpiała, żyła w nędzy, że zawsze była samotna i nikomu niepotrzebna. I kiedy mówili „nikomu niepotrzebna”, brzmiało to trochę jak oskarżenie pod ich własnym adresem. Wiedzieli jednak dobrze, że gdyby Katarzyna wyzdrowiała, nic by się w jej życiu nie zmieniło, w dalszym ciągu byłaby samotna i nikomu niepotrzebna. Co najwyżej wynajmowano by ją do pilniejszych prac, co oczywiście nie oznaczało niczego, bo w powiedzeniu „jest samotna i nikomu niepotrzebna” chodziło zupełnie o co innego.

Mijało wiele następnych dni bez żadnych zmian. A ludzie wciąż czekali albo na jedno, albo na drugie. Z każdym jednak tygodniem, który nie przynosił poprawy, pewniejsze było to, że czekali na śmierć. Nikt tego jednak w dalszym ciągu nie śmiał powiedzieć, chociaż gdyby tak dobrze wsłuchać się w ludzkie rozmowy, to od dawna o niczym innym nie mówili.

Choroba Katarzyny nie była więc bez wpływu na życie wsi. Może tylko dzień wyglądał teraz tak samo jak przedtem ale nie wieczór i noc. Wieczorem bowiem ludzie siedzieli teraz w swoich chatkach, nigdzie nie wychodzili, rzadko odwiedzali się, nawet najbliżsi sąsiedzi. Kobiety we wsi miały teraz wieczorami zawsze bardzo dużo roboty i najczęściej nie ulegały nawet najgorętszym namowom mężów, aby wyjść do sąsiada. Dzieci, tak hałaśliwe dotąd wieczorami na wsi, tak długo lubiące prze-

bywać po zmroku poza domem, siedziały w tym okresie cicho przy rodzicach. Kiedyś nie można ich było ściągnąć wieczorem do domu, nawet baty nie pomagały, teraz nie sposób ich było nawet kijem wypędzić po zmroku na dwór.

To była druga śmierć w naszej niedużej wsi, a ściślej, to była wtedy druga śmierć, która po wojnie zbliżała się do naszej wsi. Od czasu starego Olkusza nikt we wsi nie umarł, wręcz przeciwnie, kilka osób uznanych za zmarłych powróciło i były to jakby najprawdziwsze w świecie zmartwychwstania. Wracali bowiem ludzie, o których mówiło się przedtem jak o zmarłych, za których już od dawna modlono się i dawano na mszę za spokój ich dusz.

Jakiś czas wieś nie mogła przyzwyczać się do tych, których uważała za zmarłych. W naszej wiosce większość ludzi znała się jeszcze sprzed wojny, przyjechali bowiem z tej samej wołyńskiej miejscowości. Teraz, po kilku latach, nie byli jeszcze przyzwyczajeni do tego, że po wojnie ludzie umierają. Odwykli od śmierci. Stary Olkusz umarł zaraz po wojnie, zresztą on umierał tak, jak się umiera na wojnie, nagle, w jednej chwili. Razem ze stryjenką widzieliśmy wiele razy stosy trupów, oglądaliśmy ludzi pokłutych bagnetami, bez głów i rąk, widzieliśmy strzępy ludzkie i wiele innych strasznych rzeczy, o których nawet po latach strach wspominać. Nie robiło to jednak na nas tak wielkiego wrażenia, jak zbliżająca się śmierć Katarzyny. Stryjenka, która w czasie wojny okazywała tyle odwagi przed śmiercią, teraz wieczorem nie robiła sama poza dom ani kroku. W czasie wojny stryjenka także bała się śmierci. Była to jednakże inna bojaźń. Bała się wtedy o stryja, o mnie, o siebie, o swoich najbliższych i znajomych. Bała się

śmierci konkretnej, śmierci poszczególnych osób. Teraz, podobnie jak cała wieś, bała się śmierci w ogóle. Teraz śmierć zyskała na znaczeniu, stała się straszna, nawet w wypadku, gdy dotyczyła kogoś obcego, bo przecież Katarzyna nie miała krewnych we wsi i dla wszystkich była obca. Byli przecież i tacy, którzy nigdy nie zamienili z nią ani jednego słowa.

Stryjenka obarczała stryja wieloma obowiązkami wynikającymi z opieki nad skromniutkim obejściem Katarzyny. Obowiązkiem stryja było między innymi karmienie na noc kozy. Rano i w południe karmiła to jedyne zwierzę Katarzyny moja stryjenka. I ta koza przyczyniła się do kolejnego nieporozumienia między nimi.

— Najlepiej byłoby zabrać kozę Katarzyny do nas, karmilibyśmy ją razem z naszym bydłem — powiedział któregoś dnia stryj.

Stryjenka nic nie odpowiedziała, może nie usłyszała, a może akurat myślała o czym innym.

— Nie musielibyśmy chodzić trzy razy dziennie specjalnie z powodu tej głupiej kozy.

Stryjenka wciąż milczała zamyślona.

— Czy słyszałaś, co do ciebie powiedziałem — znowu stryj.

— Tak — wreszcie odezwała się niepewnie. — Trzeba o tym powiedzieć Katarzynie — dodała i zaraz poszli do roboty, stryj w pole, a ona do ogrodu.

Na drugi dzień wiadomo było, że stryjenka jest zła jak osa.

— Czy przyprowadziłaś kozę Katarzyny? — jak na nieszczęście zapytał stryj.

Wtedy wybuchła. Zwymyślała i zbesztala stryja tak mocno, jak nigdy w życiu. Krzyczała, że jak może o tym myśleć teraz, kiedy biedna Katarzyna jest umierająca. Zarzucała stryjowi, że jest bez ser-

ca, że to grzech śmiertelny zostawić bez opieki chorą i samotną kobietę, która przecież im pomagała. Stryj chciał coś odpowiedzieć, pewnie to, że stryjenka mówi bez związku, bo chodzi przecież tylko o głupie zwierzę. Stryjenka nie dała mu jednak dojść do słowa. Stryj jak zwykle, w podobnie trudnych sytuacjach popatrzył tylko z politowaniem, machnął ręką i do końca obiadu nie powiedział ani słowa. Od stryjenki potem dowiedziałem się wszystkiego. Katarzyna po prostu nie zgodziła się, żeby przeprowadzono do nas kozę. Podobno, tak mówi moja stryjenka, rozplakała się, kiedy o tym usłyszała.

Minęło wiele następnych dni, a wciąż nic się nie zmieniało. Śmierć Katarzyny stawiała się już własnością całej wsi. Ludzie coraz częściej zaczęli sprowadzać lekarzy, niektórzy za wielkie pieniądze kupowali drogie leki. Wyglądało na to, że gdzieś w skrytości ducha myśleli o tym, że jeśli Katarzyna wyzdrowieje, to w ogóle wypędzą śmierć ze wsi. Czy to nie było, zastanawiam się po latach, ludzkie utajone marzenie o nieśmiertelności? Jeszcze chyba jedno ludzi dziwiło — długie umieranie Katarzyny. Ludzie pamiętali przecież czasy wojny, kiedy umierało się nagle, szybko, bez możliwości długiego myślenia o śmierci. Zdaje się, że wieś była zła na Katarzynę, że nie chce ani wyzdrowieć, ani umrzeć (na myśl o tym ostatnim większość się żegnęła) i tak fatalnie komplikuje sytuację, zmusza do ciągłego myślenia o śmierci, której w czasie wojny mieli po uszy. Katarzyna robiła ludziom oczywisty, złośliwy kawał. Starając się więc dla niej o drogie lekarstwa, sprowadzając ciągle nowych lekarzy, robili to bardziej dla siebie niż dla Katarzyny. A może dokładniej, robili to nie tylko dla niej, ale i dla siebie. Chcieli śmierć zwyciężyć,

doprowadzając Katarzynę do wyzdrowienia, chcieli wyzwolić się z tej okropnej sytuacji, w jakiej znaleźli się dzięki tej nieszczęśliwej kobiecie. Jednym z najgorliwiej poszukujących lekarstw dla Katarzyny był mój stryj. Sprzedał kilka worków pszenicy, żeby za to kupić lekarstwa. Jak rzadko, o sprzedaży tej nic nie powiedział stryjence.

— Czemuś sprzedał tyle pszenicy? — zapytała któregoś dnia stryjenka.

Byliśmy zdziwieni, skąd o tym się dowiedziała, trzymaliśmy to przecież ze stryjem w wielkiej tajemnicy. Widocznie przed stryjenką niewiele rzeczy udawało się ukryć. Stryj tylko chwilę milczał, ale zaraz ochłonął z zaskoczenia.

— Na lekarstwa — jak rzadko hardo jej odpowiedział.

— Na jakie znów lekarstwa? Czyś ty zgłupiał! — rozłościła się jego tonem.

— Na lekarstwa dla Katarzyny — spokojnie powiedział stryj.

— Co to za lekarstwa, że aż tyle pszenicy trzeba było sprzedać?!

Stryj spojrzał uważnie na stryjenkę. Szybko domyśliła się co jej chce zarzucić. Niechętnie więc, ale dała jednak za wygraną. Mój stryj rozsmakował.

— Chyba nie życzysz źle Katarzynie?

Była to wyraźnie jego zemsta. Stryjenka nic nie odpowiedziała, choć wiedziałem, że wściekła się w duchu, że nienawidzi w tej chwili stryja. Była jednak bezsilna.

Katarzyna wciąż chorowała, jej stan ciągle był bez zmian, ani gorzej, ani lepiej. Powoli ludzie zaczęli się już do tego przyzwyczajać. Coraz mniej

mówiło się już o Katarzynie i o jej śmierci, coraz mniej ludzi ze wsi ją odwiedzało, przestali się o nią tak troszczyć jak przedtem. Już nikt nie przestrzegał dyżurów i wyznaczonych dni opieki nad Katarzyną. Niektórzy pewnie o niej nawet zapomnieli. Słowem, wieś przestała myśleć o Katarzynie, a przede wszystkim przestała o niej myśleć jako o tej, która musi umrzeć. Życie we wsi i rozmowy wróciły do normy, były takie jak przed chorobą Katarzyny. Pojawiły się zwyczajne, dawne sprawy i kłopoty, którymi ludzie przejmowali się i żyli. Choroba Katarzyny trwała tak długo, iż wreszcie przyzwyczaili się do niej, jak do czegoś normalnego. Katarzyna straciła swoje przywileje. Ten stan oczywiście zwiększał obowiązki mojej stryjenki, która codziennie ją odwiedzała.

I nagle stało się to, co się musiało stać. Na spokojną już wieś spadło to jak grom z jasnego nieba. Katarzyna umarła. Nawet nikogo przy niej nie było, kiedy umierała. Umarła więc tak cicho jak żyła, jakby nawet czekała na ten moment, kiedy wieś się uspokoi i zapomni o niej. Jej śmierć pierwsza odkryła stryjenka, która z lamentem przybiegła do nas. Stryj wiadomość tę przyjął nadzwyczaj spokojnie i ten spokój stryja doprowadził stryjenkę do wściekłości.

— Trzeba kupić jej trumnę i pochować — powiedział wtedy stryj i pochylił się nad swoją robotą, którą przerwał tylko na tyle, aby wypowiedzieć te słowa.

Stryjenka wyzwalała go od bezbożników, łotrów bez serca, zaliczyła go do ostatnich ludzi, jakich zna na tym paskudnym, grzesznym świecie.

— Ja tam jej nic złego nie zrobiłem. Jeżeli ktoś jej coś złego zrobił, to niech się teraz trapi — powiedział stryj.

Tego było już za wiele. Stryjenka pobiegła z lamentem do domu i nie wychodziła stamtąd przez kilka godzin. Pewnie, jak było zawsze w jej zwyczaju w takich chwilach przez cały czas płakała. Nie bardzo ją rozumiałem, przecież nic złego nie zrobiła Katarzynie. Myślę, że musiała sobie wmówić, że nie była dla niej dobrą.

— Nigdy bab nie rozumiałem — odezwał się mój stryj, i w jego głosie brzmiała teraz skrucha. — I nie próbuj ich kiedykolwiek zrozumieć, bo to strata czasu — dodał, wracając do roboty.

Teraz wiem, przygotowując pogrzeb Katarzyny, znowu żyła jej śmiercią. Wszyscy krzatali się i każdy chciał coś dać od siebie na pogrzeb, mieć w nim swój udział. Wieś wykazała całą swoją ambicję i honor w przygotowaniu jak najokazalszej ceremonii. Kilka razy stryjenka brała mnie ze sobą, kiedy szła do domu Katarzyny. Widziałem, jak ukrywając swój strach stała blada przy jej łóżku. Katarzyna leżała spokojna, łagodna i prawie uśmiechnięta. Dopiero po śmierci wyglądała tak spokojnie i łagodnie, za życia była przecież ponura i mrukliwa, a czasem nawet złośliwa. Wydawało mi się, że Katarzyna dopiero teraz jest zadowolona i szczęśliwa. Leżała w dębowej, najdroższej trumnie, jaką tylko w mieście można było dostać, bo ludzie ze wsi nie żalowali na Katarzynę pieniędzy. Była w czarnej drogiej sukni i czarnych pantoflach — ani takiej sukni, ani pantofli nigdy pewnie nie miała w swoim życiu. Tuż przed pogrzebem, kiedy byliśmy po raz ostatni przy Katarzynie, zauważyłem, że stryjenka jest niespokojna jak nigdy. Wreszcie nie wytrzymała i zwierzyła mi się.

— Poradzono mi, że jak wezmę teraz Katarzynę za wskazujący palec lewej ręki, to nie będzie mnie straszyć — mówiąc to i pokonując strach, dotknęła

jej palca i pobladła chwilę trzymała, jakby nagle nie mogła oderwać swojej ręki. Przez tę chwilę, która wtedy wydawała mi się wiecznością, stryjenka trzymała palec nieboszczki jak zahipnotyzowana. Wreszcie puściła palec Katarzyny i drżącymi rękami poprawiła jej rękę, składając jak do modlitwy, ułożyła równiutko półkolem w jej palcach czarny różaniec.

Pogrzeb Katarzyny był wspaniały. To był honor całej wioski. To była przecież pierwsza, prawdziwa śmierć po wojnie w naszej małej wsi; śmierć, która na nowo zyskała grozę, wielkość i dostojęstwo.

Najdłużej nieboszczkę wspominała moja stryjenka, której, jak sama mi mówiła, wydawało się, że wciąż trzyma w dłoni martwy, zimny palec Katarzyny. Przez wiele nocy w tamtym okresie krzyczała przez sen i sędzę, że miało to jakiś związek z Katarzyną. Z tą sąsiadką, która jej poradziła ten eksperyment z palcem nieboszczki, nie rozmawiała przez całe dwa miesiące. Potem, kiedy zapewne przestała czuć w swojej dłoni martwy palec, pogodziła się z sąsiadką.

Katarzyna zostawiła kozę. Biedne zwierzę długo wałęsało się po wsi, wszyscy je dokarmiali — nikt nie wyganiał ze swego obejścia, nikt jednak nie chciał zatrzymać kozy na stałe. Po kilku tygodniach koza Katarzyny zniknęła ze wsi. Nie znaleziono po niej nawet śladu. Nie jestem pewien, ale podejrzewam, że miał w tym swój udział także mój stryj. Nigdy go jednak o to nie zapytałem. Zniknięciem zwierzęcia nikt się we wsi nie przejął. Co więcej, zdaje się, że ludzie teraz dopiero odetchnęli z ulgą.

Dziś zastanawiam się, co by się stało, gdyby Katarzyna wyzdrowiała. Katarzyna zmarła akurat wtedy, kiedy ludzie już zdążyli się odzwyczaić od

śmierci. Zastanawiam się więc dalej, co by naprawdę było, gdyby wtedy wyzdrowiała i przez następne kilka lat nikt w naszej malutkiej wsi nie umarł. Co by wtedy było? Czy ludzie na jakiś czas w ogóle zapomnieliby o śmierci?



SPIS RZECZY

INNY CZŁOWIEK I TEN Z RYBĄ	5
ZĄB ZA ZĄB	10
SEN O PISTOLECIE	31
NASZ BOHATER, ROBERT...	35
SPOWIEDŹ	44
CHŁOPIEC, KTÓRY ZNISZCZYŁ SWÓJ UŚMIECH . .	50
RING WOLNY	59
WIELKA SUSZA	68
PRZYGODA W GÓRACH	78
WINO PESTKOWE	93
NEKROLOG	101
TYM SAMYM POCIĄGIEM	113
ŚNIEG	131
STARY OLKUSZ	140
NIE MIELİSMY, SYNU, SZCZĘŚCIA	148
SPOTKANIE Z KOMENDANTEM	156
ŚMIERĆ PO WOJNIE	166

Redaktor techniczny
MIROSLAW KOPINSKI

Korektor
TERESA PIECHOCKA

Printed in Poland

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE — POZNAŃ 1971

Wydanie I. Nakład 5.000+260 egz. Ark. wyd. 7,1; ark. druk. 11,125. Oddano do składania 20 VII 1970 r. Podpisano do druku 27 I 1971 r. Druk ukończono w lutym 1971 r. Papier druk. m/gł kl. IV, 60 g. 76×90 w fabryce w Kluczach.

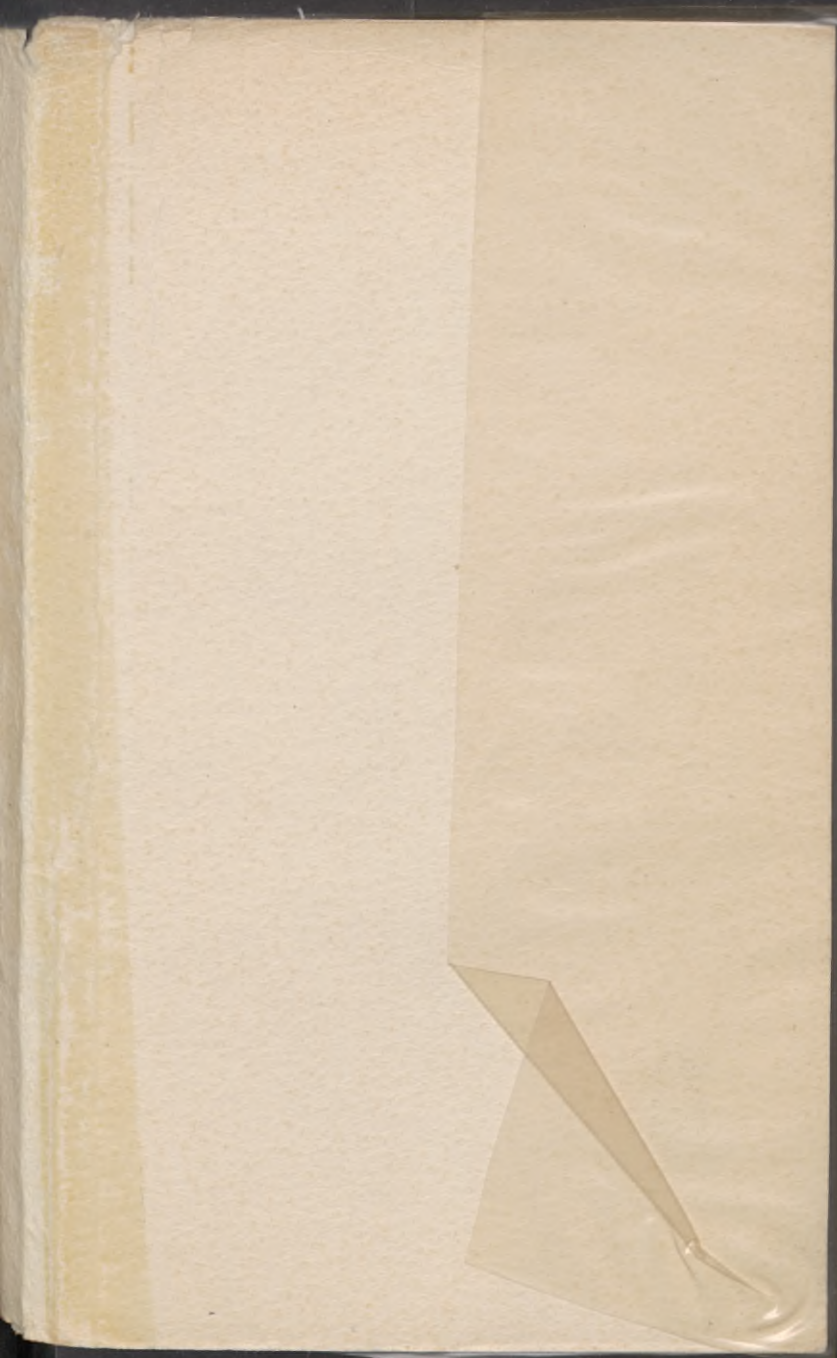
Zam. nr 999/70

B-11-1160-39

Cena zł 12,—

SZCZECIŃSKIE ZAKŁADY GRAFICZNE

Szczecin, Al. Wojska Polskiego 128. Zam. nr 2661



MAGAZYN

MBP Słupsk Centrala



3477



CENA ZŁ 12,—